TATERNIK

Nr 3-4/2003 • ISSN 01373155

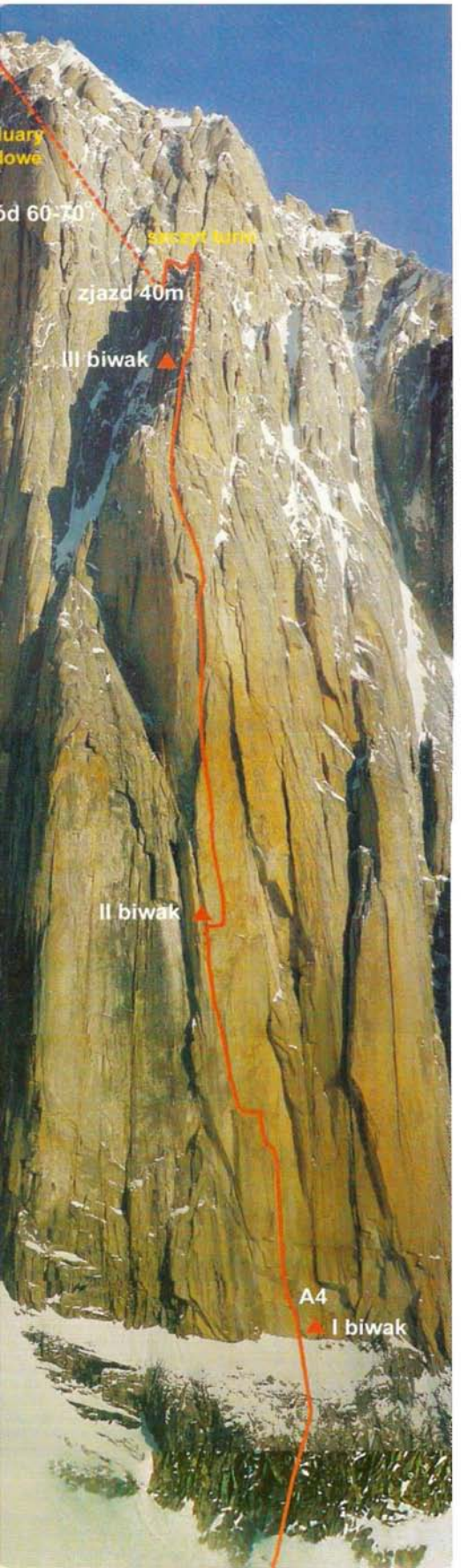

SPIS TREŚCI

Od redakcji ... 1
Taki zjazd bywa tylko raz (J. Nyka) ... 2
Zarys dziejów organizacji jaskiniowych w Polsce – cz. I (W.W. Wiśniewski) ... 4
Alaska Railroad (M. Tomaszewski) ... 10
Home Speed Home (G. Skorek) ... 13
Udana zima 2003 w Masywie Mont Blanc ... 14
Rok 2002 w górach najwyższych ... 15
Rapsody in Snow – Manaslu'2003 (P. Pustelnik) ... 20
Złoty Jubileusz (P. Pustelnik) ... 23
Nepal szerzej otwiera podwoje ... 25
Restrykcje w Sikkimie ... 25
Polsko-amerykańska wyprawa na Gasherbrum II (R. Pawłowski) ... 26
Gasherbrum II – powrót do źródła (A. Czerwińska) ... 26
Flaga pokoju na Noszaku (J. Nyka) ... 28
Polska zima 2003 w Tatrach (A. Paszczak) ... 29
Lodowy Puchar Świata 2003 (A. Rajwa) ... 33
Mistrzostwa Świata we wspinaczce lodowej ... 34
Lodowy Puchar Tygodnika Podhalańskiego (A. Rajwa) ... 35
Sukcesy Oleksego w Pucharze Świata ... 35
Tomasz Oleksy wicemistrzem świata! ... 36
Puchar Polski w narciarstwie wysokogórskim 2003 (J.R. Bilski) ... 37
Mistrzostwa Europy w narciarstwie wysokogórskim ... 40
Na Královej Holi (A. Rajwa) ... 41
Rallye Červenec (A. Rajwa) ... 42
Nowe odkrycia w Jaskini Małej (A. Antkiewicz) ... 44
Śnieżna Studnia (D. Fuja) ... 45
Jaskinia w Krzesanicy (W.W. Wiśniewski) ... 47
Nowe jaskiniowe rekordy Polski z... Sudetów (W.W. Wiśniewski) ... 49
Polskie odkrycia w Hagengebirge (D. Bartoszewski) ... 51
Rozmaitości ... 54
Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Trento ... 58
Ważne wydarzenie okiem hobbysty (M. Rożek) ... 58
Wystawa starej pocztówki tatrzańskiej (Kazimierz J. Rusiecki) ... 60
Recenzje ... 61
Elektronika w górach (B. Jankowski) ... 63
Diabeł tkwi w szczegółach (W. Święcicki) ... 67
Wypadki taternickie styczeń – wrzesień 2003 (A. Marasek) ... 69
Listy do redakcji ... 71
Pożegnania ... 73

Okładka: W ścianie Citadel. Fot. D. Kaszlikowski
Obok: Citadel z wrysowaną drogą polskiego zespołu. Fot. D. Kaszlikowski, topo: M. Tomaszewski

Nr 3-4 (299-300)
Warszawa 2003
Rok 77

TATERNIK

Od redakcji

Za nami lato, jedno z najgorętszych w ostatnim stuleciu i nie tylko. Wysoka temperatura, utrzymująca się przez dłuższy czas w Alpach, powodowała nie tylko wzmożenie zjawiska topnienia i cofania lodowców, co obserwujemy już od wielu lat, ale również naruszyła stabilność ścian. Silna insolacja powodowała gwałtowne topnienie wiecznej zmarzliny, stanowiącej spoiwo różnych elementów rzeźby gór. W efekcie obserwowaliśmy wielkie obrywy skalne, otwieranie się gigantycznych szczelin na łatwych dotąd lodowcach, wzmożony ruch piargów a nawet pełzanie zboczy.

U nas gorąco również w umysłach. Od nowa rozgorzała dyskusja na temat wbijania spitów ze zjazdu, co tym razem dotknęło naszą najbardziej renomowaną ścianę – popularną Zerwę Kazalnicy. Gorące polemiki nie ominęły również szkoleniowców. Pojawiła się „fronda" w gronie instruktorów, postulująca zmiany w funkcjonującym od lat modelu szkolenia. Miejmy nadzieję, że obydwa te problemy zostaną możliwie szybko i rozsądnie rozwiązane zarówno przez środowisko, jak i decyzje Zarządu PZA, a może nawet najwyższej instancji – przyszłorocznego Walnego Zjazdu.

Polski Związek Alpinizmu świętuje jubileusz stulecia. Uroczystą oprawę miało Spotkanie Seniorów w Morskim Oku i Festiwal Filmowy im. Wandy Rutkiewicz. Kulminacją obchodów był niedawny nadzwyczajny Jubileuszowy Zjazd w Krakowie. Piszemy o tym na str. 2. Związek sprawił sobie na 100-lecie prezent – od sierpnia ma nową siedzibę. Przeprowadzce jak zwykle towarzyszyły przeróżne perturbacje, z których najbardziej dał się odczuć brak telefonu i internetu.

Wysokie temperatury nie stanowiły przeszkody dla naszego „eksportowego" wspinacza – Tomasza Oleksego, który w tym roku odniósł największe sukcesy w swojej dotychczasowej karierze, a także – w historii polskiego wspinania sportowego. Od Jekaterinburga na Uralu do rozpalonego słońcem Chamonix Tomek stawał na podium obok najpoważniejszych rywali – wspinaczy rosyjskich i ukraińskich, nie tylko w swej specjalności – wspinaczce na czas, ale również – w boulderingu.

Miniona zima przyniosła naszym wspinaczom świetne osiągnięcia: nową drogę na ścianie Citadel w masywie Kichatny na Alasce i pierwszą polską drogę na zachodniej ścianie Dru. Imponująco też przedstawia się podsumowanie sezonu zimowego w Tatrach. Natomiast nie powiodła się ambitna próba zdobycia sportową drogą dziewiczego Kunyang Chhish East (ok. 7400 m). Ekipa w składzie: Janusz Gołąb, Stanisław Piecuch i Grzegorz Skorek w stylu alpejskim atakowała szczyt ścianą południową, której wysokość wynosi prawie 3000 m. Po dotarciu pod kopułę szczytową na wysokości 6600m, wycofano się z powodu złych warunków śnieżnych. Ponowienie próby uniemożliwiło wielodniowe załamanie pogody.

Nowy „Taternik" spotkał się z przychylnym przyjęciem, choć nie brakowało niezadowolonych. Krytykowano nadmiar zdjęć kolorowych (drogo), rozrzutność miejsca (zbyt duża czcionka i marginesy). Wiele było w tym racji, toteż w niniejszym numerze czytelnik znajdzie już teksty drukowane drobniejszą czcionką, mniejsze marginesy i nieco skromniejsze ilustracje. W poprzednim numerze zapowiadaliśmy obszerną relację z zimowej wyprawy na K2. Niestety nie możemy spełnić tej obietnicy, gdyż materiał nie wpłynął na czas. Znajdziemy za to bardzo interesujący artykuł uczestnika tej ekspedycji, Bogdana Jankowskiego, na temat zasilania w energię i elektronicznych urządzeń na współczesnych wyprawach w góry wysokie. Dowiemy się w jaki sposób docierały do nas aktualne informacje o działalności wyprawy, zdjęcia i filmy.

Następny numer „Taternika" będzie miał specjalny charakter. W całości będzie poświęcony wielkiej monografii Zachodniego Karakorum autorstwa Jerzego Wali, którą początkowo zamierzaliśmy publikować w dwóch, a może nawet trzech częściach. I jeszcze na koniec – mamy nadzieję, że już od następnego roku „Taternik" będzie się ukazywał jako kwartalnik.

Janusz Kurczab

Taki zjazd bywa tylko raz

Józef Nyka

W sobotę 20 września odbył się w Krakowie Nadzwyczajny Walny Zjazd Delegatów PZA, zwołany z okazji 100-lecia naszej organizacji, którą zapoczątkowało utworzenie Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego w dniu 25 lipca 1903 roku. Miejscem obrad była aula AWF – uczelni związanej z alpinizmem od wielu lat. Zjazd otworzył prezes Janusz Onyszkiewicz, obradom przewodniczył Leszek Dumnicki. O historyczności chwili przypominały siwe głowy zaproszonych do prezydium nestorów naszego sportu: Ryszarda W. Schramma (83), Zdzisława Dzięddzielewicza-Kirkina (87), Zygmunta Mikiewicza (92) oraz Macieja Mischkego (94) – od Sekcji Turystycznej TT młodszego o zaledwie 6 lat. Na sali obecni byli (z wyjątkiem Jerzego Fietta) wszyscy żyjący dawni prezesi KW i PZA: Leszek Łącki, Antoni Janik, Andrzej Paczkowski, Leszek Cichy i Wojciech Święcicki. Nad Jubileuszem patronat objął prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, którego reprezentował jego doradca i prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Stanisław S. Paszczyk. Oficjalnymi gośćmi byli też prezes PTTK, prof. Janusz Zdebski, przewodniczący Polskiej Konfederacji Sportu, Andrzej Krasucki oraz przedstawiciel władz miejskich Krakowa. Prezes Paszczyk odczytał osobisty list Prezydenta RP do Zjazdu.

Medal Stulecia, zaprojektowany przez Janinę Tępińską-Gondowicz

W imieniu Prezydenta RP przemawia prezes PKOL Stanisław Stefan Paszczyk

Na część retrospekcyjną złożyły się referaty: Józefa Nyki (odczytany przez Annę Milewską) o stu latach dziejów polskiej organizacji wysokogórskiej, Andrzeja Paczkowskiego – o polskich wyprawach w góry najwyższe, zatytułowany przekornie „Everest zamiast Liliowego", Ryszarda W. Schramma o członkach honorowych PZA a zwłaszcza tych, „którzy nie doczekali" i Janusza Baryły o historii polskich organizacji jaskiniowych. Odmienny charakter miało wystąpienie Andrzeja Wilczkowskiego – filozoficzno-poetycka

Prezydium zjazdu (od lewej): Janusz Onyszkiewicz, Zygmunt Mikiewicz, Leszek Dumnicki, Zdzisław Dzięddzielewicz-Kirkin, Ryszard W. Schramm, Stanisław S. Paszczyk i Maciej Mischke

gawęda, przepleciona nicią subtelnego wilkowskiego humoru, „Alpinizm jako sposób na życie" – nota bene przyjęta przez salę gorącą owacją. Zjazd zapoznał się z propozycjami członkostw honorowych oraz listą osób wyróżnionych Medalem 100-lecia – obecni na sali otrzymali przyznane im medale z rąk prezesa Onyszkiewicza*. Frekwencja była niestety średnia: o ile dopisała jak zawsze niezawodna „stara gwardia", słabiej było z pokoleniem młodszym, generalnie zawiodły też kluby: Komisja Skrutacyjna stwierdziła, że liczba delegatów (28) jest znacznie niższa od wymaganego przez statut quorum, co sprawiło, że Zjazd stał się tylko okolicznościowym spotkaniem towarzyskim i nie mógł podejmować żadnych wiążących uchwał.

Działacze lat minionych: prezesi Andrzej Paczkowski i Antoni Janik, oraz sekretarz Jan Kowalczyk. W dalszych rzędach możemy zobaczyć m.in. Jerzego Michalskiego, Leszka Łąckiego i Wojciecha Brańskiego

W „wolnych wnioskach" Elżbieta Jaworska (SKT) poruszyła problem polskiej wersji symbolicznego cmentarza ofiar Tatr, zaś Wojciech Brański słusznie upomniał się o nietracenie z oczu w podsumowaniach historycznych jednego z w ogóle najświetniejszych sukcesów polskiego alpinizmu, mianowicie pierwszych wejść na dziewicze Kangchendzongi Południową i Środkową, należące do szóstki najwyższych punktów Globu (PKG, 1978).

Po przerwie, zebrani uczestniczyli w cyklu ilustrowanych przezroczami prelekcji o ogólnym tytule „Dziś i jutro – osiągnięcia i przyszłe cele" – z interesującymi wystąpieniami Krzysztofa Wielickiego, Jerzego Wali, Marcina Tomaszewskiego, Jacka Fludera i paru innych przedstawicieli aktualnej sportowej czołówki. Na zakończenie Zjazdu odbyły się zawody wspinaczkowe – jak można było oczekiwać zdobywcami Pucharu Prezesa PZA zostali Edyta Ropek i Tomasz Oleksy. Kuluary zjazdowe zdobiła piękna wystawa „Osiągnięcia polskiego alpinizmu", przygotowana – częściowo z własnych zdjęć – przez Mariana Bałę.

Osobny tok, nie mniej ważny, stanowiły kontakty osobiste, które były okazją do spotkania się z przedstawicielami różnych pokoleń i odświeżenia starych górskich przyjaźni, pozwalających z radością stwierdzić, że nie tylko z nami czas obchodzi się tak brutalnie. Kuluarowym powitaniom i rozmowom nie było końca. Kameralne spotkanie odbyło się u Staszka Biela, ogólne – przy ognisku zwanym obecnie „grilem" przed hotelem „Sonata". Zjazd Stulecia przeszedł do historii, choć pozostało jeszcze na jesień kilka wpisanych w kalendarz obchodów imprez, takich jak: Przegląd Filmów Górskich w Lądku Zdroju, Dni Gór PTT czy spotkanie średniego pokolenia na Hali Gąsienicowej.

Zdjęcia: Janusz Kurczab

Prezes Janusz Onyszkiewicz i zdobywcy ufundowanych przez niego pucharów: Edyta Ropek i Tomasz Oleksy

Zarząd PZA nie był w stanie spełnić oczekiwania wszystkich osób zasłużonych dla alpinizmu. Początkowo planowaną ilość medali – 400 – musieliśmy, ze względu na znaczne koszty, ograniczyć do 300. Planujemy wybicie i wręczenie pozostałych 100 medali na przyszłorocznym Walnym Zjeździe.

Zarząd PZA

Za pomoc w organizacji obchodów jubileuszowych Zarząd PZA składa podziękowania dla:

WestLB

WestLB Bank Polska S.A.

Zarys dziejów organizacji jaskiniowych w Polsce – cz. I[1]

Wojciech W. Wiśniewski

Choć w II połowie XIX wieku na terenie Polski już sporo osób interesowało się jaskiniami, a w ostatnim ćwierćwieczu tamtego stulecia nastąpiło nasilenie zwiedzania i eksploracji jaskiń tatrzańskich i w innych rejonach kraju, nie doszło wtedy do powstania u nas organizacji speleologicznej. Osoby interesujące się jaskiniami w większości należały do założonego w 1873 r. Towarzystwa Tatrzańskiego, do którego celów należało m.in. udostępnianie i naukowe poznawanie gór. I właśnie pod egidą i przy finansowym wsparciu tej organizacji były prowadzone w końcu XIX wieku różne prace eksploracyjne w jaskiniach tatrzańskich.

Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że wiemy o istnieniu w wieku XIX (jak się przypuszcza, funkcjonujących już wcześniej) zorganizowanych grup zajmujących się penetrowaniem jaskiń w polskich Tatrach. Istniał wówczas – jak stwierdzają relacje z początków XX wieku – „między góralami, pasterzami owiec" związek czy raczej bractwo „poszukiwaczy skarbów" penetrujących tatrzańskie jaskinie i szukających w nich zbójnickich skarbów. Nosili oni, jako znak, spinkę z siedmiu gwiazdami, która była „symbolem związku poszukiwaczy skarbów", czyli jakby pierwociny dzisiejszej odznaki (a może raczej legitymacji?) klubowej. Dodajmy przy tym, że już XVII wieczni tzw. „poszukiwacze skarbów", którzy wywodzili się z ludności miejskiej, byli wprawnymi grotołazami – w jaskiniach pokonywali studnie i progi, używając lin i drabin sznurowych. Także wśród tatrzańskich zbójników, którzy w wiekach XVII-XIX również często zaglądali do jaskiń tatrzańskich, a na dojściu do trudniej dostępnych mieli stosować drabiny sznurowe (wtedy wykonane z rzemienia), istniały formy organizacji.

Pod egidą Towarzystwa Tatrzańskiego

W 1903 r. w ramach TT powołano do życia Sekcję Turystyczną, w której zrzeszyli się polscy taternicy. Wśród nich znalazły się też osoby które obok wspinaczki powierzchniowej zajmowały się też chodzeniem po jaskiniach, ale „mimo szybkiego rozwoju ruchu turystycznego" – jak wspomina w 1923 r. Tadeusz Zwoliński, jeden z jej członków – „dalszem poszukiwaniem i badaniem grot interesowało się tylko szczupłe grono taterników", stąd zapewne brak potrzeby tworzenia odrębnej organizacji.

Czołowymi postaciami „ruchu jaskiniowego" byli wtedy znani taternicy jak Mariusz Zaruski i Mieczysław Świerz, którzy dokonali w tym okresie najbardziej liczących się odkryć jaskiniowych. Jaskiniami interesował się też m.in. Janusz Chmielowski, pierwszy prezes ST TT, a także pierwsi zdobywcy południowej ściany Zamarłej Turni Józef Lesiecki i Henryk Bednarski. Działalność w jaskiniach niekiedy była tak bardzo związana z taternictwem, że nie było wtedy potrzeby powoływania dla niej odrębnej organizacji, a niektórych odkryć jaskiniowych dokonywano

Członkowie Koła Grotołazów przy otworze Jaskinii Wodnej pod Pisaną.
Fot. S. Zwoliński, reprod. z „Wierchów" r. 2, 1924 str. 56

Konstanty Stecki sen.
reprod. J. Nyka

niejako „przy okazji" działalności powierzchniowej. Np. Jaskinię Kasprową Wyżnią znajdującą się w szczytowych partiach skalnego muru Zawratu Kasprowego, wysoko ponad Doliną Kasprową, M. Zaruski wyeksplorował w drodze powrotnej ze wspinaczki w dalszych partiach Tatr. Na otwory tej jaskini zwrócił uwagę już wcześniej, ale wybrał się do niej dopiero wracając z tej wycieczki i – jak pisze – korzystając z okazji że miał „ze sobą cały sprzęt wysokogórski, jak liny, pętle, latarki etc."

Od 1911 r. – również w ramach Sekcji Przyrodniczej TT funkcjonowała grupa taterników. jak wspomina Konstanty Stecki-senior, jeden z jej członków – o zainteresowaniach speleologicznych. W sekcji tej działały też inne osoby penetrujące jaskinie tatrzańskie (m.in. Wiktor Kuźniar).

Osoby interesujące się jaskiniami skupiały się wtedy też w innych organizacjach turystycznych, jak np. w Akademickim Klubie Turystycznym we Lwowie założonym w VI 1906 r. i istniejącym do 1923 r. AKT eksplorował jaskinie podolskie (m.in. największe z poznanych wtedy na terenie przedwojennej Polski – Jaskinię Kryształową w Krzywczu i Wertebę w Bilczu Złotem), tatrzańskie, beskidzkie i jurajskie, a także, jako pierwszy, organizował wyjazdy poznawcze do jaskiń zagranicznych, głównie Słowacji, ale też i Rumunii, Jugosławii (m.in. w Durmitor). W ciągu pierwszych 8 lat (do wiosny 1914 r.) klub ten zorganizował ponad 500 wycieczek po całej Galicji, przy okazji których członkowie AKT poznali tak wiele jaskiń, iż uznali że „żadna jaskinia" na tym terenie nie pozostała im obcą.

Pierwsza organizacja jaskiniowa w Polsce

Pierwsza wojna światowa spowodowała zastój nie tylko w taternictwie powierzchniowym, ale również w ruchu jaskiniowym. Trwał on także jeszcze po wojnie. Ożywienie w tej dziedzinie nastąpiło po kilku latach. W 1920 r. nastąpiło przekształcenie się TT w Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, a 22.04.1923 r. Walny Zjazd Delegatów tego Towarzystwa „powierza Sekcji Przyrodniczej PTT badanie grot tatrzańskich". Wówczas przy sekcji tej zawiązało się Koło (Klub) Grotołazów (występujące w późniejszym piśmiennictwie niekiedy pod nazwą „Klub Speleologiczny" albo „Sekcja Speleologiczna")[2]. Warto zwrócić uwagę, że w nazwie użyty został termin grotołaz, którym już przed I wojną światową, jak informuje Tadeusz Zwoliński, jeden z członków tego koła, nazwali się on i jego koledzy penetrujący jaskinie tatrzańskie.

Koło Grotołazów przy Sekcji Przyrodniczej PTT było pierwszą w Polsce organizacją jaskiniową. Skupiało ok. 10 osób. W jego składzie byli m.in.: Konstanty Stecki-senior, Tadeusz Zwoliński, Tadeusz Malicki, Stefan Zwoliński, Janusz Kotarbiński i inni. Grupa ta prowadziła systematyczną działalność jaskiniową (także zimą) przez około 2 lata[3]. W roku 1924 z pomocą jej przyszedł właśnie założony Oddział Zakopiański PTT, który sfinansował „zakup lin i drabin" potrzebnych do akcji w eksplorowanych wtedy jaskiniach lub partiach o rozwinięciu pionowym.

W dwudziestoleciu międzywojennym ludzie zwiedzający i eksplorujący jaskinie należeli zwykle do PTT, które wtedy także – obok wielu innych tematów – „zajmowało się grotami, ich badaniem, ochroną itd." Członkami tej organizacji byli także bracia Zwolińscy, którzy kontynuowali, już indywidualnie, eksplorację jaskiń tatrzańskich. W latach 1932-1936 ich prace w tym zakresie były dotowane bezpośrednio przez Zarząd Główny PTT. PTT w tym okresie działało zarówno w jaskiniach Tatr jak i innych rejonów Polski: Beskidów, Podola i Jury. Grotołazi (bo tak już wtedy popularnie nazywano ludzi chodzących po jaskiniach) nie mieli wówczas odrębnej struktury, choć w 1932 roku stwierdzono, iż są ich „szerokie rzesze".

Mieczysław Świerz

Po II wojnie światowej

Niemal natychmiast po zakończeniu wojny, w czasie której funkcjonowanie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego było zawieszone, podjęło ono działalność. Niedługo potem wznowiło ono również badania jaskiń tatrzańskich. W maju 1948 r. Zarząd Główny PTT powołał

Komisję Speleologiczną (występującą też pod nazwą Komisja Jaskiniowa), która prowadzenie tych badań powierzyła Stefanowi Zwolińskiemu. Z tym, że Komisja ta, a zwłaszcza Kierownictwo Badań Jaskiniowych PTT[4] (później, od końca 1950 r. Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK) prowadzone przez S. Zwolińskiego, były strukturami przede wszystkim prowadzącymi konkretne prace w jaskiniach, a nie organizacjami skupiającymi grotołazów. Tym niemniej „kącik poświęcony Komisji Jaskiniowej PTT" znalazł się, obok działu prezentującego Klub Wysokogórski PTT, na wystawie zorganizowanej, w dniach 7-8.10.1948 r. w Zakopanem, z okazji jubileuszu 75 lecia PTT. Zaprezentowano tam m.in. sprzęt stosowany przy pokonywaniu jaskiń.

W latach tuż po II wojnie światowej ruch jaskiniowy w Polsce stawał się coraz bardziej popularny. „Z roku na rok powstają coraz to nowe grupy ludzi, dla których zwiedzanie jaskiń staje się celem wycieczek" – opisywał ten okres „Grotołaz" w 1952 r. Jedna z takich grup grotołazów działająca w Krakowie utworzyła na przełomie lat 1949/1950 nieformalny związek „Miętusia Club". Niedługo potem przekształciła się ona w – również nieformalny – Klub Grotołazów. Za datę jego powstania uważa się 22.02.1950 r., choć grupa ta nazwę przybrała od tytułu czasopisma „Grotołaz", którego pierwszy numer jest datowany na 28.04.1950 r.

Członkowie Koła Grotołazów w czasie transpotru drabin linowych do Jaskini Kasprowej Średniej (wówczas „Wyżniej groty Kasprowej"). Fot. T. Zwoliński, reprod. z „Wierchów" r. 2, 1924 str. 51

Klub Grotołazów „będący związkiem zupełnie właściwie luźnym", jak stwierdzali jego założyciele, nie był strukturą wystarczająca nawet dla samych członków tego klubu. Już pod koniec 1950 r. uznali oni, że „Pierwszą potrzebą turystyki jaskiniowej jest stworzenie u nas odrębnej organizacji w postaci sekcji jaskiniowej PTT, lub towarzystwa które powstanie na jego miejscu". Uzasadniali to tym, iż „Korzyści wynikające z istnienia takiej organizacji są różnorodne, wśród wielu innych można wymienić: możliwość starania się o subwencje lub przydziały ekwipunku czy materiałów, możliwość wyjazdów za granicę, kontakt z organizacjami speleologicznymi za granicą i korzystanie z ich doświadczeń, wspólne zakupywanie przyrządów itp." Jedyną dla nich rzeczą do dyskusji było to „czy organizacja ta przyjmowałaby każdego zgłaszającego się czy wymagałaby – jak Klub Wysokogórski – pewnych kwalifikacji".

Mariusz Zaruski

17.12.1950 r. w wyniku połączenia PTT z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym utworzone zostało Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. W listopadzie 1951 r. przy jego Oddziale w Zakopanem utworzone zostało Koło Jaskinioznawcze (Jaskiniowe?), które było pierwszą w Polsce formalną strukturą zrzeszającą grotołazów.

Luty 1952 - zebranie Podkomisji Badań Jaskiniowych KTG PTTK

Potrzeby zmian organizacyjnych, ze względu na „rozwijającą się coraz bardziej turystykę jaskiniową", dostrzegało wtedy też PTTK. Ale już wówczas, co istotne, zarysowywał się konflikt między ośrodkami krakowskim a zakopiańskim, który kilka lat później doprowadził do głębokiego i wieloletniego rozłamu w organizacji ruchu jaskiniowego w naszym kraju.

W lutym 1952 r. odbyło się posiedzenie Podkomisji Badań Jaskiniowych przy Komisji Turystyki Górskiej PTTK, dotąd sprawującej pieczę nad działaniami w jaskiniach, na które zaproszeni zostało członkowie i przedstawiciele zarówno krakowskiego Klubu Grotołazów jak i „Zakopiańskiego Koła Jaskiniowego". A celem tego zebrania było „ustalenie form organizacyjnych dalszych badań jaskiniowych", opracowanie projektu „nowej organizacji badań jaskiniowych" i plan rozszerzenia współpracy „z analogicznymi organizacjami zagranicą". Przy czym stwierdzono wówczas, że „jaskinie stanowią taki sam teren turystyki jak skalne ściany" a „zwiedzanie ich

wymaga nieraz dużej wprawy i umiejętności". Zaobserwowano wtedy, że ruch jaskiniowy jest już bardzo rozwinięty - poszczególne grupy turystów jaskiniowych - grotołazów działają nie tylko na obszarze Tatr, ale również w Jurze Krakowsko-Wieluńskiej, w Beskidach, czy wreszcie nad Nidą, w Górach Świętokrzyskich i Sudetach". Istniało w tym czasie już kilka różnego typu organizacji jaskiniowych - „w Krakowie Klub Grotołazów, będący jednak w gruncie rzeczy zupełnie luźnym związkiem, Koło Jaskiniowe w Zakopanem, Koło Młodych Grotołazów przy Woj. Domu Kultury w Krakowie, grupy grotołazów w Częstochowie, wreszcie turyści jaskiniowi w Toruniu i Poznaniu". Problemem było to, że - jak pisał w 1952 r. „Grotołaz" - „wszystkie te grupy na ogół mało o sobie wiedzą [...] działały do tej pory zazwyczaj na własną rękę, nie wiedziały nic o wzajemnych odkryciach, a nawet przeszkadzały sobie". Oczywistym więc było, przynajmniej dla części zebranych, że „ten stan rzeczy winien jak najszybciej ulec zmianie", że „wyłania się paląca potrzeba zorganizowania ogólnopolskiej organizacji turystyki jaskiniowej, łączącej wszystkie istniejące grupy grotołazów", która „zajęłaby się [...] pracami poszukiwawczymi i rejestracją ich wyników, prowadziłaby akcję popularyzacji turystyki jaskiniowej i informowania społeczeństwa o badaniach i odkryciach, stanowiłaby swego rodzaju bazę badań naukowych, a wreszcie byłaby platformą wymiany doświadczeń i utrzymywałaby kontakty z podobnymi organizacjami zagranicą".

Grupa grotołazów pod progiem w Jaskini Kasprowej Niżniej. fot. T. Malicki, reprod z „Wierchów" r.7, 1929 str. 41

Choć w czasie obrad Podkomisji, jak twierdzi „Grotołaz" - „wyłoniła się wyraźnie potrzeba stworzenia tego rodzaju organizacji", to „nie znalazła jednak wyrazu w uchwale zabrania. Ograniczono się jedynie do rozszerzenia działalności Podkomisji na obszar całej Polski i do wniosku, że Podkomisja ma „na podstawie doświadczeń przepracować projekt nowej organizacji badań jaskiniowych". Nie jest jednak wyraźnie powiedziane, jaki charakter ma mieć ta nowa organizacja; słowa „badań jaskiniowych" sugerują, że będzie to organizacja zajmująca się jedynie badaniami, a nie turystyką jaskiniową". Krakowianom nie podobało się też to, że na zebraniu powołano „stały sekretariat Podkomisji z siedzibą w Zakopanem", bo ich zdaniem „istnienie owego sekretariatu nie przyczyni się zbytnio do powiązania poszczególnych grup badaczy i turystów jaskiniowych". Uważali że „jeżeli Podkomisja ma być instytucją żywą i naprawdę działającą [...] winna posiadać stałego sekretarza w Krakowie, a nie w Zakopanem, i wystąpić z inicjatywą stworzenia nowej organizacji speleologicznej, uwzględniającej w jak najszerszym zakresie potrzeby turystyki jaskiniowej".

Tadeusz Zwoliński, arch. J. Nyka

Narodziny pierwszej (Pod)Komisji Taternictwa Jaskiniowego

Postulat „Grotołaza" z 28.04.1953 r. że „najwyższy czas, aby niezorganizowany ruch ująć w ścisłe ramy, najlepiej przy boku PTTK w formie sekcji turystyki jaskiniowej", niedługo potem doczekał się realizacji. Przy Komisji Taternictwa Zarządu Głównego PTTK powstała Podkomisja Taternictwa Jaskiniowego z siedzibą w Krakowie. Pierwsze jej posiedzenie odbyło się 6.07.1953 r. Podległe jej Sekcje Taternictwa Jaskiniowego założone zostały przy Oddziałach PTTK w Krakowie (przez Klub Grotołazów), Toruniu (gdzie należeli też grotołazi

z Poznania), Zakopanem (wspomniane już Koło Jaskinioznawcze przekształciło się w Oddziałową STJ w styczniu 1954 r.) i jako ostatnia w Warszawie (w czerwcu 1954 r.). Po roku istnienia Podkomisji owe 4 Oddziałowe Sekcje Taternictwa Jaskiniowego liczyły łącznie 108 członków (najliczniejsza była sekcja krakowska – 45 osób), gdy liczba wszystkich zrzeszonych wówczas (w 15 sekcjach i 4 kołach) taterników (wraz z grotołazami) nieco przekraczała 900. Warto od razu zasygnalizować, że poza sekcją toruńską, trzy pozostałe kluby istnieją do dziś, choć pod zmienionymi nazwami i mając inny status (są to odpowiednio Sekcja Taternictwa Jaskiniowego Klubu Wysokogórskiego Kraków oraz stowarzyszenia Speleoklub Tatrzański i Speleoklub Warszawski).

Należy też zwrócić uwagę, że od samego początku istnienia Komisja Taternictwa Jaskiniowego (w pierwszym roku Podkomisja TJ), była – w przeciwieństwie do wszystkich innych komisji (podkomisji) wchodzących w skład Komisji Taternictwa i jej następczyń – strukturą autonomiczną (przewodniczący i członkowie KTJ pochodzili z wyboru dokonanego przez walne zjazdy delegatów sekcji, a później też i klubów taternictwa jaskiniowego, w przeciwieństwie do innych komisji, których skład ustalany był przez zarząd). Specyficzną odrębność i wyjątkowość KTJ podkreślało też to, iż była to jedyna komisja, której adres podawano w „Taterniku" obok adresu Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego.

KTJ przy Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF

Niedługo potem doszło do kolejnych zmian organizacyjnych. W dniach 25-26.06.1954 r. „zjazd aktywu taternickiego" powołał do życia Sekcję Alpinizmu PTTK, która była równocześnie jedną z sekcji sportowych Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Podkomisja Taternictwa Jaskiniowego przekształciła się wtedy w Komisję Taternictwa Jaskiniowego (początkowo zwaną nawet Komisją Alpinizmu Jaskiniowego). Oddziałowe STJ były wtedy „zorganizowane na zasadzie kół PTTK i niezależne od istniejących w tych miejscowościach Sekcji Alpinizmu". Jesienią 1955 r. założona została piąta taka sekcja – we Wrocławiu (także ona istnieje do dziś, jako Sekcja Grotołazów Wrocław).

W skład KTJ wchodzili przedstawiciele wszystkich ośrodków. Komisja organizowała lub tylko firmowała imprezy ogólnopolskie, m.in. kurs instruktorski taterników jaskiniowych (pierwszy jesienią 1953 r.), ogólnopolskie zloty taterników jaskiniowych (pierwszy w 1954 r.), a także wyjazdy zagranicę. Pierwszy odbył się w marcu 1955 r. W ramach 50 osobowego obozu taternickiego na Słowację, wyjechała również 10 osobowa samodzielna grupa taterników jaskiniowych.

Stefan Zwoliński, arch. J. Nyka

Wiemy ponadto o zorganizowaniu się zespołów (klubów? – w ówczesnych sprawozdaniach mowa jest o „ośrodkach") grotołazów w Bielsku-Białej w roku 1954 i w Częstochowie w I połowie 1956 roku.

Obecność taternictwa jaskiniowego w strukturach organizacyjnych taternictwa, uwidaczniało też założenie w „Taterniku" oddzielnego działu poświęconego tej tematyce. Znalazł się on już w pierwszym, po wznowieniu wydawania w 1956 r., zeszycie „Taternika". Był wtedy zatytułowany „Speleologia i taternictwo jaskiniowe". Później jego tytuł się zmieniał, i np. w latach 1957-60 było to „taternictwo jaskiniowe". Dział ten był wówczas umieszczany tuż za równoważną mu rubryką „taternictwo i alpinizm". Potem dział ten zatytułowany bywał „Speleologia", a jeszcze później „Jaskinie i speleologia", zaś obecność tej tematyki na swoich łamach „Taternik" od 1961 r. zaznaczał w podtytule, informując że jest periodyk poświęcony też sprawom „speleologii".

Znaczny (bo 6-krotny) w stosunku do czasów przedwojennych wzrost liczebności zrzeszonych taterników, sprawił że uznano w tym czasie za konieczne wprowadzenie w taternictwie klasyfikacji sportowej, po to by – jak twierdzono – zapewnić stopniowy „rozwój każdego z uprawiających ten sport". Normy klasyfikacyjne w taternictwie jaskiniowym opracowano i ogłoszono w końcu 1956 r.

Reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego i co z tego wynikło

Wkrótce potem doszło do rewolucji w strukturach organizacyjnych ruchu jaskiniowego i klasyfikacja sportowa została anulowana. Zmiany sytuacji politycznej w Polsce umożliwiły reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego. Organizacja ta odłączyła się od PTTK i SA PTTK została zlikwidowana, a KW usamodzielnił się i jego zadaniem było „rozwijanie i otaczanie opieką ruchu wyso-

kogórskiego w Polsce oraz ruchu speleologicznego (jaskiniowego) o charakterze sportowym". Jak stwierdzał „Taternik" (3/1957) „dla taterników był to przede wszystkim powrót do dawnych tradycji. Grotołazi uzyskali natomiast po raz pierwszy możność stanowienia o swych własnych sprawach. Reaktywowanie Klubu podkreśliło związek między taternictwem a taternictwem jaskiniowym. Związek ten oparty na wspólnych podstawach ideowych jest zagwarantowany statutem Klubu i wyraża się we wspólnych formach organizacyjnych. Przez wchłonięcie taternictwa jaskiniowego, Klub Wysokogórski wzbogacił się o nową formę działania".

Rok 1956 był przełomowy „pod względem organizacyjnym" dla ruchu jaskiniowego, jako że jednolita dotąd struktura organizacyjna stała się wówczas zróżnicowana, gdyż wśród grotołazów doszło wtedy do rozłamu. Bo choć KTJ SA PTTK przerodziła się w KTJ KW, a Oddziałowe Sekcje Taternictwa Jaskiniowego stały się od razu (w początkach 1957 r.) Sekcjami Taternictwa Jaskiniowego przy Kołach Klubu Wysokogórskiego (w Krakowie, Toruniu, Warszawie, Wrocławiu i Zakopanem), to część grotołazów z tych sekcji pozostała jednak w strukturach PTTK. I tak w Zakopanem obok STJ utworzyli oni Koło Jaskinioznawcze, a w Warszawie w styczniu 1957 r. Speleoklub Warszawski. Ponadto – jak informuje „Taternik" 1/1960 – „w niektórych miastach utworzyły się nieliczne, na ogół efemeryczne związki lokalne, podporządkowane organizacjom turystycznym" (np. Sekcja Grotołazów Koła PTTK przy AGH w Krakowie założona w początku [?] 1957 r.).

Ten podział organizacyjny grotołazów oficjalnie uzasadniany był zróżnicowaniem zainteresowań poszczególnych grup – „przyczyną tego była z jednej strony odmienność poglądów na cele i metody odkrywczej speleologii, z drugiej – bardzo wysokie wymagania stawiane członkom Klubu Wysokogórskiego" – twierdził wtedy Przemysław Burchard, zaś ówczesne kierownictwo KTJ głosiło że „jedną z najważniejszych konsekwencji dokonanych zmian organizacyjnych [reaktywacji KW] jest ścisłe sprecyzowanie pojęcia taternictwa jaskiniowego i wysunięcia na pierwszy plan jego sportowego charakteru. Obecnie po raz pierwszy część ludzi interesujących się jaskiniami jako terenem turystyki, dotąd – może trochę „na siłę" włączonych w organizację polskiego taternictwa jaskiniowego, znalazła się poza jego obrębem". Ale w istocie zasadniczy wpływ na to miały względy ambicjonalne i animozje istniejące głównie między częścią środowiska zakopiańskiego (co przeniosło się też na część środowiska warszawskiego) i grotołazami ośrodka krakowskiego. Potwierdza to fakt, że niektórzy grotołazi należeli do obu organizacji w swojej miejscowości i dodajmy że istnienie podwójnego członkostwa było – jak wspomina Apoloniusz Rajwa – „przyczyną niemałego zamieszania w przypisywaniu sobie przez te organizacje sukcesów".

Nowa Komisja Taternictwa Jaskiniowego KW wybrana została w marcu 1957 r. Istniało wówczas 5 podlegających jej „bezpośredniej dyspozycji i kontroli" Sekcji Taternictwa Jaskiniowego skupiających ok. 200 grotołazów, gdy wszystkich kół KW było wtedy 16 i liczyły one ok. 1250 członków.

Podobną nadrzędną ogólnopolską strukturę stworzyły niedługo potem też organizacje jaskiniowe należące do PTTK. Do jej powstania doszło w XII 1958 r. na Ogólnopolskim Zjeździe Speleologicznym. Początkowo nosiła ona nazwę Podkomisja Speleologii PTTK, później (od 1960 r.) Komisja Speleologii PTTK. Podlegały jej wszystkie kluby jaskiniowe znajdujące się w strukturach PTTK.

W tym samym czasie pojawiła się pierwsza studencka organizacja jaskiniowa, utworzona w roku 1958 z części Sekcji Taternictwa Jaskiniowego Koła KW we Wrocławiu. Była to Sekcja Grotołazów Akademickiego Klubu Turystycznego. Od tego czasu przez wiele lat istniały trzy oddzielne piony organizacyjne ruchu jaskiniowego: w Klubie Wysokogórskim, w PTTK i przy organizacjach studenckich.

[1] Jest to pierwsze opracowanie tego tematu. W czasie zbierania do niego materiałów okazało się, że brak wielu podstawowych informacji o tych organizacjach. Istnienie niektórych z nich, zwłaszcza tych wcześniejszych, zostało czasem jedynie tylko odnotowane i nie wiemy dziś nie tylko nic o ich działalności, ale nawet tego kiedy zostały założone, a tym bardziej do kiedy istniały. Dodatkowym problemem jest to, że niekiedy w różnych źródłach podawane są wiadomości przeczące sobie nawzajem. Zdarza się, że jedna organizacja występuje niemal w tym samym czasie pod kilkoma różnymi nazwami i jak na razie nie potrafimy stwierdzić, czy istotnie nie zmieniała tak często nazwy, albo czy nie jest to błędem. Będziemy więc wdzięczni za wszelkie sprostowania i uzupełnienia.

[2] Należy przy tej okazji poinformować, że fakt istnienia tej organizacji neguje W.H. Paryski w „Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej" (1995), twierdząc iż jest to wiadomość błędna, gdyż jego zdaniem wówczas Sekcja Przyrodnicza PTT „już od dawna nie istniała". Twierdzenie to jednak stoi w jaskrawej sprzeczności z dokumentami z epoki (jak przede wszystkim z drukowanymi sprawozdaniami PTT np. z 1924 r. czy relacjami zamieszczanymi wówczas w wydawnictwach tego towarzystwa), które wyraźnie mówią zarówno o funkcjonowaniu wówczas Sekcji Przyrodniczej, jak i istnieniu przy niej owego Koła.

[3] Koło to funkcjonowało nieco dłużej niż dotąd podawany (np. przez S. Zwolińskiego 1987) jeden rok, gdyż zawiązało się w I połowie 1923 r., a wiemy o wyprawach jaskiniowych prowadzonych przez nie jeszcze w 1925 r.

[4] Niekiedy opisywane też pod nazwą Komisja Badań Jaskiniowych.

Alaska Railroad

Marcin Tomaszewski

Poranek 16 kwietnia – Anchorage, Alaska

Po wielogodzinnym locie z Europy i nocy spędzonej na podłodze recepcji miłego motelu w Anchorage, naszym oczom na horyzoncie ukazują się wreszcie góry Alaski. Dopiero teraz po spotkaniu z Krzyśkiem możemy z Dawidem na własne oczy obejrzeć egzemplarz „Climbinga" od którego wszystko się zaczęło. Na jego łamach opublikowano kiedyś zdjęcie dziewiczej ściany. Mały obrazek z podpisem „Niezdobyta południowa ściana Kichatny". To zdjęcie bardzo nas zainspirowało. A jeszcze bardziej jej mit. Ta nieprzychylna wspinaczom ściana od lat odpiera ataki wszystkich wypraw. To właśnie zdjęcie było wszystkim co posiadaliśmy na jej temat. Dla nas było jedynym dowodem jej istnienia. Zrobione z oddali, niewyraźne formacje skalne budziły wiele pytań, z których najważniejszym było, dlaczego? Dlaczego południowa nie ma jeszcze przejścia? Dlaczego po kilku miesiącach poszukiwań nie zdobyliśmy o niej żadnych innych informacji? Koniecznie musieliśmy to sprawdzić.

18 kwiecień – lądowanie w głębokim śniegu

Dwa dni później lecimy już samolotem w stronę doliny Shadows. Z każdą chwilą lotu góry wydają mi się coraz potężniejsze. Lawirując pomiędzy strzelającymi w niebo granitowymi turniami mam wrażenie, że niemal się o nie ocieramy. Jeszcze przed lądowaniem w dolinie prosimy pilota o pętlę nad Południową. Na myśl o pierwszym spotkaniu drżą nam serca. W końcu znamy ją tylko z tego jednego zdjęcia. Gdy tylko pokonujemy przełęcz z doliną Shadows, milkniemy. Naszym oczom ukazuje się południowa. Po chwili wszystkie wyobrażenia i nadzieje z Polski jakby wywiewają za okno. To niemożliwe. Nasza ściana marzeń istnieje jedynie...w połowie. Po kilku miesiącach studiowania linii potencjalnej drogi nie mogę wprost uwierzyć swoim oczom. Biegnąca w poprzek ściany formacja jest najzwyklejszą granią za którą odsłania się już wschodnia wystawa Kichatny. Ta, choć piękna, pocięta jest już pięcioma drogami. Czar niezdobytej prysł.

Podchodzimy do lądowania. I nagle olśnienie! Przed nami niespodziewanie ukazuje się nieprawdopodobny widok. Jak ze snu. Piękna strzelająca w niebo granitowa rakieta. Ponad tysiąc metrów pięknej ściany. Gdy płozy samolotu osiadły na miękkim śniegu, wskazuję na nią palcem, pytamy pilota, czy wie coś o tej ścianie? „Yes, this is Citadel Wall and has probably one route", – odpowiedział. Spoglądam na Krzycha i Dawida, tak – to jest to!

Transport pod ścianę

24 kwiecień – wchodzimy w nieznajomą ścianę

Po czterech dniach poręczowania wchodzimy wreszcie w ścianę. Ponad nami piętrzy się wielka granitowa wieża. Dzięki lornetce kluczowe formacje mam już dokładnie wyryte w pamięci. Lustracja z bazy jest kluczem do rozwiązania tej skalnej łamigłówki. Od chwili wejścia widoczność

jest dość ograniczona, widzimy najwyżej dwa do trzech wyciągów ponad sobą. Powyżej ściana ginie już gdzieś poza horyzontem.

Pierwszy biwak jest komfortowy, tuż nad półką śnieżną. W ciągu pierwszych trzech dni wgryzamy się dwieście pięćdziesiąt metrów w monolit. Delikatna wspinaczka ciągami rys wyprowadza nas dokładnie tam gdzie przewidywaliśmy. W samo serce ściany. W przewieszonym monolicie aż chce się żyć. Podczas małpowania skaczemy w wahadła. Gdzie tylko da się oderwać od ściany, robimy to. Wspinanie daję nam najprawdziwszą radość. Cieszymy się przewieszeniem i widokami. Te chwile są naprawdę piękne... Po trzech dniach ściana nagle zmienia swoje oblicze. W ciągu kilku godzin cała pokrywa się białą szadzią. Ta dotychczas piękna pomarańczowa skała teraz staje się groźna i wymagająca. Już nie żartujemy. Zapchane śniegiem rysy wymagają czyszczenia i ostrej walki. Temperatura spada do -20 stopni. Prowadzący celebruje w samotności każdy trudny ruch. Nie mówimy o tym nie musimy, każdy to poczuł. Nie można dać się zwieść górom, uśpić swoją czujność. Każda, zdawało by się piękna chwila, w sekundę może się przemienić w piekło, na które trzeba być przygotowanym.

29 kwiecień – II biwak w środku monolitu

Już drugi dzień poręczujemy teren ponad drugim biwakiem. Wspinaczka wiedzie systemem rys i zacięć o wszystkich niemal szerokościach. Pogoda zdecydowanie się poprawiła. Po przebiciu się przez monolit skała zaczyna być coraz bardziej krucha.

Po wyjściu z wielkiego zacięcia pięć wyciągów ponad drugim biwakiem wszystko dookoła zaczyna dudnić. Całą ścianę pokrywają odstrzelone tafle granitu. Gdyby wszystko jakoś się trzymało, miały by co najmniej piątkę, teraz z gasnącą nadzieją na klasykę, robię je hakowo. Wiem, że nie mogę odpaść, muszę wspinać się bardzo delikatnie. Jeśli coś się ukruszy, niczym gilotyna uderzy w sam środek stanowiska.

Po męczącym dniu wspinania jak co dzień zaczynamy gotowanie kolacji. Po wejściu do portali rozdzielamy prowiant. Wodę topimy z zabranego w worze transportowym śniegu. Po kilku słonecznych dniach przeobraził się w szklisty lód, musimy kruszyć go dziabami.

W ciągu kilku kolejnych dni rozbijamy trzeci obóz i rozpoczynamy poręczowanie ostatniego spiętrzenia ściany. Lustrując z bazy górę przy-

Zespół w komplecie na biwaku

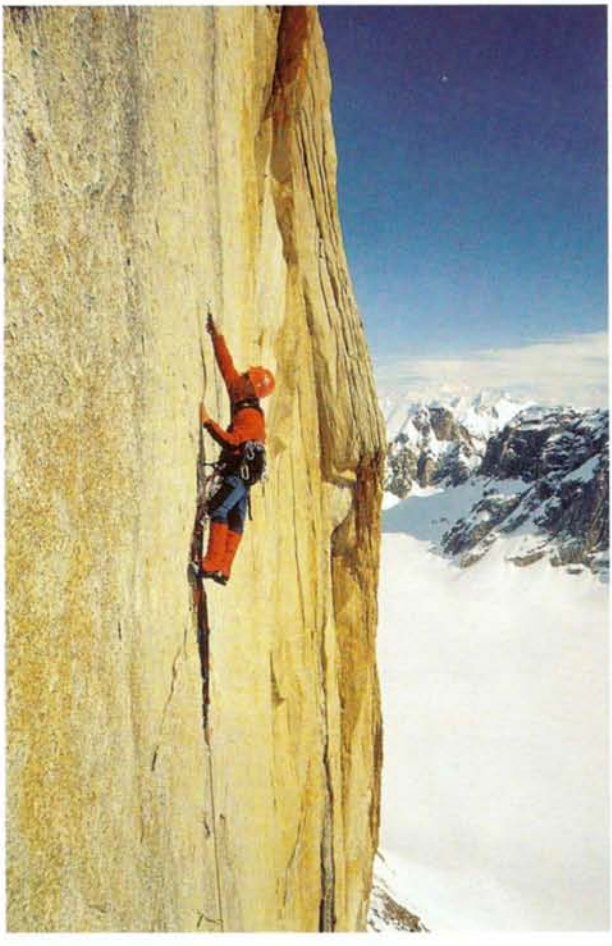

W monolicie Citadel

puszczaliśmy, że widoczna z bazy turnia prawdopodobnie jest szczytem. Jak się teraz okazuje ponad nią jest jeszcze dużo wspinania. Spakowany przezornie na dnie wora sprzęt do wspinaczki lodowej teraz bardzo nam się przydaje. Rozpoczynają się kuluary lodowe.

3 maja – widok ze szczytu

Dziś wspinamy się na szczyt. Po sześciu wyciągach wspinaczki w lodzie w godzinach południowych stajemy wreszcie na najwyższym punkcie. Do tej chwili był on ostatnią zagadką ściany. Nie byliśmy pewni ile jeszcze musimy pokonać wyciągów, żeby go osiągnąć. Siedząc na śnieżnej grani grzejemy się w słońcu. Pierwszego dnia pobytu w dolinie byliśmy oczarowani nieznajomą górą. Po kilkunastu dniach w końcu stanęliśmy na jej szczycie. Nie żałuję, że nic o niej nie wiedziałem. To co odkryłem całkowicie mi wystarcza.

Drogę nazywamy „Ostatni krzyk motyla". Na rozgrzanym w słońcu monolicie wygrzewały się ich dziesiątki. Gdy ściana podczas załamania pogody zmieniała swoje oblicze, wszystkie ginęły.

Wyprawie patronował i dofinansował Polski Związek Alpinizmu
Dziękujemy również naszym sponsorom, firmom: „Lhotse" – za sprzęt i „Alvika" – za odzież.
„Ostatni krzyk motyla", Citadel, Shadow Glacier, Alaska. ~1150 m + zjazd 40 m VI big wall, VII UIAA, A4, C3, lód 70 st.
Krzysztof Belczyński, Dawid Kaszlikowski i Marcin Tomaszewski,
20-23.04 – poręczowanie
24.04-3.05 – przejście ściany
3-5.05.2003 – zjazdy

Zdjęcia:
Dawid Kaszlikowski – Studio Wspin
Portret autora: Janusz Kurczab

Podczas załamania pogody

Home Speed Home

Pierwsza polska droga na zachodniej ścianie Dru

Grzegorz Skorek

Aiguille du Dru – skalna piramida, piętrząca się nad zatłoczonym niezliczoną ilością turystów Chamonix, stała się celem centralnego wyjazdu Polskiego Związku Alpinizmu w składzie Janusz Gołąb, Stanisław Piecuch, Grzegorz Skorek.

W zasadzie do ostatniej chwili nie byliśmy zdecydowani na jakąś konkretną drogę na zachodniej ścianie. Decyzja miała zostać podjęta po podejściu pod ścianę. W grę wchodziło bądź powtórzenie ostatniej drogi Lafaille'a, bądź nowa droga na prawo od *Directe Americaine*.

Fot. G. Skorek

Gdy podeszliśmy pod ścianę pojawił się jeszcze trzeci wariant to znaczy nowa droga przez sam środek wielkiego obrywu. Po kilku minutach podjęliśmy jednak decyzję, że wejdziemy w ścianę systemem zacięć na lewo od drogi braci Remy i na prawo od Passage Cardiac Pioli.

W ścianę weszliśmy 18 lutego o godzinie 12. Podczas pierwszego dnia, pnąc się niemal wprost do góry, pokonaliśmy około 80 metrów częściowo zalanych lodem zacięć.

Noc spędziliśmy jeszcze na półce śnieżnej u podstawy ściany, by po kolejnym dniu wspinania dojść do wielkich tarasów zachodniej ściany Dru. Podczas wspinaczki na tym odcinku przedzieraliśmy się systemem rys i zacięć, pokonujących kolejne okapy i oferujące trudności do A3 z użyciem sky– i bathooków.

Z tarasów wydawało się, że rysy, mające właśnie tam początek, doprowadzą nas aż do *Bloc Coincé*. Wspinanie powyżej tarasów to czysta przyjemność – skała doskonalej jakości i piękna pogoda. Wyjątkiem okazały się jedynie dwa wyciągi. Pierwszy z nich zapowiadał się bardzo przyjemnie – szeroka szpara na friendy. Niestety w połowie wyciągu okazało się, że ze szczeliny wystaje potężny głaz, który tylko tknięty grzmi niczym rozwścieczona teściowa. Jedyną drogą obejścia okazało się przehaczenie kilku metrów na bathookach. Sytuacja z bathookami powtórzyła się kilka wyciągów wyżej z tym, że tym razem na przeszkodzie stanęła szeroka rysa przerastająca rozmiarem nasze friendy. Ponownie rozwiązaniem stały się bathooki.

Piątego dnia wspinania system rys wyprowadził nas do *Directe Americaine*, co wyraźnie ucieszyło Staszka gdyż dawało szanse na szybszy powrót do Polski. *Diretą* doszliśmy ponad 90 metrowe Zacięcie, które, jak się okazało, ma 70 metrów, i dalej, po trawersie na grań północno – zachodnią, do szczytu. Po siedmiu dniach wspinania, 23 lutego o godzinie 14, stanęliśmy na szczycie Petit Dru.

Do podstawy ściany zjechaliśmy następnego dnia, a stamtąd prosto do Chamonix.

Za wsparcie finansowe zespół pragnie podziękować Polskiemu Związkowi Alpinizmu a za siedem dni pogody pani Chmurce.

Linia drogi i biwaki. arch. G. Skorka

Udana zima 2003 w Masywie Mont Blanc

Sprzyjająca pogoda i dobre warunki śnieżno-lodowe w Alpach pozwoliły na szereg wybitnych przejść zimowych, w dodatku dokonanych w dobrym stylu. Szczególnie wiele działo się w Masywie Mont Blanc.

Efektowną serią przejść popisała się francuska dwójka: Patrick Bérhault i Philippe Magnin. Pokonali oni wszystkie wybitniejsze drogi na południowych ścianach Mont Blanc – Brouillard i Frêney. Najpierw w dniach 11 – 19 lutego, mając za bazę maleńkie bivacco Eccles, „zaliczyli" 9 lodowych dróg prowadzących kuluarami i kominami. Pokonali m.in. jedną z najtrudniejszych w rejonie, rzadko powtarzaną drogę *Hyper-goulotte* (V/6+/R/5c A1). Po ukończeniu każdej drogi wracali do bivacca. 19 lutego przeszli kombinację *Grand couloir du Frêney* oraz *Cascade du Frêney* aż do wierzchołka Mont Blanc, po czym z Vallota zjechali na nartach do Chamonix. 23 lutego wrócili do bivacca Eccles i następną serię wspinaczek, tym razem skalnych, rozpoczęli od *Pilier Dérobé* na ścianie Frêney. W okresie do 5 marca, stosując tę samą taktykę, pokonali 8 dróg na filarach, w tym prawdopodobnie nie powtórzone dotychczas drogi z 1971 r. na ścianie Brouillard – poprowadzoną samotnie przez Erica Jonesa na Centralnym Filarze i polską (R. Kowalewski, J. Mączka i W. Wróż) na Lewym Filarze.

Inni czołowi wspinacze francuscy Patrick Gabarrou, Philippe Batoux i Benoît Robert wytyczyli w dniach 26 – 28 lutego nową drogę na pn. ścianie Grandes Jorasses. Wiedzie ona stromymi rynnami między drogami Kukuczka-Kurtyka-Łukaszewski z 1975 r. i jugosłowiańską (Franc Knez i tow.) z 1977 r. Nowa linia, ochrzczona *A Ley*, ma 850 m wysokości i wyprowadza na żandarma w grani pomiędzy Pointe Croz a Pointe Hélène, dla którego autorzy drogi zaproponowali nazwę Pointe Magali. Trudności drogi ocenia się na V 5+ M5+ A2+ 6b – prawdziwy skalno-mikstowy koktail...

Jeszcze jedno wybitne osiągnięcie sezonu zapisali na swoje konto alpiniści francuscy. Stéphane Benoist, Patrick Pessi i Patrice Glairon-Rappaz przeszli w dniach 19-28 lutego kombinację *Super-Intégrale* na Grani Peuterey – drogi: Ratti-Vitali na Aiguille Noire, Boccalatte-Gervasutti na Punta Gugliermina, oraz *Frêneysie Pascale* na Mont Blanc. Przed 21 laty podobna kombinacja (Centralny Filar Frêney zamiast *Frêneysie Pascale*) zajęła 15 dni legendarnemu włoskiemu soliście Renato Casarotto.

Nie zabrakło również alpinistów polskich. Nową drogę na zach. ścianie Petit Dru poprowadziła w dniach 18 – 23 lutego trójka: Janusz Gołąb, Stanisław Piecuch i Grzegorz Skorek. Więcej o drodze możemy przeczytać na str. 13.

Spośród przedstawicieli innych narodowości wyróżniła się niemiecko-szwajcarska dwójka Robert Jasper i Markus Stofer oraz Brytyjczycy.

Od dawna mówiło się o możliwości klasycznego przejścia legendarnej drogi *No Siesta* na pn. ścianie Grandes Jorasses, poprowadzonej w lipcu 1986 r. przez Czechów Jana Porvaznika i Stanislava Glejdurę i dotychczas powtarzanej hakowo – A2 i A3. Dokonali tego dopiero Jasper i Stofer, przechodząc ją w stylu OS dry tooling w dniach 17-19 marca 2002 r. Jasper, który tej zimy otworzył dwie nowe mikstowe drogi M12, stwierdził, że *No Siesta* to droga „długa i poważna", z wieloma odcinkami cienkiego lodu i ocenił trudności na VI+ M8 E5.

Brytyjski wspinacz Ian Parnell w ciągu 6 godzin przeszedł samotnie drogę Shea-Jackson na pn. ścianie Les Droites. Jest to rzadko pokonywany wariant do klasycznych dróg na pn. ścianie, wyprowadzający wprost na Brèche des Droites.

W połowie marca zespoły brytyjskie poprowadziły dwa nowe warianty na 1000-metrowej pn.-zach. ścianie Aiguille Sans Nom. Nick Bullock i Jules Cartwright wyprostowali start do drogi Brown-Patey, łącząc się z nią po 7 wyciągach wycenionych na M6+/7. W tym samym czasie Kenton Cool i Guy Willett połączyli dolną część *Russian Roulette* z górną partią direttissimy Gabarrou-Silvy. Powstała w ten sposób 950-metrowa droga o dużym nagromadzeniu trudności mikstowych, wyceniona na szkockie 6 z dwoma odcinkami 7.

Północna ściana Grandes Jorasses.
1– *No Siesta*, 2 – *A Ley*. Fot. i topo: J. Kurczab

Rok 2002 w górach najwyższych

Himalaje - wiosna

Wiosną 2002 r. Nepal był mniej licznie odwiedzany w stosunku do lat poprzednich. Przyczyniły się do tego nie tyle zamachy na World Trade Center w Nowym Jorku, ile sytuacja wewnętrzna po pamiętnej masakrze rodziny królewskiej i wzrost aktywności bojówek maoistowskich. W znacznie większym stopniu dotyczyło to ruchu turystycznego i grup trekkingowych. Władze Nepalu próbowały przeciwdziałać tej sytuacji, otwierając dla wypraw szereg nowych szczytów i obniżając royalty, co sprawiło, że stosukowo sporo wypraw zjawiło się w Himalajach Nepalu. Większość z nich działała w najbezpieczniejszym rejonie – Khumbu Himal.

Niezmienną popularnością cieszył się Everest, który próbowały osiągnąć 44 ekspedycje (wliczając również tybetańską stronę góry). Tylko jedna z nich – amerykańsko-nowozelandzka – próbowała inną drogą niż zwykła. Zaatakowała ona zach. grań od strony Khumbu i po osiągnięciu ok. 7400 m przeniosła się na drogę od Południowej Przełęczy. Wśród wielu wejść szczytowych warto wymienić poprawienie rekordu Anny Czerwińskiej. 16 maja na wierzchołku Everestu stanęła 63-letnia Japonka Tamae Watanabe, stając się najstarszą kobietą na szczycie świata. Tego samego dnia, 16 maja, ustanowiono jeszcze innego rodzaju rekord, dobrze oddający sytuację na Evereście: korzystając z pięknej pogody na wierzchołku stanęło 77 osób! Czy można dziwić się tym, którzy wzywają do zamknięcia na pewien czas najwyższego szczytu świata dla wypraw? Mount Everest miał tej wiosny 155 wejść: 91 od południa i 64 od północy. Wśród zdobywców było 5 pań, dwie osoby zginęły.

Jednym z najlepszych osiągnięć sezonu było drugie przejście jednej z najpoważniejszych dróg w Himalajach Nepalu, długiej i wytężającej wschodniej grani Annapurny, po raz pierwszy pokonanej w 1984 r. przez szwajcarskich przewodników Erharda Loretana i Norberta Joosa. Siedem i pół kilometrowej długości droga prowadzi przez wierzchołki wschodni (8047 m) i centralny (8061 m). Po założeniu 3 stałych obozów (najwyższy na wys. 7100 m) i dwóch biwakach na grani, przejście powiodło się silnej dwójce francusko-hiszpańskiej: Jean-Christophe Lafaille i Alberto Iñurrategi. Główny wierzchołek Annapurny (8091 m) osiągnęli oni w dniu 16 maja, po czym musieli jeszcze raz zabiwakować w drodze zejściowej. Wejściem tym 34-letni Iñurrategi dołączył do grona zdobywców Korony Himalajów, jako 10 z kolei i najmłodszy . Lafaille i Iñurrategi zostali nominowani do nagrody Złotego Czekana 2002. Kilka wejść na Annapurnę miało również miejsce od strony północnej.

Wszystkie z czterech wypraw atakujących Kangchendzöngę (8598, 8586 m) zakończyły się sukcesem. Drogą pierwszych zdobywców od lodowca Yalung w dniach 13 i 14 maja weszła dwójka Koreańczyków z Szerpą, jeden Czech oraz siedmiu Kazachów (w tym dobrze znany nam Denis Urubko). Na północnej flance szczytu działała międzynarodowa wyprawa pod kierunkiem Dana Mazura. 24 maja na wierzchołek weszli Szkot Stuart Findley i Kanadyjczyk Chris Grasswick. 40-letni Grasswick zabił się w zejściu wskutek poślizgnięcia na wys. 8400 m.

Cztery ekspedycje obrały sobie za cel Makalu (8485 m), wśród nich międzynarodowa prowadzona prze Piotra Pustelnika (patrz „Taternik" 4/2001 str. 12). Trzy z nich – oprócz ekipy Pustelnika jeszcze wyprawy hiszpańsko-włoska i szwajcarska – osiągnęły wierzchołek drogą pierwszych zdobywców. Jedyną ekspedycją próbującą zdobyć Makalu inną drogą, byli Hiszpanie pod wodzą Juanito Oiarzabala – pierwszego hiszpańskiego zdobywcy Korony Himalajów. Na zach. filarze osiągnęli oni podstawę tzw. Ściany Seigneura, kluczowego miejsca skalnej części drogi na wysokości ok. 7600 m, kręcąc przy okazji film dla hiszpańskiej telewizji. Jedyną ofiarą Makalu był w tym sezonie członek wyprawy Pustelnika, 59-letni Amerykanin Raymond D. Caughron, który zmarł w czasie nieprzygotowanego biwaku na wys. ok. 7200 m.

Niewielka, ale bardzo silna, amerykańsko-kanadyjsko-słoweńska wyprawa atakowała nową drogę na południowej ścianie Nuptse (7861 m). Po pokonaniu dużych trudności skalnych (do 5.9) w środkowych partiach ściany, Marko Prezelj, Steve House i Barry Blanchard dotarli na wysokość 7200 m, gdzie połączyli się z drogą pierwszych zdobywców głównego wierzchołka. Stąd zamierzali osiągnąć niezdobyty wierzchołek Nuptse East I (7804 m). Kontynuowali wspinaczkę tylko do wys. 7300 m i zostali zmuszeni do wycofania się z powodu pogarszającej się pogody.

Spośród pięciu wypraw zamierzających wejść na Lhotse (8511, 8516 m), cztery wprowadziły

na wierzchołek swoich uczestników, w sumie 35 osób. Wśród nich był zamieszkały na Bahamach 60-letni Brytyjczyk David Mellor. Wszystkie ekspedycje działały na zwykłej drodze z Western Cwm.

Trzeci z ośmiotysięczników Khumbu Himal – Cho Oyu (8153, 8201 m) również był bardzo popularny w tym sezonie. Około 20 wypraw operowało na normalnej drodze od strony Tybetu. Między 24 kwietnia a 19 maja szczyt osiągnęło 48 alpinistów, w tym jedna kobieta.

Zwykłą drogę na Manaslu (8156, 8167 m) oblegało 6 ekspedycji. 29 wspinaczy weszło na wierzchołek, wśród nich kobieta – Austriaczka Gerlinde Kaltenbrunner.

Piękny sukces na nietkniętej przez wspinaczy tybetańskiej flance Pumori (7145, 7161 m) odniosła 9-osobowa wyprawa szwajcarska, w której pierwsze skrzypce grał dobrze znany nam Szwajcar Erhard Loretan. Po założeniu obozu II (6050 m) u podstawy północnego filara, zaporęczowano 650-metrową partię porównywalną trudnościami z pn. ścianą Matterhornu. Następnie, w dniu 7 maja Loretan wraz ze swoją rodaczką Chantal Oudin pokonał cały filar aż do szczytu i wrócił do obozu II. Pozostałych członków wyprawy nie było stać na rozwinięcie takiego tempa. 9 maja założyli oni jeszcze jeden obóz na wys. 6700 m, planując przeprowadzenie następnego ranka ataku szczytowego. 10 maja Loretan wcześnie opuścił obóz II, dogonił swoich towarzyszy i ponownie wszedł z nimi na wierzchołek.

Jesień w Himalajach i nie tylko...

Po latach gorączki ośmiotysięcznej, w góry Azji Centralnej wraca w ostatnich latach – na razie bez udziału Polaków – zdrowy alpinizm eksploracyjny i sportowy. W 2002 r. koncentrował on się głównie na nowootwartych sześcio- i pięciotysięcznikach nepalskich, choć obejmował też inne rejony. W omówieniu sezonu pominiemy tym razem wejścia na ośmiotysięczniki. Odwiedzane były one tylko normalnymi drogami i w zasadzie można by tę działalność skwitować danymi statystycznymi, rekordami szybkości, wieku, itp.

Jednym z największych osiągnięć eksploracyjnych sezonu jesiennego, a zapewne i całego roku 2002 w wysokich górach, jest pierwsze wejście na Sepu Kangri (6956 m). Wznosi się on w długim paśmie górskim Nyaingen Tanglha Shan, już poza obszarem Himalajów, ciągnącym się 250 mil na północny wschód od Lhasy. Dwuwierzchołkowy szczyt wyrasta wysoko ponad morze okolicznych gór. Chris Bonington – po rekonesansie 1996 – próbował zdobyć wierzchołek dwukrotnie w latach 1997 i 1998, za drugim razem zawracając z wysokości 6800 m. Filmy o tych wyprawach pokazywane były kilkakrotnie na telewizyjnym kanale „Planete". Rejon ma kapryśną pogodę, mroźne zamiecie śnieżne, a stoki góry grożą lawinami. Minionej jesieni zdobyła go 7-osobowa wyprawa amerykańska, która z bazy na wysokości 4750 m założyła 3 obozy: 5415, 5860 i 6370 m. Kierował nią znany ski-alpinista, Mark Newcomb (35), a w zespole był jeden z najsłynniejszych alpinistów amerykańskich Carlos Buhler (48). Przy zakładaniu i wyposażaniu obozów cała ekipa posługiwała się nartami, szczególnie w niebezpiecznym lodowcowym terenie między obozami I i III. 2 października wejścia dokonali Buhler i Newcomb. Wyruszyli z „trójki" przy pięknej pogodzie, jednak już o 8 rano ogarnęła ich śnieżna zawierucha, w której o godz. 10 z trudem odszukali wierzchołek. Na szczytowym plateau i podczas powrotu do obozu III mieli dużo szczęścia, że nie pobłądzili w mgle i zamieci.

W rzadko odwiedzanych Himalajach Bhutanu możemy w 2002 r. odnotować eksploracyjny sukces Koreańczyków. Wyprawa pod kierunkiem Li In Oei dokonała I wejścia na Shimo Kangri (7204 m). 29 września na wierzchołku stanęło 5 alpinistów: Nam Yong Mo, Li Ji Ryue, Li Fua Fun, Kim Ze Yong i Chuen Oir. Shimo Kangri, noszący również bhutańską nazwę Kangphu Kang, leży na granicy między Tybetem a Bhutanem. Bazę na wys. 5200 m założono po dwudniowej jeździe z Lhasy jeepami i ciężarówkami. Droga Koreańczyków wiodła lodowcem i morenami od strony północnej a w końcówce – stromą pn.-wsch. ścianą. Fakt, iż Koreańczycy dostali pozwolenie na graniczny szczyt, pozwala mieć nadzieję na zdobycie w niedalekiej przyszłości wielu innych dziewiczych siedmiotysięczników w tej okolicy, w tym m.in. Tongshanjiabu (7207 m). Wcześniejsze próby uzyskania pozwoleń, m.in. w 1998 r. Japończyków na Gankar Pünzum (7541 m), kończyły się niepowodzeniem, z powodu sporów granicznych między Chinami i Bhutanem.

Równie rzadko odwiedzany pograniczny rejon Tybetu – łańcuch Ronglai Kangri (w Nepalu zwany Kanti Himal) – obrali sobie za cel Japończycy – członkowie Doshisha University Expedition. Łańcuch ciągnie się wzdłuż granicy na pn. od całkowicie w Nepalu leżącej grupy Kanjiroba Himal. Pięcioosobowa wyprawa pod kierunkiem Toyoji Wada zaatakowała dziewiczy najwyższy szczyt rejonu – Kaqur Kangri (6859 m). Odparł on już atak innej wyprawy japońskiej w 1998 r. Drogę poprowadzono wschodnim lodowcem Kaqur, wsch. granią i na koniec – graniczną pd.-wsch. granią. 24

września na wierzchołku stanęli wszyscy uczestnicy wyprawy – 5 Japończyków i 3 Szerpów.

Do czołowych, choć jakby przeoczonych przez media sukcesów sportowych 2002 roku trzeba zaliczyć pierwsze całkowite przejście, i to w stylu alpejskim, wspaniałej północno-zachodniej grani Ama Dablam (6856, 6828 m): 3 km w rzucie poziomym, 2000 m przewyższenia. Droga zaczyna się nad Dingboche i wiedzie przez boczny szczyt 6181 m. Przejścia (próbowało go wcześniej ok. 10 zespołów) dokonali w listopadzie Brytyjczycy Jules Cartwright (26) i Richard Cross (29). Planowana na tydzień, droga wydłużyła się do 11 dni – pod koniec dwójka wspinała się już o głodzie. Jesienna pogoda dopisała pod każdym względem. Obaj alpiniści są dumni z tego, że ich droga, podobnie zresztą jak przejścia ścian północno-wschodniej w r. 1985 i północno-zachodniej w 1996, nie została „spaskudzona" ani jednym spitem. Dwa lata temu Cartwright wsławił się trudną nową drogą na Moonflower Buttress. Uważa, że grań Ama Dablam jest wprawdzie technicznie łatwiejsza, ale jako realizacja wspinaczkowa – nieporównanie poważniejsza. Cartwright i Cross zostali za to osiągnięcie nominowani do nagrody Złotego Czekana.

Alpiniści z Lipska i okolic już od 1994 r. interesowali się dziewiczym Num Ri (6677, 6641 m) leżącym w grani między Baruntse a Shartse, 7 km na południowy wschód od Everestu. Ponieważ nie było go w spisie szczytów udostępnionych wyprawom, w r. 1999 dokonali I wejścia na sąsiedni Cho Polu (6735, 6695 m). Kiedy tylko rząd Nepalu otworzył Num Ri, z miejsca przystąpili do organizacji wyprawy. Trwała ona od 9 października do 28 listopada 2002 r., przy czym team liczył 7 osób, w tym 2 panie. 21 października stanęła baza (5140 m). Po założeniu dwóch obozów, 7 listopada wyruszono do końcowego szturmu, poręczując po drodze stromsze odcinki. Po południu tego samego dnia na szczycie stanęli Lydia Schubert (31), Carsten Schmidt (23) i dr Olaf Rieck (38).

Peak 41 (6654 m) – to dziewiczy sześciotysięcznik w sąsiedztwie „trekkingowego" szczytu Mera na południe od Mount Everestu. Szczyt był już dwukrotnie atakowany – w maju i czerwcu 2000. Jesienią 2002 r. próbę podjęli Słoweńcy i wyprawa zakończyła się zdobyciem niełatwego wierzchołka. 16 października skalno-lodową ścianą zachodnią na szczyt weszli kierownik wyprawy Matic Jošt (31), Uroš Samec (27) i Urban Golob (32). Oficjalnego wyjaśnienia ze strony władz nepalskich będzie jednak wymagała identyfikacja szczytu „Peak 41", gdyż w tym węźle górskim – podobnie jak w wielu innych – panuje duże zamieszanie w nazwach i wysokościach. Wielu specjalistów, np. autorzy przewodników trekkingowych Bill O'Connor i Jamie McGuiness oraz uczestnicy fińskiej wyprawy na Peak 41 w 2000 r., identyfikują go z tzw. „prawdziwym" Mera Peak (Real Mera), leżącym na pn. od Mera La, między lodowcem Khare a doliną Hunku. Ministerstwo Turystyki Nepalu popełniło błąd przypisując na liście dostępnych szczytów trekkingowych nazwę, kotę 6654 m i współrzędne Peak 41 innemu, łatwemu szczytowi, na który od wielu lat wchodzą uczestnicy wypraw trekkingowych. Szczyt ten, określany teraz jako False Mera (fałszywy, 6476 m), zdobyli już 20 maja 1953 r. „ojciec trekkingów" nepalskich i twórca pierwszej agencji „Mountain Travel" – Jimmy Roberts oraz Szerpa Sen Tenzing.

W dniach 20 i 21 października 7 uczestników wyprawy słoweńskiej w rejon Janak Himal (nieopodal Kangchendzöngi) weszło na dziewiczy Pathibara South (wg pomiaru GPS 6702 m) – dwiema sportowymi drogami (VI, 4, 1200 m i VI, 4+, 1200 m). Sebastjan Domenih i Aleš Koželj wybrali południowy filar, zaś Blaž Stres, Matija Klaninšček, Tomaž Tišler, Vasja Košuta i Miha Valič drogę dalej na prawo.

Łakomym celem w sezonie jesiennym 2002 był niedawno otwarty dla wypraw Tengi Ragi Tau, położony w sąsiedztwie znanej przełęczy Trashi Labtsa i „trekkingowego" Parchamo (rejon Rolwaling Himal). 23 października dwaj uczestnicy wyprawy czesko-słowackiej, Radek Lienert i Saša Toloch, zdobyli trudnym 1700-metrowym pd. filarem (ED, 75°) pd.-wch. niższy wierzchołek (6180 m).

Główny wierzchołek Tengi Ragi Tau (6943 m) był już u progu zimy celem ataku 5-osobowej wyprawy japońskiej zorganizowanej przez Hokkaido Mountaineering Association. Szczyt okazał się trudny technicznie, pogoda bardzo wietrzna, a droga pd.-wsch. ścianą – skomplikowana i niebezpieczna. Mimo to, po dwóch nieudanych próbach, pierwszego wejścia na dziewiczy wierzchołek dokonali w dniu 4 grudnia kierownik wyprawy Koichi Ezaki (50) i pani Ruchiya Takahashi (37), w towarzystwie 2 Szerpów. Następnego dnia wejście powtórzyło dwoje innych uczestników wyprawy – Ryutaro Morishita (25), pani Reiko Onda (24) oraz jeden Szerpa.

Słaby sezon w Karakorum

Klimat polityczny na świecie po terrorystycznych atakach 11 września 2001 r. sprawił, że latem 2002 r., mimo wydatnego obniżenia opłat, w Pakistanie wykorzystano tylko 28 pozwoleń na atakowanie szczytów w Karakorum. Biorąc pod uwagę, że niektórzy organizatorzy opłacili pozwo-

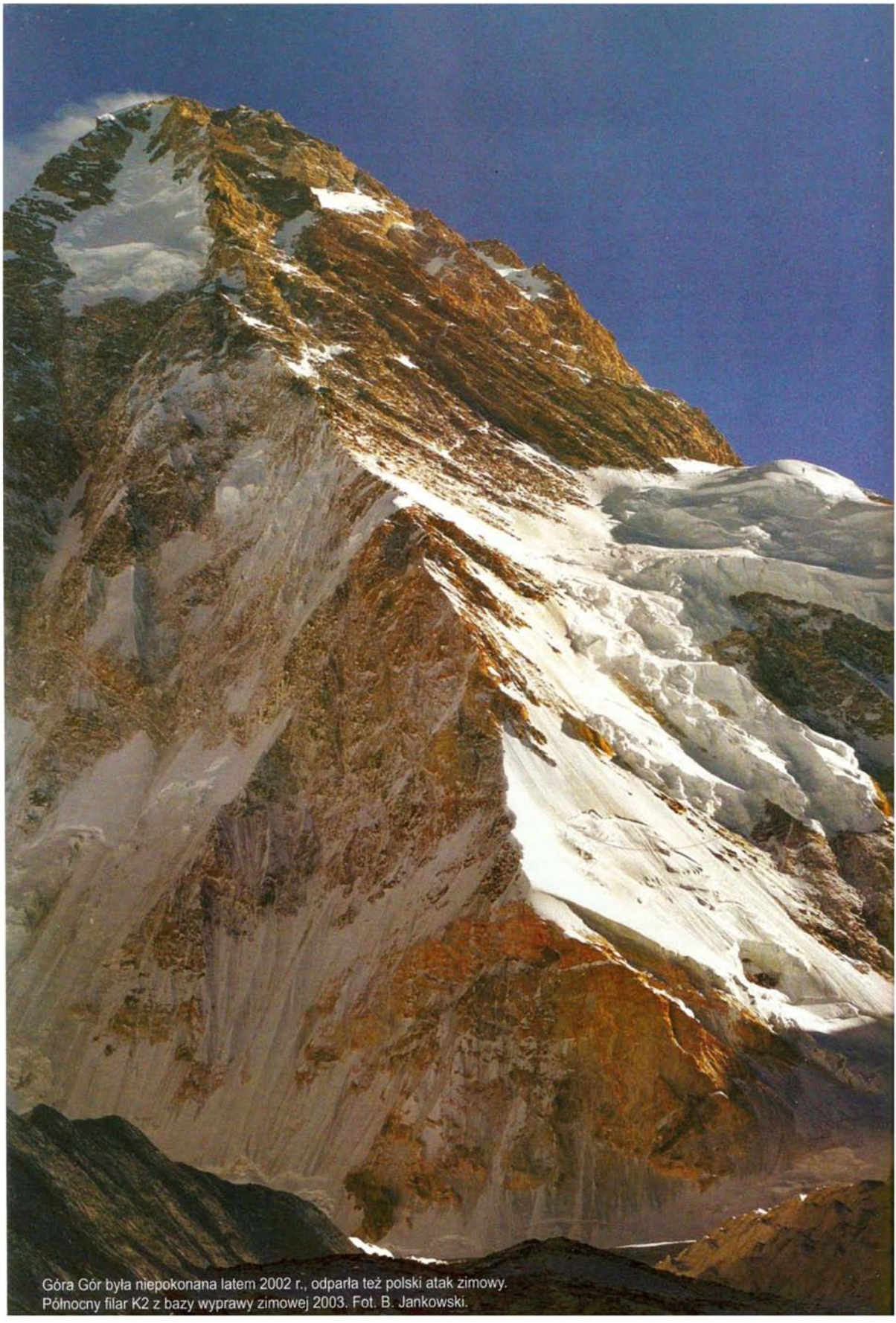

Góra Gór była niepokonana latem 2002 r., odparła też polski atak zimowy.
Północny filar K2 z bazy wyprawy zimowej 2003. Fot. B. Jankowski.

lenie na więcej niż jedną górę, rzeczywista liczba wypraw była jeszcze mniejsza (w 2001 r. było ich około 70). Do trudności politycznych dołączyła się wyjątkowo niekorzystna pogoda.

Najciekawsze osiągnięcie eksploracyjne zanotowano już na początku sezonu we wschodnim Karakorum, kontrolowanym przez Indie. Działała tam wyprawa indyjsko-japońska, kierowana przez Harisha Kapadię, która dokonała I wejścia na dotąd niezdobyty Padmanabh (7030 m, in. High Pyramid). 25 czerwca na szczycie stanęli Hiroshi Sakai (45) i Yakushi Tanahashi (39).

8 różnych ekspedycji atakowało K2, większość z nich działała ma Żebrze Abruzzów lub na drodze baskijskiej. Żadnej nie udało się osiągnąć wierzchołka, najbliżej byli uczestnicy Tybetańsko-Pakistańskiej Wyprawy Pokoju, którzy cofnęli się z wysokości 8000 m (mówiono też o 8400 m) wskutek gwałtownego załamania pogody. K2 pochłonął 2 ofiary. Jedną z nich był kpt. Muhammad Iqbal – oficer łącznikowy wspomnianej wyprawy (spadł na Żebrze Abruzzów w czasie zjazdu wskutek zerwania się starej liny poręczowej), drugą – tragarz wysokościowy wyprawy hiszpańskiej Sher Ajman (zabity przez lawinę lodową na drodze baskijskiej).

Amerykańscy filmowcy Jennifer Jordan i Jeff Rhoades wędrując w lipcu 2002 po lodowcu Godwin Austen natknęli się na kości ludzkie, resztki namiotu i fragmenty ekwipunku sprzed r. 1947. Na rękawicy w nadgarstku widniał dobrze czytelny napis: Wolfe, co jednoznacznie wskazuje na szczątki Dudleya Wolfe z Bostonu, nieszczęsnej ofiary znanej z dramatycznych opisów wyprawy Fritza Wiessnera z r. 1939.

Zwłoki Wolfe nie były jedynymi znalezionymi w tym sezonie w rejonie K2. W 1997 r. kierownik Mitsuo Hiroshima oraz 5 innych członków japońskiej wyprawy, która dokonała II wejścia na pobliski Skil Brum (7360 m), zostali zasypani w bazie (!) przez gigantyczną lawinę ze stoków Angelusa (Angel Peak, 6855 m). W zeszłym roku lodowiec odkrył ciała pięciu ofiar, a ocalała dwójka Japończyków przyleciała specjalnie by ponownie pogrzebać swoich towarzyszy.

Broad Peak był atakowany przez 5 wypraw i żadna z nich nie osiągnęła wierzchołka. Nikomu również nie udało się wejść na Gasherbrum II (8035 m). Porażką zakończyła się także 6-osobowa szwajcarsko-włoska wyprawa, zamierzająca powtórzyć drogę pierwszych zdobywców na Gasherbrum IV (7925 m).

Powiodło się natomiast japońskiej wyprawie na Gasherbrum I (8068, 8080 m), jednak jeden z alpinistów – Fumiako Goto (37) – omal nie stracił życia w drodze zejściowej. Po nieprzygotowanym biwaku na wysokości 7000 m doznał obrzęku mózgu i wpadł w śpiączkę. Uczestnikom wyprawy udało się przetransportować go do bazy, gdzie dalszej pomocy udzieliła dobrze wyposażona w tlen i sprzęt medyczny inna wyprawa japońska. Goto został szybko ewakuowany helikopterem ale odzyskał przytomność dopiero w czasie lotu do Islamabadu.

Jeśli chodzi o niższe szczyty, Niemcy z Saksonii pod kierunkiem Markusa Waltera atakowali Baturę II (7762 m), jeden z najwyższych dziewiczych szczytów świata. W dniach od 27 czerwca do 15 lipca Sasi założyli 4 obozy (górny 6580 m), po drodze wchodząc w piątkę na Batokshi (6050 m). 16 lipca trzej alpiniści ruszyli z obozu IV i szybko doszli do 7100 m, gdzie zastali 55-stopniowe lawiniaste stoki, które, mimo pogody i wczesnej godziny, zmusiły ich do odwrotu.

Zupełnie inaczej potoczyły się losy wypraw zamierzających wejść pd.-wsch. granią, drogą pierwszych zdobywców, na Spantik (7028 m). Wszystkie atakujące szczyt ekspedycje (pakistańska, hiszpańska, francuska i japońska) osiągnęły wierzchołek. Jako ostatni w sezonie – 1 września – weszli na Spantik dwaj zaawansowani wiekiem Japończycy Hatsuyoshi Nori (57) i Kenji Saito (59) w towarzystwie pakistańskiego tragarza wysokościowego Akbara. Saito osłabł w czasie zejścia, co zmusiło trójkę do zatrzymania się w obozie III. Przyszło załamanie pogody i ogromny opad śniegu. Saito zmarł wskutek ostrej choroby wysokościowej, zaś zejście pozostałej dwójki zmieniło się w gehennę wskutek zasypania niższych obozów grubą warstwą śniegu.

Ciekawymi sportowymi osiągnięciami sezonu w Karakorum mogą poszczycić się Amerykanie Brian McMahon i Josh Wharton. 3 sierpnia, po 18-godzinnej wspinaczce, zdobyli oni efektowną iglicę The Flame (ok. 6300 m) nad lodowcem Hainabrakk, prowadząc 700-metrową drogę *Under Fire*, o trudnościach 5.10+ X, A3, M5. Przenieśli się następnie pod nieodległą, znaną turnię Shipton Spire (5852 m). W ciągu 2 i pół dnia poprowadzili nową, niemal całkowicie klasyczną drogę 1300-metrowym południowym filarem (lewym filarem pd.-wsch. ściany). Nowa droga *The Khanadan Buttress* (khanadan w języku urdu znaczy „rodzina"), szósta już na ścianie, liczy 30 wyciągów i została przez zdobywców wyceniona na VI 5.11 C1.

Opracowane na podstawie: www.nyka.home.pl; www.kuvalehdet.fi/realmera, „Alpinist", „High", „Japanese Alpine News".

Rapsody in Snow Manaslu'2003

Piotr Pustelnik

Nie wiem, dlaczego wyprawa na Manaslu skojarzyła mi się z Gershwinem. Może dlatego, że było w niej tyle oczekiwania, tęsknoty za czymś, co nigdy się nie wydarzyło. Za dobrą pogodą, za harmonią działania, za spokojem i radością. Fakt, że w żadnej wyprawie wszystko to nie występuje w tym samym czasie, ale czyż nie można pomarzyć...

Nie jechałem do Nepalu zdrowy i odprężony. Skład wyprawy kurczył się i rozszerzał z dnia na dzień, raz miałem dziesięciu uczestników, raz pięciu, raz kasa wyprawy była pusta, raz pełna. Na szczęście mam niezawodnych przyjaciół z mBanku i związaliśmy koniec z końcem. Znad Zatoki dochodziły gniewne pomruki wojenne i wraz z nimi ochota westmanów znikała jak plamy wody na asfalcie w gorący dzień. Słowem szykowała się nerwówka do samego wyjazdu. Na dodatek na dwa tygodnie do godziny „0" zdawałoby się niewinna gra w koszykówkę skończyła się dla mnie zerwanym mięśniem przedramienia, bólem i niepewnością, co dalej. W normalnych warunkach, tj. wyjazdu na przykład do Zakopanego, po prostu bym wszystko odwołał, ale w tym przypadku rozpędzonej machiny organizacyjnej nie można było zatrzymać i obolały, nieźle zestresowany wyruszyłem do Nepalu. W zacnym towarzystwie doktora Piotra Klepacza, mojego serdecznego przyjaciela Józka Goździka i weterana Manaslu, Krzysia Tarasewicza. W Nepalu czekała już Anka Czerwińska. Mieli wkrótce dojechać Gruzini Gia Tortladze i Mamuka Tsisheli oraz partnerka Anki z Ama Dablam, Słowenka Barbara Drnovšek. W ostatniej chwili zdecydował się Darek Załuski, który właśnie powrócił z zimowej epopei na K2. „Łapanka jak za czasów okupacji", pomyślałem przelatując w myślach skład. Każdy z nas miał do Manaslu inny stosunek. Mój wynikał z faktu, że na Manaslu w moim programie przyszedł czas oraz z pokornej lekcji statystyki. Mówiła ona, że Manaslu to druga pod względem wypadkowości góra spośród wszystkich czternastu. Przed wyjazdem przeczytałem wszystko, co było w Polsce dostępne na temat Manaslu. W końcu mamy kilka wejść, w tym jedno zimowe. Ale ci, którym się udało, to prawdziwe tuzy polskiego alpinizmu, pierwszy garnitur lat osiemdziesiątych, czyli w tamtych czasach przodująca siła alpinizmu światowego, jakby powiedział jakiś tam towarzysz na jakiejś akademii. A w naszym składzie orłów i sokołów nie było, może tylko gołębie i kuropatwy. Szansę naszą upatrywałem w zespołowym działaniu i łucie szczęścia.

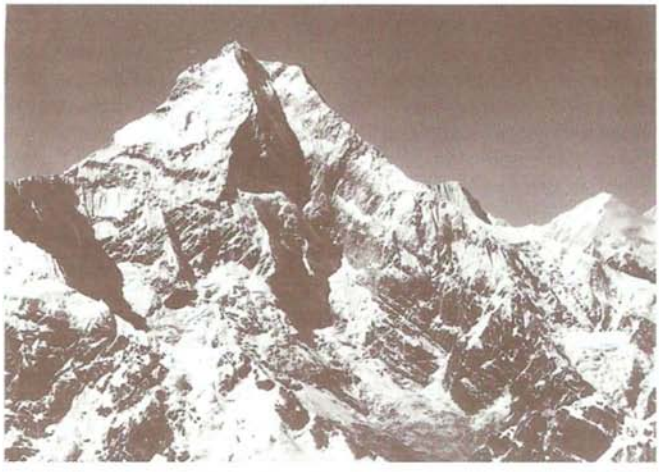

Manaslu (8156, 8167 m) od pd.-wsch. Fot. John Cleare

Kathmandu jest dla mnie jak dzielnica Łodzi, z tym, że nie muszę się opowiadać za Widzewem albo ŁKS-em. Znam to miasto, wiem czego się spodziewać po ludziach. A mimo tego, zawsze mnie czymś zaskoczą. Tym razem, zaskoczyli mnie taksówkarze, którzy kazali mi zapiąć pasy i zapłacić według licznika. No XXII wiek, jak na Nepal. Poza tym, Kathmandu odświętne jak na 50-lecie Everestu

przystało, ceny też. Tu nikt nie przejmuje się zasadami ekonomii, czyli prawami podaży i popytu. Tu jak można, to orzyna się klienta ile wlezie. Byle klient nie zapłakał, bo Nepalczyk wrażliwy jest i łez męskich nie lubi.

Do wioski Sama pod Manaslu wylecieliśmy, jak przystało na naszą agencję, po dziesięciokrotnym odraczaniu daty wylotu, helikopterem pary królewskiej i nic w tym dziwnego, bo to była jedna z dwóch pozostałych i sprawnych maszyn w tym kraju. Przelatując nad doliną nie zdawaliśmy sobie sprawy, że pod naszym adresem ze ścieżki popłynęły ciepłe słowa zazdrości wyprawy słoweńskiej, która mozolnie, w upale i kurzu podchodziła do Samy. W bazie, w tym czasie działała już komercyjna wyprawa amerykańska znanego komercjusza Dana Mazura. W drodze do bazy byli też „komercyjni" Holendrzy. To, że w bazie może być tyle wypraw komercyjnych na tak trudną i niebezpieczną górę, zdziwiło nas i było tematem licznych komentarzy. Mieliśmy tylko nadzieję, że to nie są to tak do końca „łosie" i „leszcze". No i jak pokazało życie, pomyliliśmy się tylko w 50%.

„Krzysiu, czyś ty zwariował? W tym miejscu baza? Wiesz ile jest jeszcze godzin do pierwszego śniegu?" To usłyszał Krzysiek Tarasewicz, który jako jedyny był w tym miejscu dwa lata temu. Staliśmy w łopianach i oglądaliśmy smętne resztki kamiennych murków, gdzieś w połowie drogi do prawdziwej bazy. „Stary, nie powiesz mi, że stąd startowaliście do szczytu?" „Tak", odpowiedział z rozbrajającym uśmiechem Krzysiek. „To dlatego nie weszliście" – padło bolesne i może niezbyt prawdziwe stwierdzenie. No i klamka zapadła, stawiamy bazę wyżej na śniegu. Dalsze 40 dni rzeczywiście spędziliśmy na śniegu, którego mieliśmy wkrótce po dziurki w nosie, naprawdę i w przenośni. 67 tragarzy, mężczyzn, kobiet i dzieci wniosło nasz dobytek na łagodne pole śnieżne nieco powyżej bazy amerykańskiej. Wkrótce przyszedł do nas Jeff Justman, przewodnik ze Seattle i jednocześnie, zastępca Mazura do spraw wspinaczkowych. Fajny facet i zawodowiec. Tym razem nie oparliśmy naszej kurtuazji o bufet z powodu skromnego bufetu. Za to dowiedzieliśmy się, że są tu od dwóch tygodni i zaporęczowali z Szerpami do około 6000 m. Mówili, że droga jest niebezpieczna i narażona na lawiny, ale do nas to jeszcze nie trafiało. Parę dni później przekonaliśmy się, że mówili prawdę.

Każda wyprawa, to noszenie, noszenie i jeszcze raz noszenie. Wie to każdy, kto chociaż raz był na dużej wyprawie. W tym przypadku, doszło jeszcze kopanie śniegu. Łopata stała się po czekanie najbardziej potrzebnym narzędziem alpinisty. W czasie całej wyprawy przekopaliśmy kilkadziesiąt wywrotek śniegu, bijąc rekordy z poprzednich wypraw, choć tamte już wydawały się wyśrubowane. Góra „zagrała" z nami jak wytrawny pokerzysta. Najpierw podpuściła nas wysoko, pozwalając w ciągu pierwszych dwóch – trzech tygodni założyć trzy, dobrze zaopatrzone obozy, a potem „dowaliła" śniegiem, tyle ile mogła. Na początku szliśmy jak burza, oczywiście korzystając z roboty, którą odwalili Amerykanie. Najpierw obóz I na szerokiej Naike Pass, potem niebezpieczne trawersy pod serakami i lawiniaste pola do wargi szczeliny na wysokości około 6200 m., gdzie stanął obóz II. W następnym wyjściu, tym razem ze Słoweńcami, doszliśmy do wysokości 6800 m., gdzie postawiliśmy namiot obozu III. Stamtąd, wydawało, się już tylko dwa kroki do wierzchołka. Niestety, o te kroki przyszło walczyć do ostatniego dnia wyprawy.

Odbudowany obóz II

Fot. P. Pustelnik

Kiedy do bazy doszli Słoweńcy, moi znajomi z wyprawy na Lhotse, wydawało się, że sprawy nabiorą znacznie szybszego biegu. Nie na darmo znani są pod ogólną ksywą „animals". Szybcy,

doświadczeni i z ogromnym ciągiem na „bramkę". Rzeczywiście, szybko odrobili straty czasowe, spowodowane późnym założeniem bazy. 26 kwietnia mieliśmy „trójkę", obok namiotów Słoweńców i nieco poniżej Amerykanów. Tylko Holendrzy zostali w tyle, ale oni wyraźnie przeliczyli się z siłami. No i chyba ambicje też sięgały grubo poniżej wierzchołka. W każdym razie, schodząc do bazy, miałem poczucie, że jesteśmy w doskonałej sytuacji i teraz nie pozostało nic innego, jak tylko czekać na dobrą, szczytową pogodę. Przywołując w pamięci fantastyczne prognozy z zeszłego roku, które spełniały się niemal w 100%, byłem pełen optymizmu. Jakże się myliłem.

O tym, że Manaslu pogodą się broni, piszą wszyscy, którzy tam byli. Sęk w tym, że ci, którzy czytają, tak do końca w to nie wierzą. Ale góra szybko weryfikuje ich wyobrażenia. Już pierwsza noc w „dwójce" przyniosła huragan, zawieruchę i burzę z piorunami. Całą noc trzymaliśmy namiot, modląc się do wszystkiego i wszystkich, by przeżyć do rana. Udało się, ale w tym samym czasie huragan spustoszył bazę, pozbawiając kilku z nas namiotów i rzeczy w nich trzymanych, kilku z nas. Los wyprawy stanął pod wielkim znakiem

Skałki wierzchołkowe (te właściwe są za fotografującym) Fot. P. Pustelnik

zapytania. Sporo z tego, co zaginęło udało się odnaleźć, ale już wiedzieliśmy, co góra potrafi. Nasze nadzieje i optymizm ostudził drugi atak śniegu i wiatru, który tym razem zniszczył – pokrywając parometrową warstwą śniegu – namioty we wszystkich obozach. Teraz sytuacja była już nie poważna, była krytyczna. Nie tylko dla nas. Dla wszystkich. Te dramatyczne 48 godziny opadu śniegu ostatecznie przesądziły o losach wyprawy holenderskiej i o dziwo – słoweńskiej. Wycofali się zostawiając nas i Amerykanów, którzy tym razem wykazali się hartem ducha i zawziętością, o którą ich nic a nic nie podejrzewałem. Zebraliśmy wszystko, co pozostało, czyli namioty, śpiwory, jedzenie i ufając, że odnajdziemy choćby zniszczone namioty, ruszyliśmy praktycznie całym zespołem do góry. Jak zwykle na tej wyprawie, za nami ruszyli Gia i Mamuka, pilnie bacząc na własne bezpieczeństwo. Obóz I – odkrywka wykazała, że jeden namiot nadaje się do użycia, obóz II – masakra, nic nie zostało, obóz III – masakra – też nic nie zostało. Chodzenie po polach śnieżnych dolnej części, to jak chodzenie po polu minowym. Wyjedzie czy nie. Nie wyjechało. W górze wiatr jak diabli i zimno. Najpierw biwakujemy przy szczątkach obozu III, a potem zmęczeni wiatrem schodzimy w dół do Amerykanów, którzy chytrze postawili namioty tak, by nie wiało. Pierwsza próba założenia ostatniego obozu, nie wyszła. Zespół Józek, Krzysztof i Darek wrócił. Józka zmogła choroba gardła. Następnego dnia, poganiani z dołu przez doktora, który czytał coraz gorsze prognozy pogody, poszli wszyscy z wyjątkiem chorego Józka i Darka, który niedoaklimatyzowany postanowił poczekać jeden dzień niżej i Gruzinów, którzy już ostatecznie zrezygnowali z próby wejścia na górę.

Dni szczytowe pamięta się najmocniej. Każdą chwilę, każdą godzinę, każde zdarzenie. Ja też wszystko pamiętam, a najmocniej walkę ze swoimi słabościami i niechęcią organizmu do dalszego wysiłku. Mobilizował mnie prący jak burza Krzysiek, który chyba wziął sobie do serca własne stwierdzenie, że nie chciałby już tu wracać. Ja nie miałem żadnych osobistych „porachunków" z górą i mobilizowałem się z trudem. Zadziwił mnie dnia szczytowego, czyli 17 maja, Darek, który doszedł do nas rano i nawet poszedł z nami w stronę wierzchołka. Prawdziwy pokaz siły determinacji, która skończyła się pod wierzchołkiem. Konia z rzędem temu, kto mi wytłumaczy, dlaczego Darek przy tej „parze" nie doszedł do szczytu. On sam chyba też tego nie wie. Dziewczyny, czyli Anka i Barbara nie weszły, ale mówiąc po staropolsku

„stawały" dzielnie i przy lepszej pogodzie pewnie miałyby ogromną szansę. A tak Krzysztof i ja stanęliśmy przy skałkach szczytowych około 14 czasu lokalnego, podbudowani tym, że się udało ale i z ogromnym niepokojem, co do naszych losów. Pogoda popsuła się, do huraganowych podmuchów wiatru na wierzchołku doszła mgła i opad śniegu, tym razem niewielki ale przykry. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że na samym wierzchołku nie ustałem podmuchu wiatru i spadłem na Krzyśka powodując upadek i zsunięcie się kilkusetmetrowe, na szczęście w stronę drogi podejściowej. Efektem tego upadku była spora „sznyta" na twarzy Krzysztofa i niezły krwotok, a u mnie obite nogi i pogubione rękawice. Zejście dalej w stronę obozu i w stronę życia było długie i nie pozbawione dramaturgii, ale w końcu, około 18 wieczorem przed naszymi oczami pojawiły się rozmyte kontury namiotów obozu IV i stojące przed nimi zmartwione i nieco przerażone dziewczyny. „O kurwa, już myślałem, że po mnie" wymamrotałem do Baśki i wypiłem pierwszy od wielu godzin łyk herbaty. Mój humor ze złego zamienił się na wisielczy, gdy zobaczyłem ręce. Pierwszy raz od wielu lat „złapałem" odmrożenia drugiego i niestety trzeciego stopnia. Już wiedziałem, że z reszty planów na ten rok nici, ale nie to było w tym momencie najważniejsze. Najważniejsze było wrócić do bazy. Dla mnie, nie władającego w tym momencie połową palców u rąk, powrót był gehenną i nawet świadomość wejścia na szczyt nie pomagała. To prawda, że żadna góra nie jest warta nawet najmniejszego kawałka alpinisty. Zeszliśmy bezpiecznie, z ofiarną pomocą całego zespołu i to było wielkie. Nic, że wypadki nie układały się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, ważne, że w tych ważnych momentach byliśmy jedną całością. To jest wielkość gór i wielkość człowieka. W tym zasadza się istota alpinizmu.

Siedzę w wygodnym fotelu i piszę tę relację. Przed oczami stają mi obrazy z bazy i obozów. Chwile śmieszne i poważne, dramatyczne i zabawne. Gesty, słowa i zachowania. Widzę wyraźnie, jak nie raz czy dwa niewłaściwie odczytywałem zachowania i intencje. Muszę się jeszcze dużo uczyć. By innych rozumieć i być rozumianym. Ale jeszcze tyle gór, tyle wypraw...

PS.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że w wyprawie uczestniczyli:

Anna Czerwińska, Barbara Drnovšek, Józef Goździk, Piotr Klepacz – lekarz wyprawy, Piotr Pustelnik – kierownik, Krzysztof Tarasewicz, Mamuka Tsisheli, Gia Tortladze i Dariusz Załuski.

Wyprawa założyła cztery obozy, odpowiednio na wysokości: 5600 m, 6200 m, 6800 m, 7400 m.

17 maja 2003 r. na wierzchołku stanęli Krzysztof Tarasewicz i Piotr Pustelnik.

Wyprawa w całości wróciła do Kathmandu 25 maja.

Złoty Jubileusz

Piotr Pustelnik

Pięćdziesiątą rocznicą pierwszego wejścia na Mount Everest Nepal żył już od roku 2002. Powołany do życia komitet organizacyjny obchodów pod kierownictwem Ang Tseringa, prezesa Nepal Mountaineering Association oraz właściciela dobrze znanej Polakom agencji Asian Trekking, zaczął przygotowania z wielkim – jak na Nepal – rozmachem. Już od wiosny 2002 rozchodziły się wici, co będzie, kto będzie i kiedy będzie. Jak na nowoczesny kraj przystało, powstała strona internetowa i ruszyła poczta elektroniczna. Cichym zamysłem organizatorów było, by na obchody przyjechała jak największa liczba alpinistów, którzy weszli na Mount Everest. To ciężkie zadanie, zważywszy na fakt, że jest ich ponad tysiąc i są porozrzucani po całym świecie. Dla tzw. summitersów zarezerwowano bezpłatny wikt i opierunek w pięciogwiazdkowym hotelu „Hyatt Regency". Już jesienią 2002 był gotowy plan obchodów, niewiadomo było tylko, czy w Nepalu będzie spokojnie. Szczęśliwie dla organizatorów, a właściwie dla całego Nepalu rząd podpisał zawieszenie broni z partyzantką maoistowską i droga do hucznych obchodów stanęła otworem. Jak to w krajach o ceremoniale dworskim bywa, powołano honorowy komitet obchodów z sir Edmundem Hillarym i Junko Tabei (pierwsza kobieta na Everescie) na czele. Ale ważniejszy od powoływania komitetów był stosunek ludności Nepalu, szczególnie tej, która znajdowała się w bliskiej odległości wydarzeń. Otóż od pierwszego momentu można było wyczuć, że ludzi tych rozpiera duma, że ich kraj przeżywa taką rocznicę i choć na chwilę znajduje

się w centrum uwagi świata. Dopisali też turyści, choć do końca nie wiadomo, czy był to efekt yo-yo po niedawno zakończonej wojnie w Zatoce, czy chęć uczestniczenia w czymś niezwykłym, w czymś, co drugi raz w krótkim życiu człowieka się już nie zdarzy. W każdym razie stolica Nepalu była udekorowana jak Fifth Avenue w Nowym Jorku tuż przez Bożym Narodzeniem. Obchody przewidziano na okres między 25 a 29 maja br. Organizatorzy spodziewali się, że najwięcej gości przyjedzie około 27-28 maja i na ten okres zaplanowali sporo imprez. Formalnie jednak obchody zaczęły się 25 maja ulicznym festiwalem w Patanie. Następnego dnia podobna impreza odbyła się w starym pałacu królewskim Hanuman Dhoka. 27 maja ulicami Kathmandu przejechała kawalkada samochodów wiozących sławnych i często oglądanych, czyli Junko Tabei i Reinholda Messnera. Oczywiście towarzyszyli im sławni Szerpowie – szybkobiegacze i częstobiegacze everestowscy, tacy jak Pemba Gyalzen Sherpa, Sonam Gyalzen Sherpa, Lhakpa Gelu Sherpa i Ang Phurba Sherpa. Sir Ed Hillary grzecznie odmówił udziału i poleciał helikopterem do Kunde, wioski w dolinie Solo Khumbu, w której założył szkołę i szpital. Trzeba powiedzieć, że Szerpowie czczą Hillary'ego jak Boga, tyle dobrego zrobił dla nich w ciągu całego życia. Tymczasem w hotelu Hyatt odbywały się posiedzenia różnych gremiów alpinistycznych, jak np. UIAA czy IMA. Wieczorem w pubie Rum Doodle, gdzie na ścianach widnieją podpisy tych, którzy weszli na Everest, odbył się hmm... bankiecik, po którym wielu chodziło zygzakiem, choć tego dnia wiatru na Thamelu nie było. Wszyscy jednak czekali na główne obchody czyli na galę w Birendra International Convention Center. Przedtem jednak w hotelu Yak&Yeti ścierały się poglądy na konferencji „Wspinanie a postęp". Nie wiedziałem, że te dwie formy aktywności mogą stać po obu stronach barykady, ale... Tam właśnie Reinhold Messner nie bacząc na pozycję gościa honorowego ostro zaatakował Szerpów i wspinaczy w ogóle za, jak się wyraził „udeptywanie jaczego szlaku na Evereście" a nie poszukiwanie nowych, interesujących dróg. Niby racja, tylko do kogo ta mowa. Ci, którzy mogliby go posłuchać, nie byli tam, tylko „siekali" w Alpach lub innych górach świata. W końcu przyszła godzina zero i stawiliśmy się w owym Center na gali, jak cholera. W ostatniej chwili ogarnąłem się, założyłem długie spodnie i koszulę by nie epatować owłosioną łydą i torsem pod T-shirtem. Opłacało się, bo dostałem medal za wejście na Everest i mam. Pierwszy w moim życiu i pewnie ostatni. Ogólne wrażenie obchodów można zamknąć w kilku słowach: pompa, nuda i blichtr. Jak zwykle najlepsze były kuluary i pogaduchy z kolegami po fachu. Skończyło się bankietem, w którym wygrali na punkty gospodarze, bo Szerpowie napierali tak ostro, że dla niektórych białych żarcia nie starczyło. Została woda sodowa, niegazowana, tzw. aqua kranata w dużych szklankach. Ceremonię zaszczycili król Gyanendra i premier Nepalu wraz z ministrem turystyki. Sir Edmund Hillary dostał honorowe obywatelstwo Nepalu, czyli coś, co mu się od dawna należało. Ale lepiej późno niż wcale. Uroczystości zakończyły jak zwykle, występy zespołów folklorystycznych i sztuczne ognie. Następnego dnia wszyscy goście zaczęli powoli rozjeżdżać się do domów. Zostały szarfy, girlandy, lampiony i bannery na ulicach przypominając o hucznie obchodzonym jubileuszu. A jak ktoś mnie zapyta, czy Nepalczycy przy swojej biedzie powinni wyrzucać pieniądze na takie uroczystości, to powiem, że tak, powinni, bo są cząstką świata, Everest też i to, co się stało w Nepalu jest częścią historii świata, a historii się nie odmawia.

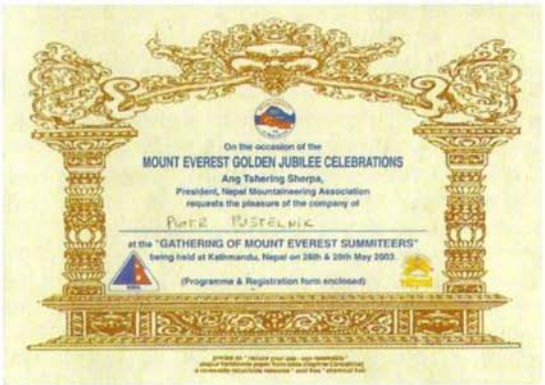
On the occasion of the
MOUNT EVEREST GOLDEN JUBILEE CELEBRATIONS
Ang Tshering Sherpa,
President, Nepal Mountaineering Association
requests the pleasure of the company of
PIOTR PUSTELNIK
at the "GATHERING OF MOUNT EVEREST SUMMITEERS"
being held at Kathmandu, Nepal on 28th & 29th May 2003.
(Programme & Registration form enclosed)

Zdjęcia: Piotr Pustelnik

Nepal szerzej otwiera podwoje

Nowe szczyty otwarte dla wypraw

Już w trakcie trwania sezonu przedmonsunowego, w maju 2001 r. rząd Nepalu ogłosił otwarcie ze skutkiem natychmiastowym 9 nowych szczytów dla wypraw. Sześć z nich leży w rejonie Khumbu a po jednym w rejonach Annapurny, Manaslu i Dhaulagiri. Są to: Lhotse Middle (8413 m), Peak 38 (Shartse II, 7590 m), Hungchi (7136 m), Numri (6677 m), Teng Kangpoche (6500 m), i Nhe Serku (5927 m), wszystkie w Khumbu, oraz P2 (6251 m), Thorung Peak (5751 m) i Thapa Peak (6012 m)[1], odpowiednio – w rejonach Manaslu, Annapurny i Dhaulagiri.

Pod koniec grudnia 2001 r. ogłoszono, że z dniem 1 marca 2002 r. udostępnione zostaną dla wypraw alpinistycznych kolejne 103 szczyty. Najatrakcyjniejszymi z nich są Talung (7349 m) i Nangpai Gosum I (7312 m). Jak oświadczył dyrektor Departamentu Turystyki, Ganesh Raj Karki: "naszym celem jest nie tylko promocja Nepalu jako pierwszoplanowego celu dla alpinizmu, ale również – działanie na rzecz równomiernego rozwoju różnych regionów kraju.

Lista „103 szczytów" nie zawiera jednak dokładnych danych o ich położeniu, i w związku z tym może budzić pewne wątpliwości, jak choćby w przypadku dwóch szczytów o niemal identycznej nazwie Pokharkan w mało znanym rejonie Damodar Himal

Wreszcie, we wrześniu 2002 r. otwarto kolejne 13 szczytów, w tym Nemjung (7139 m). Po tych zmianach w Himalajach Nepalu znajduje się obecnie 261 szczytów udostępnionych dla wypraw i trekkingów.

Lhotse i Everest ze stoków Makalu Fot. W. Kurtyka

Nowe przepisy

2 maja 2002 r. rząd Nepalu dokonał zmian w podstawowym dokumencie regulującym działalność wypraw alpinistycznych: "Mountaineering expedition regulation, 2059". Wprowadzono przepisy ułatwiające zdobywanie pozwoleń, ograniczające wymogi biurokratyczne i obniżające opłaty. M.in. istotnym ułatwieniem jest rezygnacja z obowiązku włączania w skład wyprawy oficera łącznikowego w przypadku atakowania szczytu o wysokości poniżej 6500 m. W ten sposób spośród wszystkich 261 szczytów, tylko 89 wymaga jego obecności na wyprawie.

Przy staraniach o pozwolenie znosi się wymóg posiadania rekomendacji ze strony macierzystego klubu lub federacji.

Dodatkową zachętą dla alpinistów jest całkowite zwolnienie od opłat 20 szczytów położonych w mniej popularnych rejonach zachodniego Nepalu. Wśród nich znajdują się znane siedmiotysięczniki Api (7132 m) i Saipal (7031 m). W stosunku do innych 40 szczytów obniżono opłaty o 75%. Na tej ostatniej liście znajdują się takie atrakcyjne szczyty jak m.in: Dhaulagiri II (7751 m), Dhaulagiri V (7618 m), Himalchuli (7893 m), Lamjung Himal (6983 m) i Kanjiroba (6883 m). Powyższe obniżki obowiązują do kwietnia 2005 r.

Opracowano na podstawie: „The American Alpine Journal" 2002 oraz www.uiaa.ch

[1] Patrz również str. 57

Restrykcje w Sikkimie

Rząd indyjskiego stanu Sikkim nigdy zbytnio nie sprzyjał wyprawom alpinistycznym na swoim terenie. Ostatnie wprowadził jednak ograniczenia, które praktycznie uniemożliwiają działalność w najatrakcyjniejszych rejonach. Często odwiedzane przez turystów atrakcyjne miejsca, jak wiele gorących źródeł, jaskiń i jezior, m.in. Gurudongmar i Green Lake oraz Lodowiec Zemu, zostały uznane za święte i dostęp do nich został zabroniony. Z tych samych powodów zamknięto dla alpinistów 13 atrakcyjnych szczytów, w tym wszystkie wierzchołki Kangchendzõngi oraz Kabru, a także – Pauhunri, Siniolchu, Simvu, Goecha, Forked Peak, Pandim i Narsingh.

Info: Komisja Wypraw UIAA

Polsko-amerykańska wyprawa na Gasherbrum II

W dniach 26 czerwca – 18 sierpnia 2003 roku działała w Karakorum polsko-amerykańska grupa. Pogoda, jak też warunki w ścianie, były poprawne. Na szczyt Gasherbrum II (8035 m) weszliśmy w następujących dniach:

21 lipca: Charles Scott Clark, Nicole Nadine Clark i Witold Szylderowicz.

26 lipca: Ryszard Pawłowski, Sylwia Bukowicka i Jarosław Woćko

2 sierpnia: Anna Czerwińska i Tomasz Tauszyński

Lukito Tardia z Indonezji oraz Jerzy Zaciera z Sosnowca doszli do wysokości 7400 m, ale z powodów zdrowotnych zawrócili. Szczyt nie należy do trudnych technicznie, ale aż 6 uczestników zrealizowało swoje górskie marzenia stając na swym pierwszym 8-tysięczniku. Tą etniczno-narodową mieszanką, bo w składzie polskim wyodrębniała się jeszcze grupa lubuska nazywana „wyborową", zawiadywał niżej podpisany, jak widać ze skutkiem pozytywnym, bo wszyscy do domu powróciliśmy cało.

Ryszard Pawłowski

Gasherbrum II – powrót do źródła

Anna Czerwińska

Karakorum, a dokładnie gniazdo Gasherbrumów, to były moje pierwsze wielkie góry. Rok 1975. Przeskok z Tatr spowodował olśnienie: patrząc na białe olbrzymy wprost nie mogłam uwierzyć, że widzę je naprawdę. Tego wrażenia nie zdołały przekreślić różne wyprawowe swary, piekielnie ciężkie plecaki, ani to, że ani ja, ani Krysia Palmowska nie osiągnęłyśmy szczytu. Pozostał jednak niesmak. Zajęłam się potem innymi górami, zebrałam na własnej skórze wiele doświadczeń i kiedyś pomyślałam sobie, że warto by przed górską emeryturą odwiedzić raz jeszcze tamten rejon i zobaczyć jak teraz wygląda. Wrócić do źródła. Tak znalazłam się w składzie wyprawy Ryśka Pawłowskiego, której celem był Gasherbrum II (8035 m).

Organizacja wyprawy w moim przypadku ograniczyła się do spakowania osobistego sprzętu, wpłacenia „kasy" i zakupu paru przysmaków. W Pakistanie agencja Hunza Guides otoczyła nas świetną (i kosztowną...) opieką. Wkrótce pojechaliśmy eleganckim mikrobusem poprzez słynną Karakoram Highway do Skardu (gdzie te czasy, kiedy trzeba było tłuc się ciężarówką razem z bagażem). Stare ale jare jeepy Toyota zawiozły nas w jeden dzień do Askole – w ten sposób oszczędzono nam trzech etapów uciążliwej wędrówki – osobiście żałowałam, że nie odwiedzę miejsc znanych z poprzednich wypraw, jak choćby słynnych gorących źródeł.

W rejonie Baltoro właściwie zmieniło się wszystko – powstały wyraźne ścieżki, zrobiono obejścia trudnych odcinków, most nad rzeką Dumordo, który kiedyś stanowiła stara lina z przeciąganym po niej blaszanym pudłem, teraz przechodziło się z rękami w kieszeniach. Zadbano o higienę – w paru miejscach pojawiły się szaro-srebrne i kosmicznie wyglądające kibelki i prysznice. Zniknęły sterty śmieci jakie pamiętałam przy każdym obozowisku, a w Paiju odrosły piękne drzewa, dawniej bezlitośnie wycinane przez tragarzy na ogniska – teraz jest to zabronione i o dziwo – przestrzegane. Dopiero po wejściu na lodowiec poczułam, że wreszcie wkraczamy w góry. Było jak zawsze – lód, kamienie, trochę śniegu, szczeliny. Między kamieniami ciągnęły się wprawdzie super tajne przewody telefoniczne, łączące równie tajne posterunki armii pakistańskiej, ale to był już drobiazg. Morena, na której miała stać nasza baza była dosłownie oblepiona namiotami wypraw, które dotarły przed nami.

Był 8 lipca. Trzeba było brać się do roboty. Wyprawa Ryśka była swoistym „trzy w jednym". Osobno działało amerykańskie małżeństwo (Scott i Nicole), osobno grupa lubuska („lubuska wyborowa") – Sylwia, Jarek, Witek i Piotr, w grupie „klientów" Ryśka byli Tomek, Jurek, Andrzej (dr Witt), młody Indonezyjczyk Lukito oraz ja. Każda grupa „robiła swoje" ale było też minimum

współpracy. Zakładanie obozów poszło wszystkim sprawnie. Obóz I stanął na wielkim plateau ponad lodospadem na wysokości 6000 m, „dwójka" ok. – 6550 m, „trójka" – 6950 m. Zanim powstał nasz obóz IV, Amerykanie zaatakowali, wykorzystując pusty namiot porzucony w „czwórce" i 21 lipca stanęli na szczycie. Tego samego dnia Witek odważnie wyruszył już nocą z „trójki" i trochę później niż Amerykanie, także osiągnął wierzchołek. Gdy następnego dnia spotkaliśmy Scotta i Nicole – byli naprawdę szczęśliwi. Pracowali ciężko i dostali wspaniałą nagrodę – swój pierwszy 8-tysięcznik. Wraz z Tomkiem i Jurkiem podchodziłam wtedy do „trójki", gdzie spotkaliśmy odpoczywającego Witka. Też był szczęśliwy – ostatecznie chyba o to chodzi w górach!

23 lipca mój zespół rozbił namiot w obozie IV (7350 m) u podstawy kopuły szczytowej. Był to najwyższy punkt jaki osiągnęłam w 1975 r. Z pewnymi emocjami myślałam o tamtych chwilach. Minęło tyle lat, a tu nic się nie zmieniło, tylko sterczące ze śniegu resztki namiotów przypominały, że przez to miejsce przewinęło się wiele wypraw. Wieczór był piękny i z naiwnym optymizmem myśleliśmy, że jutro szczyt będzie nasz. Niestety rano pogoda była fatalna i chociaż ambitnie wyruszyliśmy do góry, wkrótce trzeba było zawrócić. Aby dać sobie jeszcze szansę, spędziliśmy cały dzień i kolejną noc w „czwórce" ale pogoda nadal była zła i 25 rano w silnym wietrze opuściliśmy obóz. Z każdym krokiem w dół czułam, że moje nadzieje rozwiewają się. Nad obozem III spotkaliśmy podchodzących Sylwię i Jarka, trochę później Lukito. Rysiek był jeszcze w „trójce". Powiedział nam, że według niego pogoda poprawi się i jutro spróbują. Pomyślałam przez moment o przeczekaniu w „trójce", ale Jurek i Tomek byli zbyt zmęczeni i trzeba było po prostu schodzić. „Wymiękliśmy" w upale, który panował niżej i zostaliśmy na noc w „dwójce". Następnego dnia – „jedynka".

Był 26 lipca. Czekający na nas Andrzej przypomniał, że to moje imieniny. Dostałam w związku z tym parę prezentów – hiszpański liofilizat, piękną pogodę i wiadomość, że Rysiek, Sylwia i Jarek weszli na szczyt. Biedny Lukito pół dnia spędził wlokąc się samotnie trawersem pod skałami, zanim ostatecznie poddał się i zawrócił. Trójka ze szczytu schodziła już w złej pogodzie a nawet według słów Ryśka – „walczyła o życie". W nocy z dołu podeszły gęste, wilgotne chmury, ranek przyniósł totalne załamanie. Trzeba było wracać do bazy. Kiedy tam wreszcie dotarłam, byłam prawie pewna, że przegrałam. Lukito zachorował i razem z Ryśkiem przeczekiwał niepogodę w „czwórce". Sylwia z Jarkiem czekali na nich w „trójce". Wyglądało na to, że to już definitywny koniec wyprawy. Niech tylko zejdą szczęśliwie... Wkrótce okazało się jednak, że czegoś nauczyłam się przez te wszystkie lata spędzone w górach. Nie rezygnować! Walczyć dopóki jest szansa!

30 lipca opuściliśmy bazę. Było zimno i lodowiec ze wszystkimi szczelinami zamarzł na kość. Szło się świetnie, ale wieczorem Jurek zaczął narzekać, że przeziębił się i następnego dnia nie poszedł z nami. Do „dwójki" dotarłam już tylko z Tomkiem. Pogoda była wspaniała ale coś gnało mnie w górę i postanowiliśmy, że jutro pójdziemy od razu do „czwórki". Po nieudanych próbach łączności z bazą (oczywiście „siadły" baterie) zdecydowaliśmy się zostawić radiotelefon w obozie II, beztrosko licząc na przesyłanie wiadomości poprzez inne wyprawy. W „czwórce" znaleźliśmy się 1 sierpnia późnym popołudniem. Było słonecznie i ciepło. Obóz był prawie pusty, zastaliśmy tylko dwóch Włochów i Słoweńca Duszana, którzy tak jak my chcieli jutro zaatakować. Planowali start o 5 rano, my postanowiliśmy wyjść o 7, bojąc się odmrożeń.

Dzień 2 sierpnia powitał nas pięknym wschodem słońca. Nie było zupełnie wiatru, na trawer-

Gniazdo najwyższych szczytów Karakorum. Widok z wierzchołka G.I na G.IV, G.III, Broad Peak, Broad Peak Middle, G.II i K2. Fot. W. Kurtyka

sie pod skałami szczytowymi pomykaliśmy raźno korzystając ze śladów poprzedników. Pierwsze mgiełki pojawiły się pod nami gdy wyszliśmy za załamanie, skąd widać już było strome lodowe zbocza prowadzące do szczytu. Wyżej zaczęło wiać ale widoczność wciąż była dobra. Minęliśmy schodzących Włochów, sporo wyżej – Duszana, który pokazał mi na tle nieba niedaleką już śnieżną grańkę i wysapał, że „to już tam". Dzięki, Duszan! Wkrótce osiągnęłam ostrze grani. Nie był to jeszcze szczyt, za to widok na masyw Broad Peak'ów i K2 był imponujący! Wiało już na dobre, kiedy wzdłuż cienkiej jak sznurowadło poręczówki pokonywałam ostatnie metry. Na wierzchołku wiatr szarpał mną bezlitośnie, wokół gęstniały mgły. Zanim Tomek pojawił się koło mnie, nie było już wiele widać. Ale staliśmy na szczycie – jak zawsze radość, gratulacje, pośpieszne zdjęcia. A potem trzeba było uciekać w dół, bo pogoda nie nadawała się już do niczego. Gnani strachem, że nie znajdziemy drogi na trawersie, zeszliśmy do „czwórki" w dwie godziny. Włosi i Duszan właśnie opuszczali obóz. Przekazali jeszcze wiadomość o naszym wejściu i pognali w dół. Właściwie trzeba było schodzić za nimi, ale chcieliśmy zabrać z „czwórki" namiot, a na takie „wykopki" było za późno i za zimno. Zostaliśmy więc na noc i to była najgorsza decyzja, jaką podjęliśmy podczas całej wyprawy. Góra zemściła się na nas strasznie! Dwie doby czekaliśmy w „czwórce" aż wichura choć trochę ucichnie, trzeciego dnia, 5 sierpnia, walcząc z zamiecią z trudem zeszliśmy do „trójki". Tuż przed obozem wpadłam do szczeliny i miałam dużo szczęścia, że Tomek, będąc już w namiocie, usłyszał moje krzyki i wyciągnął mnie. Zejście do „dwójki" było dramatyczną walką. Wielkie zaspy przykryły poręczówki i trzeba było wyrywać je na siłę lub domyślać się przebiegu lin i kopać głębokie dziury. Dopiero od „dwójki" szlak był przetarty i czuliśmy się jak na autostradzie. Nocowaliśmy w „jedynce" razem z Ryśkiem i tragarzami. 7 sierpnia po południu dowlokłam się wreszcie do bazy.

Miałam oczywiście dosyć wszystkiego, ale w moich myślach było miejsce na radość. Wielka pętla czasu zamknęła się. Załatwiłam porachunki z GII i mogłam spokojnie wrócić do domu.

Kiedy 8 sierpnia rano ruszaliśmy z karawaną w dół, miałam dziwne wrażenie, że nie odchodzę z tego miejsca na zawsze. Trochę później uświadomiłam sobie dlaczego. Po prostu – Gasherbrum I (8068 m) jest bardzo pięknym szczytem. Może za rok?

Flaga pokoju na Noszaku

Z uwagi na nasze dawne związki z Hindukuszem i Noszakiem, ta wyprawa była szczególnie interesująca dla Polaków. Zorganizował ją szef Mountain Wilderness, niestrudzony Carlo Alberto Pinelli (Włochy), żeby – jak pisze – pokazać światu, że Hindukusz Afgański nadal istnieje i po ćwierćwieczu przerwy można tam znowu bezpiecznie podróżować i odbywać wspinaczki na szczyty. W skład jego Międzynarodowej Wyprawy Pokoju wchodzili wyłonieni przez krajowe oddziały MW, Christophe Faisy, Fausto De Stefani (oboje z Włoch), Jocelyne Audra, Oliver Paulin (oboje Francja), Lambert Colas Toran (Hiszpania), Marco Schenone (Szwajcaria) i Irena Mrak (Słowenia). Cel stanowił Noszak (7492 m), drogą normalną, z dojazdem przez Korytarz Wachański. Odlot nastąpił 26 czerwca, z Faizabadu dotarto z przygodami do Qadzi Deh. O jak trudne wyzwanie chodzi świadczy fakt, że już na wysokości 3100 m wyprawa weszła na pole minowe, które trzeba było fachowo rozbroić. Miejscowi przewodnicy – weterani walk z Rosjanami – snuli opowieści o okropnościach niedawnej wojny, która nie ominęła i tych stron. Wypalone czołgi sowieckie wśród gór są jej niemymi świadkami.

Z pomocą 130 tragarzy, 19 lipca całość ładunków dotarła do podnóża Noszaka, gdzie na wysokości 4500 m rozbito bazę, w rejonie wielkiego śmietniska po wyprawach z lat siedemdziesiątych. Aż 20 tragarzy potrzeba było do przerzucenia sprzętu filmowego. Ekipa nie była zbyt silna sportowo, ale w dniu 21 lipca stanął już obóz I na wysokości 5200 m. Telefon satelitarny działał, choć z łącznością były pewne techniczne kłopoty. Wyżej założono 2 obozy na wysokości 5300 i 6000 m. 27 lipca Fausto De Stefani w samotnej wspinaczce stanął na szczycie bliskiego polskim sercom Noszaka (7492 m) i zatknął na nim „Banderę Pokoju" wraz z flagą Afganistanu. 3 sierpnia udało się dokonać drugiego wejścia: z wierzchołka zameldowali się Irena Mrak, Marco Schenone i François Carrel.

22 sierpnia uczestnicy pionierskiej Missione Oxus Montagna per la Pace szczęśliwie powrócili do Europy. Otwarta i przetarta została droga pod najwyższy szczyt Afganistanu, świat wysokogórski zobaczył, że życie w tym kraju wraca do pełnej normalności.

Józef Nyka

Polska zima 2003 w Tatrach

Artur Paszczak

Sezon zimowy otworzyli 13 grudnia Jacek Czech i Tomasz Szumski atakując Filar Kazalnicy wraz z ostrogą. W ramach treningu przed Alpami wspinacze zaopatrzyli się w portaledge i niespiesznie, w 3 dni, zrealizowali swój cel. Również 13-tego „Wielki Zespół Trzech Pokoleń" Adam Pieprzycki, Marcin Michałek i Wojciech Kurtyka poprowadził w Białej Wodzie nową drogę środkiem Skoruszowego Mnicha (VI, A0).

14 grudnia dołączył Marcin Malka obierając za cel drogę Korasa i Wolfa na Kotle Kazalnicy *Polak w Kosmosie* V+ A2. Rzecz zajęła mu dwa dni i było to dopiero trzecie samotne przejście. Trwało ono dwa dni, pierwszego Marcin zaporęczował do okapu, biwakował pod ścianą i następnego dnia skończył drogę.

Tydzień później, 21 grudnia, Adam Pieprzycki i Robert Rokowski zakończyli wieloletnie zmagania z *Drogą na Hell* VI, w prawej części pn.-wsch. ściany Kazalnicy. Powstałą w lecie 1992 r. drogę M. Głuszkowskiego i A. Paszczaka atakowało wiele mocnych zespołów, w tym poznaniacy (Maciej Karoń i tow.), Andrzej Mucha, czy Marcin Michałek. Jako zimowy problem *Hell* stawia duże wymagania, łączy bowiem wspinanie po płytach z trudnym, rasowym mikstem, a do tego jest jedną z dłuższych linii na ścianie. Poprzednie próby załamywały się w okolicach połowy drogi i trwały zazwyczaj więcej niż jeden dzień.

Zespół zaatakował „na lekko" i taktyka ta przyniosła powodzenie – ok. godz. 20 dwójka zameldowała się na trawersie do Bańdziocha. Trudne okazały się miksty, na płytach o sukcesie zdecydowały miękkie buty. Adam i Robert pokonali jeszcze ostatni trudny wyciąg nad trawersem (V), po czym ze względu na załamanie pogody i mgłę, po zimnej nocy, rankiem zeszli do schroniska. Można powiedzieć – niestety – nie przeszli całej drogi.

W tym samym okresie o pierwsze przejście zimowe *Cudu Niepamięci* VII+ A3 na Turni Zwornikowej Cubryny walczyli Robert Sieklucki i Marcin Wernik. Podczas prób, rozłożonych na dwa dni, zaporęczowali jednak tylko dwa pierwsze wyciągi, niepochlebnie wyrażając się na temat napotkanych trudności (A1, A2).

Przed samym Sylwestrem Sieklucki próbował jeszcze sił na *Ostatnim Mohikaninie* V+ A3, ale niesprzyjające warunki osłabiły jego atak i wyco-

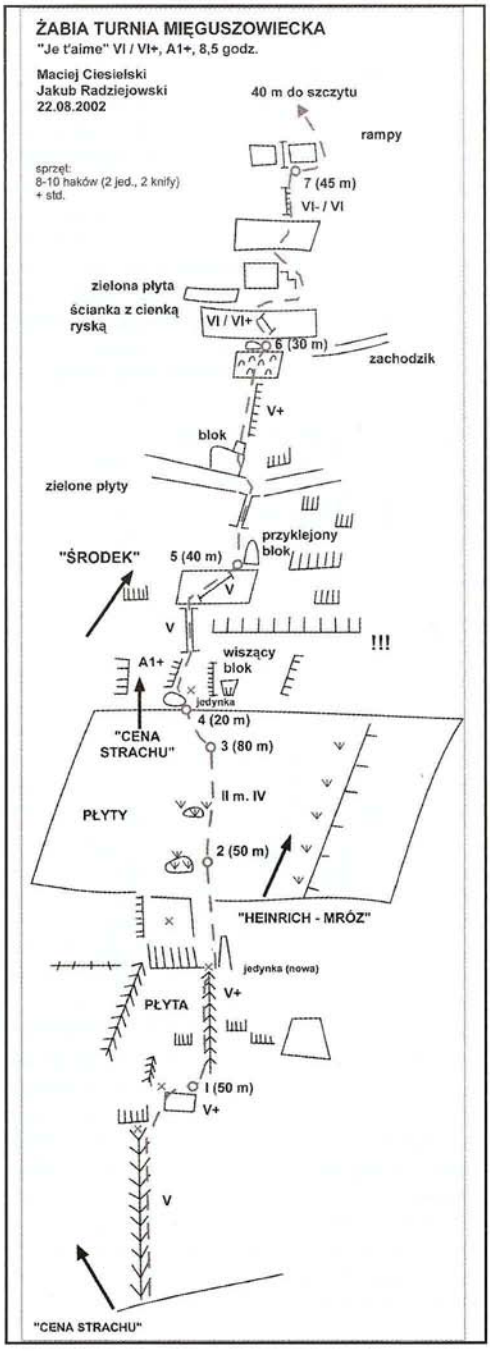

fał się po zrobieniu dwóch wyciągów.

Z kolei w sąsiedniej dolinie Janusz Gołąb i Grzegorz Skorek 28 grudnia w 9.5 godz. pokonali wariantem oryginalnym pn.-wsch. filar Ganku V-, ustanawiając polski rekord szybkości przejścia.

Warunki w okolicach Sylwestra nie rozpieszczały – lodu jak na lekarstwo, śniegu ilość minimalna. Pomimo tego, a raczej właśnie dlatego, Jacek Fluder i Artur Paszczak wytyczyli warianty prostujące do starej drogi grzędą Mięguszowieckiego Szczytu Czarnego o nazwie

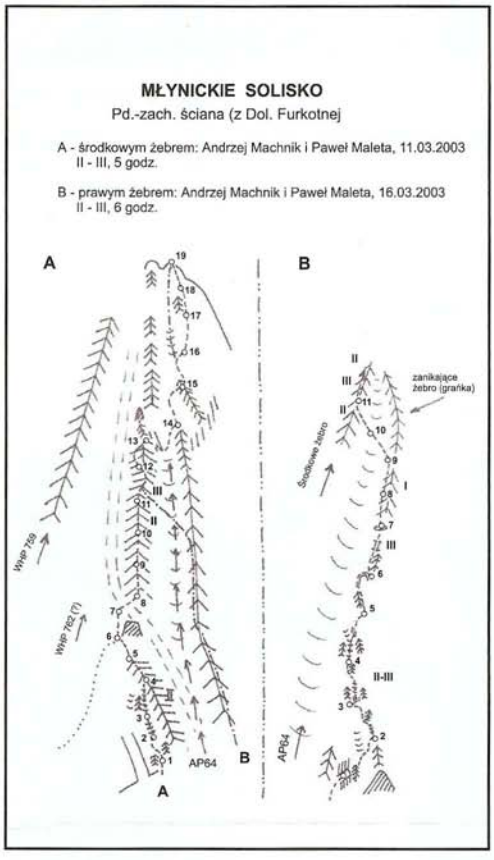

Cień Wielkiej Góry V 2x A0 M5+. Pierwszy wyciąg poprowadzony został klasycznie i wymagał tylko dwukrotnego A0. Pozostałe cztery wyciągi oferują bardzo ładne „trójkowe" wspinanie w trawach. Droga szybko doczekała się powtórzenia (obecnie jest ich już ok. 7, założone zostały też stanowiska zjazdowe, które mogą też być przydatne np. po przejściu drogi *Długosz – Popko*. 26 stycznia Wiesław Madejczyk w towarzystwie Marty Oleszczuk i Włodzimierza Kaniowskiego pokonał kluczowy wyciąg klasycznie, proponując wycenę M6+. W porównaniu z drogami w Tatrach Zachodnich *Cień* plasuje się w okolicach *Tańczącego z Nogami* M7 lub *Licho Nie Śpi* M7-. Do tej pory droga otrzymała jeszcze 2 czyste powtórzenia w wykonaniu uczestników obozu KW Warszawa (Czyż – Arak i Porożyński – Przybysz).

Tego samego dnia – 26 stycznia – Artur Paszczak i Paweł Olek wytyczyli pomiędzy *Cieniem* a *Długoszem – Popką*, drogę *Orzeł z Epiru* V A1,". Jest to bardzo ładna droga o umiarkowanych trudnościach, w całości rokująca możliwości odhaczenia.

Nieco wcześniej, 19 stycznia, Janusz Gołąb i Grzegorz Skorek dokonali fenomenalnego przejścia *Nauki Haczenia* w 14 godzin! Sukces przyniosła druga próba. Warto przypomnieć, że droga ta, uważana za najtrudniejszą hakówkę w Tatrach, miała tylko dwa pełne powtórzenia najlepszych fachowców od tej konkurencji (i jedno niepełne – bez dołu, ale pokonujące trudności – G. Bittmara). Przejście gliwiczan odbyło się wariantem oryginalnym, kończącym drugi wyciąg wprost przez płytę (A3+) zamiast podkutym podobno trawersem do zacięcia (A2+).

Okres przełomu stycznia i lutego można śmiało nazwać „złotą erą" Buli pod Bandziochem. W tym czasie bowiem powstały na tej ścianie trzy nowe drogi. O wytyczenie dwóch nowych: *Defekt Mózgu* IV+ A2 i *Globalne Ocieplenie* V A0 (nazwa chyba na przekór panującym wtedy w Morskim Oku dwudziestostopniowym mrozom) pokusił się zespół Paweł Kopta – Adam Pieprzycki. Trzecia z nowych propozycji, autorstwa Grzegorza Sokołowskiego i Sławomira Czajkowskiego nosi nazwę *Bez Znaczenia* II (miejsca IV, V).

Swój projekt na Kazalnicy Cubryńskiej realizowali także Tomasz Kohler i Marcin Księżak. Nowa droga nie powstała, otrzymaliśmy jednak duży, pięciowyciągowy wariant *Kilerski Książę* V+ A2, który wyprowadza do Cubryńskiego Ogrodu, gdzie łączy się z innymi drogami.

Po okresie kiepskiej pogody, w lutym przyszła kolej na poprawę. Na scenie znów pojawili się Robert Rokowski i Adam Pieprzycki, do których dołączył Paweł Kopta. Na ścianie Kotła Kazalnicy Rokowski i Kopta poprowadzili *Siwy Dym* V A2 (6 samodzielnych wyciągów + zakończenie *Sprężyną*) Jak przyznaje „Roko", żeby pójść wyżej nie starczyło już sprężu – „wymagałoby to jeszcze jednego dnia, a na to już nie mieliśmy mocy i ochoty". Niemniej powstała droga trudna, z wymagająca klasyką i skomplikowanym haczeniem. Na dwóch wyciągach może biec w bezpośredniej

bliskości *Steſki – Szmeji*, ale to pozostaje do ustalenia.

Wraz z nadejściem pogody ożywił się ruch wspinaczkowy. Padł *Łapiński* V A0 na Kazalnicy (zespół R. Siekluckiego, a zaraz potem Karczmarczyk – Wierzejski – Ola Misztur). *Świerz* na wschodniej ścianie Mieguszowieckiego Szczytu V- doczekał się w jednym sezonie tylu przejść, ile miał chyba w całej ostatniej dekadzie. Było ich tyle, że trudno wszystkie je wymienić. Chodzono jeszcze na drogę Sokołowskiego (filar) IV-V (zespół Pawła Karczmarczyka) i *Lewego Mączkę* IV. Humorystycznym akcentem był biwak jednocześnie 8 osób jednej nocy – dwóch na zejściu z Mięgusza (po *Świerzu*) a 6–ciu przy Hińczowym Stawie (po wycofie z *Lewego Mączki*). Wszystko skończyło się dobrze i bez strat.

Dzięki dobrym warunkom na wschodniej ścianie MSW zespół Paszczak – Sokołowski przeszedł ciekawą łańcuchówkę łącząc drogę Świerza V- (3: 45 godz.) i Stanisławskiego VI (2,5 godz.) na wschodniej ścianie Mnicha. Łączny czas door-to-door 12 godzin. Ten sam zespół parę dni wcześniej przeszedł na Kotle drogę Hobrzańskiego i Sułowskiego V A1 wariantem hakowym w 8,5 godz., ustanawiając prawdopodobnie najlepszy czas.

W pierwszym tygodniu marca pogoda zaczęła się psuć, ale ludzi niosło dalej w ściany. Po kolejnej nieudanej próbie na *Momie* V+ A2 (wycof w mokrym śniegu) od razu następnego dnia droga jednak padła (Ciesielski–Pieprzycki) w czasie ok. 16 godz. Ostatni wyciąg, po ciemku, zajął 6 godz., a warunki dalekie były od ideału.

Następnego dnia nastąpiła kompletna odwilż i zaczął padać mokry śnieg. Artur Paszczak i Paweł Karczmarczyk przeszli w tych warunkach na Kazalnicy Cubryńskiej drogę *Trzy Pory Roku* V+ A2+ (3–cie powtórzenie) w 12,5 godz. (najszybsze przejście Piecuch – Skorek w 8 godz.). Ciekawe jest, że ostatni wyciąg tej drogi biegnie niemal wspólnie z *Momą*, wybiera jednak bardziej ewidentną szczelinę i łatwiej forsuje okap. Być może przy powtórzeniach *Momy* część zespołów nie zwracała na ten szczegół uwagi, bo oryginalnie droga biegnie płytą i ten właśnie wyciąg jest kluczowy.

Zespół Karczmarczyk – Olek atakował znany problem „prostowania *Sprężyny*". Po walce trzeba było jednak się poddać – kruszyzna, potworne „glony" i słaba asekuracja uniemożliwiły pokonanie kluczowego spiętrzenia, a zjazd też nie należał do prostych. Tak więc „*Sprężyna* wprost" ciągle czeka na swoich zdobywców. Tym akcentem zakończył swój pobyt w Moku obóz KWW, pojawili się natomiast kolejni wspinacze.

„Narzędziowo" zaatakowali *Starka* VI bracia Ziółkowscy (Jakub „Bratku" i Michał „Profesor") ale do sukcesu zabrakło 50 m. Mówi Michał: „Próbowaliśmy zrobić *Starka* w stylu dry–tool i doszliśmy tak do ostatniego wyciągu, gdzie zastała nas noc." Zatem *Starek* jeszcze poczeka...

8 marca Marcin Tomaszewski i Jakub Radziejowski pokonali w świetnym czasie 20 godz. drogę Marcisza i Kozaczkiewicza z zimy 1982 *Wish You Were Here* V+ A3. Było to dopiero piąte przejście (trzecie zimowe), pierwsze w stylu non-stop, tej pięknej i trudnej linii.

9 marca Marcin Michałek i Wojtek Kurtyka zakończyli zmagania ze środkiem niesamowicie przewieszonej ściany Jarząbkowej Turni. Droga *Poniekąd Donikąd* poprowadzona została w dwóch turach i zabrała wspinaczom łącznie 4 dni. Jej trudności sięgają V+A2+, być może raczej A3, ponieważ teren jest niezwykle lity i nasycony trudnościami. Prawdopodobnie drogę zaliczyć można do grupy najtrudniejszych w „szeroko pojętym rejonie Moka".

Ostatnie dni zimy przyniosły jeszcze kilka wartościowych przejść:

- 16 marca łupem Tomasza Kohlera i Marcina Księżaka padły *Miękkie Ruchy* V+A2 na Czołówce MSW.

- 20 marca Jacek Fluder i Artur Paszczak rozwiązali problem filara leżącego na lewo od *Sprężyny*. *Innominata* (M7-, V+A0, A2+) zabrała im dwie próby, a jej trudności plasują ją w gronie poważniejszych dróg na Kotle.

- 22 marca wzmocniony sukcesem odniesionym na Petit Dru (nowa, polska droga) Grzegorz Skorek „załatwił" w towarzystwie Andrzeja Lipki kolejny „najlepszy czas" – tym razem na *Dagu* V A1. 12 godz. to już dość wyśrubowany wynik (w 13 godz. zrobił solo Janusz Gołąb) i wielkich oszczędności spodziewać się tu już nie należy.

- Tego samego dnia Robert Rokowski, Paweł Kopta i Maciej Ciesielski ponownie atakowali 15.10 do Yumy V+ A3, której ostatnie przejście, przed 10 laty zresztą (1993r.), należało do Jacka Fludera i Janusza Gołębia. Po pierwszej próbie zakończonej lotem Ciesielskiego drugi atak przyniósł sukces – droga została pokonana w stylu non–stop w dniach 22-23 marca w 21 godz.

- I wreszcie, 23 marca Michałek i Pieprzycki poprowadzili częściowo nową drogę *Tylko do Trawnika* V+, A2+ na czołówce Mięgusza, która uporała się z nie dokończonym projektem Łozy *Przegięcie Pały*.

Wykaz wejść

Nowe drogi i warianty

Kocioł Kazalnicy

• *Cień Wielkiej Góry*, V+ 2xA0 M5+: Jacek Fluder i Artur Paszczak, 29.12.2002;

• *Orzeł z Epiru*, V A1: Artur Paszczak i Paweł Olek, 26.01.2003;

• *Siwy Dym*, V+ A2: Paweł Kopta i Robert Rokowski, 15, 17 i 22.02.2003;

• *Innominata*, VI A2+ M7-: Jacek Fluder i Artur Paszczak, 18 i 20.03.2003-07-11;

Czołówka MSW

• *Tylko do Trawnika* (częściowo nowa droga), V+ A2+: Marcin Michałek i Adam Pieprzycki, 22 i 23.03.2003;

Kazalnica Cubryńska

• *Kilerski Książe*, V+ A2: Tomasz Kohler i Marcin Księżak, 2.02.2003;

Skoruszowy Mnich

• Środkiem wsch. ściany, VI A0: Wojciech Kurtyka i Marcin Michałek, 13.12.2002;

Jarząbkowa Turnia

• *Poniekąd Donikąd*, V+ A2+: Wojciech Kurtyka i Marcin Michałek, 22-23.02 i 8-9.03.2003;

Bula pod Bańdziochem

• *Defekt Mózgu*, IV+, A2: Paweł Kopta i Adam Pieprzycki, 31.01.2003;

• *Globalne Ocieplenie*, V A0, Paweł Kopta i Adam Pieprzycki, 2.02.2003;

• *Bez Znaczenia*, V: Sławomir Czajkowski i Grzegorz Sokołowski, 4.02.2003;

Młynickie Solisko

• Środkowym żebrem pd.-zach. ściany, II-III: Andrzej Machnik i Paweł Maleta, 11.03.2003;

• Prawym żebrem pd.-zach. ściany, II-III: Andrzej Machnik i Paweł Maleta, 16.03.2003;

Szczyrbski Szczyt

• Pn. ściana, V, A0: Piotr Cieciała, Andrzej Machnik i Paweł Maleta, 29.03.2003;

Pośrednia Baszta

• Prawym filarem zach. ściany (z Dol. Młynickiej), II: Andrzej Machnik i Paweł Maleta, 6.03.2003;

Krywań

• Lewym (de facto środkowym) filarem wsch. ściany, IV: Andrzej Machnik i Paweł Maleta, 8.03.2003;

Ważniejsze powtórzenia

Kazalnica

• Filar + Ostroga, VI A1: Jacek Czech i Tomasz Szumski, 13-15.12.2002;

• *Droga na Hell*, VI A0 (do turnicy i trawers do Bańdziocha): Robert Rokowski i Adam Pieprzycki, 28.12.2002;

• *Wish You Were Here*, V+ A3: Jakub Radziejowski i Marcin Tomaszewski, 8.03.2003 (20 godz.);

Kocioł Kazalnicy

• *Polak w Kosmosie*, V+ A2: Marcin Malka solo, 14-15.12.2002;

• *Sprężyna*, VI A0: M. Księżak i P. Sztaba, 14.12.2002; Paweł Bździel, Andrzej Lipka i Grzegorz Skorek, 22.03.2003 (7:15 godz.);

• *Hobrzański-Sułowski*, V A2: Artur Paszczak i Grzegorz Sokołowski, 24.01.2003;

• *Dago*, V A1: Andrzej Lipka i Grzegorz Skorek, 8.03.2003 (12 godz.);

• *15.10 do Yumy*, V+ A3: Maciej Ciesielski, Paweł Kopta i Robert Rokowski, 22-23.03.2003 (21 godz.);

• *Cień Wielkiej Góry* M6+: Marta Oleszczuk, Włodzimierz Kaniowski i Wiesław Madejczyk, 26.01.2003 (II przejście – I przejście klasyczne);

Czołówka MSW

• *Szare Zacięcie*: Robert Rokowski solo, 21.12.2002;

• *Miękkie Ruchy*, V A2: Tomasz Kohler i Marcin Księżak, 16.03.2003;

Mniszek

• *Direttissima*, VI: Andrzej Lipka i J. Kogut, 26.12.2002;

Kazalnica Cubryńska

• *Moma*, V+ A2: Maciej Ciesielski i Adam Pieprzycki, 2.03.2003;

• *Trzy Pory Roku*, V+ A2+: Artur Paszczak i Paweł Karczmarczyk, 3.03.2003;

Ganek

• Pn.-wsch. filar, V-: Janusz Gołąb i Grzegorz Skorek, 28.12.2002;

Wielka Turnia

• *Nauka Haczenia*, A4: Janusz Gołąb i Grzegorz Skorek, 19.01.2003;

• *Rysa Malczyka*, VII: Marek Dziubas i Dariusz Kałuża, 01.2003.

SZCZYRBSKI SZCZYT pn. ścianą
V, A0, 7,5 godz.
Piotr Cieciała, Andrzej Machnik i Paweł Maleta: 29.03.2003

Do grani: 1 x 15m, 8 x 50m
Na grani: 3 x 50m

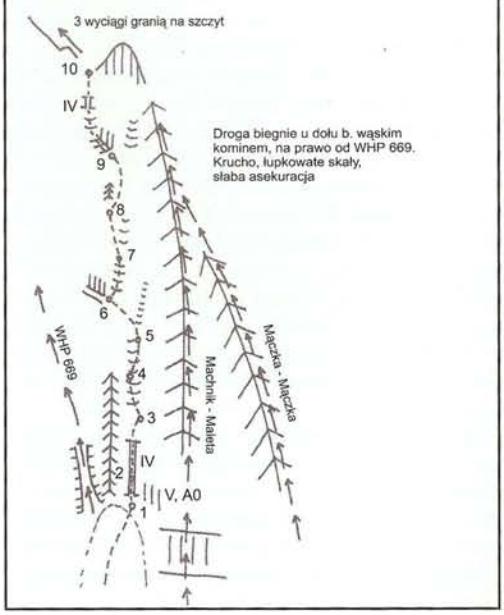

Lodowy Puchar Świata 2003

Tegoroczny Puchar Świata we wspinaczce lodowej (IWC 2003) miał trzy edycje. Rozpoczął się 10 stycznia zawodami w austriackim Pitztal a zakończył 25 stycznia w szwajcarskim Saas Fee. Mistrzostwa Świata we wspinaczce lodowej, które odbyły się w dniach 7 – 10 marca, nie są zaliczane do punktacji pucharu.

Lodowy Puchar Świata organizowany jest już po raz czwarty i wszedł na stałe do kalendarza imprez wspinaczkowych. Cieszy się z roku na rok coraz większym powodzeniem. Jeszcze kilka lat temu wspinano się po pionowych lodowych wieżach, obecnie budowane są coraz nowsze konstrukcje lodowo – mikstowe, na których nie brakuje odcinków przewieszonych i panelowych stropów z uchwytami dla „dziabek". Drogi są ubezpieczone, ograniczone czerwonymi lub niebieskimi liniami a wspinający się zawodnik, wpina się do ekspresów. Czasem stosuje się asekurację górną. Zawody organizowane są w dwóch konkurencjach „na trudność" i „na czas". Startują w nich nie tylko przedstawiciele krajów alpejskich ale również Rosjanie, Słowacy, Holendrzy a w poprzednich latach, kiedy jedna z jego edycji odbywała się w Quebecu, również Kanadyjczycy i Amerykanie. Polacy w tych zawodach jeszcze nie brali udziału.

Inauguracja w Pitztalu

Do zawodów zgłosiło się 25 kobiet, w tym aż 8 Rosjanek oraz 70 mężczyzn – 23 Austriaków i 10 Rosjan. W konkurencji „na trudność' mężczyźni wspinali się najpierw na dwóch drogach eliminacyjnych. Z każdej ośmiu najlepszych przechodziło do półfinału. Już po drogach eliminacyjnych odpadło kilku dobrych zawodników a także wszyscy Holendrzy, Słowacy i Czech. Niespodzianką było zakwalifikowanie się do półfinału dwóch Słoweńców. W finale wystartowało siedmiu zawodników. Konkurencję „na trudność" wygrał ubiegłoroczny zwycięzca Pucharu Świata Dymitrij Byczkow. Wśród kobiet zwyciężyła Ines Papert, która w ubiegłym roku w Pucharze Świata była druga.

W konkurencji „na czas" dominowali Rosjanie, którzy zajęli cztery pierwsze miejsca. Najszybciej przeszedł drogę finałową Jurij Olejnikow, a wśród kobiet 16-letnia Maria Szabalina.

Wyniki:

Mężczyźni „na trudność": 1. Dymitrij Byczkow (Rosja), 2. Harald Berger (Austria), 3. Simon Anthamatten (Szwajcaria), 4. Stephane Husson (Francja), 5. Yann Bonneville (Francja), 6. Mauro „Bubu" Bole (Włochy).

Kobiety „na trudność": 1. Ines Papert (Niemcy), 2. Kirsten Buchmann (Niemcy), 3. Ksenia Zdobnikowa (Rosja), 4. Misun Go (Korea). 5. Maria Filipowa (Rosja), 6. Anna Torretta (Włochy).

Mężczyźni „na czas": 1. Jurij Olejnikow (Rosja), 2. Aleksander Matwiejew (Rosja), 3. Igor Frajzulin (Rosja), 4. Nikolaj Szwed (Rosja), 5. Urs Odermatt (Szwajcaria), 6. Mario Wild (Austria).

Kobiety „na czas": Maria Szabalina (Rosja), 2. Sandra Wielebnowski (Austria), 3. Nadieżda Jakimowa (Rosja), 4. Anna Torretta (Włochy), 5. Kirsten Buchmann (Austria), 6. Misun Go (Korea).

Wspinaczka na lodowych bulderach

Druga edycja Lodowego Pucharu Świata odbyła się w dniach 18 - 19 stycznia we włoskim Val Daone. Tym razem wspinano się tylko „na trudność", na niskich konstrukcjach lodowo-mikstowych. Wspinaczka na tych bulderach wymagała nie lada sprawności, techniki i siły. Przechodziło się je przeważnie tylko na rękach, gdyż dla nóg nie było oparcia, często głową w dół. W zawodach wystartowało 21 zawodniczek, w tym osiem Rosjanek i sześć Włoszek oraz 49 zawodników, w tym również najwięcej Rosjan i Włochów. Eliminacje mężczyzn przeprowadzono w dwóch grupach, na dwóch bulderach. Już w eliminacjach odpadło kilku dobrych zawodników a półfinał wyeliminował dalszych, m. in. zwycięzcę z Pitztalu Dymitrija Byczkowa, Francuzów Anthony Lamiche, Francois Lombarda i Yanna Bonneville'a a także Mauro „Bubu" Bole. W finale do którego weszło ośmiu najlepszych zawodników zwyciężył Aleksiej Tomiłow. W konkurencji kobiet po półfinałach odpadło aż pięć Rosjanek i trzy Włoszki, m. in. Anna Torretta. Finał wygrała Ines Papert, dla której było to już drugie zwycięstwo w tegorocznym pucharze.

Wyniki:

Mężczyźni: 1. Aleksiej Tomiłow (Rosja), 2. Harry Berger (Austria), 3. Samuel Anthamatten (Szwajcaria), 4. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina), 5. Markus Bendler (Austria), 6. Aliaz Anderle (Słowenia).

Kobiety: 1. Ines Papert (Niemcy), 2. Ksenia Zdobnikowa (Rosja), 3. Natalia Kulikowa (Rosja), 4. Abby Watkins (Kanada), 5. Kirsten Buchmann (Niemcy), 6. Petra Müller (Szwajcaria).

Wspinaczka mikstowa

Tydzień później po zawodach w Val Daone odbyły się zawody Lodowego Pucharu Świata we szwajcarskim Saas Fee. Przejście dróg mikstowych, jakie tam przygotowano na nowych konstrukcjach, graniczyło z cyrkową akrobacją. Końcowym fragmentem drogi finałowej były podwieszone pod stropem „lodowe korki". Tylko dwóch zawodników osiągnęło top – Harald Berger i Aleksiej Tomiłow. Berger kończąc drogę zawisł na „lodowym korku" głową w dół, wygięty w pałąk, utrzymując się jedynie na tylnych zębach raków i na jednej „dziabce".

W Saas Fee wystartowało 21 kobiet w tym aż 10 Rosjanek oraz 39 mężczyzn – 10 Rosjan i 8 Szwajcarów, 6 Holendrów i 5 Austriaków. Eliminacje i półfinały kobiet „na trudność", odbywały się na starej lodowej ściance ze skalnymi pasażami. Do finału nie zakwalifikowały się m. in. Misun Go, Anna Torretta oraz pięć Rosjanek. Zwyciężyła po raz trzeci w tegorocznym pucharze Ines Papert.

Mężczyźni wspinali się na zbudowanych ostatnio nowych konstrukcjach, na dwóch drogach eliminacyjnych. Na drodze finałowej, która była właściwie jednym długim bulderem, wspinano się z asekuracją górną. Konkurencję „na trudność" wygrał Harald Berger.

Konkurencję „na czas" rozegrano na łatwiejszej i krótszej drodze. Tu także zwyciężyła Ines Papert a wśród mężczyzn pierwsze trzy miejsca zajęli Rosjanie, z których najszybszy był Nikolaj Szwed.

Wyniki:

Mężczyźni „na trudność": 1. Harald Berger (Austria), 2. Aleksiej Tomiłow (Rosja), 3. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina), 4. Mathias Schiestl (Austria), 5. Premrl Klemen (Słowenia), 6. Dymitrij Byczkow (Rosja).

Kobiety „na trudność": 1. Ines Papert (Niemcy), 2. Ksenia Zdobnikowa (Rosja), 3. Petra Müller (Szwajcaria), 4. Kirsten Buchmann (Niemcy), 5. Abby Watkins (Australia), 6. Stéphanie Maureau (Francja).

Mężczyźni „na czas": 1. Nikołaj Szwed (Rosja), 2. Aleksiej Tomiłow (Rosja), 3. Aleksander Matwiejew (Rosja), 4. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina), 5. Urs Odermatt (Szwajcaria), 6. Igor Fajzulin (Rosja).

Kobiety „na czas": 1. Ines Papert (Niemcy), 2. Natalia Kulikowa (Rosja), 3. Kirsten Buchmann (Niemcy), 4. Nadieżda Jakimowa (Rosja) i Elizaweta Petenko (Rosja). 6. Anna Torretta (Włochy).

Końcowy ranking IWC 2003

Mężczyźni „na trudność": 1. Harald Berger 260 pkt., 2. Aleksiej Tomiłow 211 pkt., 3. Dymitrij Byczkow 184 pkt., 4. Jewgienij Kriwoszejcew 163 pkt., 5. Kurt Astner (Włochy) 103 pkt.

Kobiety „na trudność": 1. Ines Papert 300 pkt., 2. Ksenia Zdobnikowa 225 pkt., 3. Kirsten Buchmann 186 pkt, 4. Petra Müller 130 pkt., 5. Misun Go 129 pkt.

Mężczyźni „na czas": 1. Nikolaj Szwed 155 pkt., 2. Aleksander Matwiejew 145 pkt., 3. Jurij Olejnikow 126 pkt., 4. Igor Frajzulin 112 pkt., Urs Odermatt 102 pkt.

Kobiety „na czas": 1. Maria Szabalina 140 pkt., 2. Nadieżda Jakimowa 120 pkt., 3. Kirsten Buchmann 116 pkt., 4. Anna Torretta 102 pkt., 5. Ines Papert 100 pkt.

Apoloniusz Rajwa

Mistrzostwa Świata we wspinaczce lodowej

W dniach 7-10 marca 2003 r. rozegrano w Kirowie (Rosja) Mistrzostwa Świata we wspinaczce lodowej. Tytuły w konkurencji na trudność zdobyli Niemka Ines Papert i Ukrainiec Jewgienij Kriwoszejcew.

Zdobywczyni Pucharu Świata Papert wygrała minimalnie, gdyż druga w klasyfikacji Rosjanka Marina Raszitowa osiągnęła identyczną wysokość. O kolejności zadecydował czas. Papert wygrała w minionym sezonie zimowym wszystko co było do wygrania, pokonała również najtrudniejsze mikstowe drogi Europy, więc tytuł dostał się w godne ręce. Kriwoszejcew wygrał wyraźnie, pokonując w finale Rosjanina Olega Czereszniowa o 2 metry. Na 3 miejscu ukończył zawody zdobywca Pucharu Świata w kategorii „na trudność" – Harald Berger (Austria)

W konkurencji szybkościowej triumfowali Rosjanie Natalia Kulikowa i Aleksander Matwiejew.

Wyniki

Mężczyźni (trudność)

1. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina), 2. Oleg Czereszniow (Rosja), 3. Harald Berger (Austria), 4. Mathias Schiestl (Austria), 5. Samuel Anthamatten (Szwajcaria), 6. Markus Bendler (Austria)

Kobiety (trudność)

1. Ines Papert (Niemcy), 2. Marina Raszitowa (Rosja), 3. Marina Masłowa (Rosja), 4. Kirsten Buchmann (Niemcy), 5. Maria Szabalina (Rosja), 6. Natalia Kulikowa (Rosja)

Mężczyźni (czas)

1. Aleksander Matwiejew Rosja), 2. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina), 3. Aleksiej Waguin (Rosja), 4. Urs Odermatt (Szwajcaria)

Kobiety (czas)

1. Natalia Kulikowa (Rosja), 2. Nadieżda Jakimowa (Rosja), 3. Elizawieta Petenko (Rosja), 4. Marina Masłowa (Rosja)

Lodowy Puchar Tygodnika Podhalańskiego

Po raz pierwszy w historii Zakopanego zostały zorganizowane zawody we wspinaczce lodowej. Odbyły się one 22 lutego na ściance lodowej usytuowanej w pobliżu dolnej stacji kolejki linowo – terenowej na Gubałówkę. Ścianka ma około 10 metrów wysokości, 5 metrów szerokości i jest nachylona pod kątem około 80 stopni. Jej ukształtowanie jest zróżnicowane. Są to przeważnie „kalafiory" i słupy lodowe, a więc istnieje możliwość wykorzystania naturalnych stopni. Ścianka należy do firmy Explorer Andrzeja Maciaty, ratownika TOPR.

W zawodach wystartowało kilkanaście osób w wieku od 8 do 30 lat. Umiejętności ich były zróżnicowane od osób z doświadczeniem we wspinaczce zimowej do nowicjuszy. Po przebyciu połowy ścianki trzeba było wykonać kilkumetrowy trawers a potem dojść ukośnie do dzwonka zawieszonego na końcu drogi. Liczył się czas przebycia drogi. W finale bezkonkurencyjny okazał się Szymon Grocholski, który przeszedł drogę w ciągu 24 sek. Następni uzyskali czas powyżej minuty. Drugi był Przemysław Wójcik a trzeci Grzegorz Kubicki. Wśród dziewcząt najszybsza była Aleksandra Wielkiewicz – 2 min. 50 sek. a następne miejsca zajęły Kinga Grocholska i Maria Grocholska.

Głównym organizatorem zawodów była firma Explorer przy współudziale Tygodnika Podhalańskiego. Uczestnicy zawodów otrzymali dyplomy i nagrody ufundowane przez sponsorów.

Apoloniusz Rajwa

Sukcesy Oleksego w Pucharze Świata

Dobry początek w Jekaterinburgu

Od dwóch zwycięstw w dwóch różnych konkurencjach rozpoczął Tomasz Oleksy starty w tegorocznym Pucharze Świata, którego trzy pierwsze edycje odbyły się w okresie 31.05 – 8.06 2003w Jekaterinburgu w Rosji. Najpierw w dniu 31 maja zwyciężył w konkurencji boulderingowej, wyprzedzając Saławata Rachmietowa z Rosji i Francuza Jérôme Meyera. Potwierdził tym samym, iż oprócz czasówki, w której zaliczany jest do najlepszych na świecie, również w boulderingu ma wielkie możliwości i ambicje.

Tomasz Oleksy na najwyższym podium w Jekaterinburgu
www.mountain.ru

Dzień później (1 czerwca) odniósł drugie pucharowe zwycięstwo, wygrywając w „swojej" konkurencji na szybkość, pokonując m.in. Aleksandra Pieszechonowa z Ufy (II miejsce), zwycięzcę zeszłorocznego Pucharu Świata i jednego z faworytów tegorocznej edycji. Trzecie miejsce zajął Denis Omielczenko z Krasnojarska. Na tych samych zawodach Edyta Ropek zajęła w czasówce 14 miejsce (na najwyższym podium stanęła Anna Saulewicz z Jekaterinburga).

4 czerwca rozegrano tylko konkurencje szybkościowe kobiet i mężczyzn. Oleksemu nie powiodło się już tak dobrze, zajął dopiero 14 miejsce, a zwyciężył Rosjanin Jakow Subbotin. Znacznie lepiej wystartowała Edyta Ropek, która uplasowała się na 7 pozycji. Zwyciężyła tym razem inna Rosjanka – Walentina Jurina.

W dniach 6-8 czerwca do współzawodnictwa włączyli się specjaliści od konkurencji „na trudność", w której Polacy nie startowali. Wygrali Francuzi: Chloe Minoret i Alexandre Chabot.

Po raz trzeci już rozegrano zawody na czas. Tym razem Oleksy zajął 3 miejsce, ustępując tylko dwóm Rosjanom – Pieszechonowowi i Minaczewowi. Edyta Ropek ponownie była 14, a zwyciężyła Olena Riepko z Ukrainy.

U podnóża Alp

Kolejną edycję Pucharu Świata w boulderingu rozegrano w dniach 13-15 czerwca w miasteczku Fiera di Primiero, położonym u podnóża dolomitowej grupy Pale di San Martino. Oleksy zaczął świetnie, wchodząc do finału z najlepszym czasem eliminacji. Potem poszło gorzej, w 12-osobowym finale zajął 10 miejsce, a zwyciężył Rosjanin Saławat Rachmietow.

W centrum rodzinnego miasta wielkiego Riccardo Cassina – włoskim Lecco, rozegrano w dniach 23-29 czerwca zawody o Puchar Świata we wszystkich trzech konkurencjach: boulderingu, na czas i na trudność. Na głównym placu z fontanną wybudowano bajecznie pomalowane ściany i „bouldery". Pod względem ilości startujących czasówka była dość słabo obsadzona (zaledwie 11 zawodników), ale zjawili się najgroźniejsi rywale Oleksego: Stienkowoj, Sinicyn, Pieszechonow i Subbotin. Oleksy w eliminacjach zajął 6 miejsce, ale potem rozkręcał się z biegu na bieg, by w końcu odnieść pełen sukces i – przy żywiołowym aplauzie publiczności – zdecydowanie zwyciężyć przed Rosjaninem Szaulskim i Ukraińcem Stienkowojem. Edyta Ropek była piąta, ale startowało tylko 5 zawodniczek... Najwyższe miejsce na podium ponownie zajęła Anna Saulewicz.

Oleksy i Ropek startowali również w boulderingu, ale tu nie było sukcesów – Oleksy był 11 a Ropek – 26. Konkurencję żeńską wygrała Rosjanka Olga Bibik, zaś męską – Jérôme Meyer z Francji. Najliczniej obsadzoną konkurencją była jak zwykle rywalizacja „na trudność". Wystartował nawet jeden Polak – Filip Babicz z Zakopanego, który ostatecznie zajął 47 miejsce. Zwycięzcami zostali: Belgijka Muriel Sarkany i Francuz Aleksandre Chabot.

Zawody na tamie

Kolejna edycja zawodów pucharowych w konkurencji szybkościowej została rozegrana w dniach 26-27 lipca w jednej z dolin masywu Adamello – Val Daone. Żeby wziąć udział w swojej koronnej konkurencji, Oleksy musiał zrezygnować z niemal równocześnie (25-26.07) rozgrywanymi zawodami boulderowymi w L'Argentière (Francja). W Val Daone ścigano się na 40-metrowej ścianie tamy. Oleksy biegł świetnie, w jednym z biegów pobił nawet rekord drogi ale nie wystarczyło to do zwycięstwa. Doszło do powtórki z Mistrzostw Świata w Chamonix – pierwszy był Stienkowoj a drugi – Oleksy.

Aktualnie w rankingu tegorocznego Pucharu Świata we wspinaczce na czas Tomasz Oleksy zajmuje 2 miejsce za Aleksandrem Pieszechonowem. Do rozegrania została tylko jedna edycja pucharowa – zawody w Shenzen (Chiny) planowane na 21-23 listopada. Istnieje więc realna szansa na końcowy sukces...

Tomasz Oleksy wicemistrzem świata!

Tegoroczne Mistrzostwa Świata we wspinaczce sportowej odbyły się w Chamonix w dniach 9 – 13 lipca. Impreza była doskonale zorganizowana i miała wspaniałą oprawę. Na ustawionych obok kompleksu ENSA efektownych, kolorowych konstrukcjach rozegrano trzy konkurencje: bouldering, wspinaczkę na trudność i na czas.

Ekipa z Polski liczyła 6 osób: Eliza Kugler, Edyta Ropek, Filip Babicz, Andrzej Mecherzyński, Cezary Modrzejewski i Tomasz Oleksy. Jak było do przewidzenia, zważywszy na sukcesy w Pucharze Świata, w silnej konkurencji międzynarodowej liczyli się tylko Tomasz Oleksy i Edyta Ropek. Największe sukcesy odniósł Oleksy, zdobywając wicemistrzostwo świata w swojej specjalności – wspinaczce na czas, oraz brązowy medal w boulderingu. Ropek zakwalifikowała się do finału konkurencji na czas i zajęła w nim 7 miejsce. Najsilniej obsadzoną konkurencją była wspinaczka na trudność, w której niestety żaden Polak od dłuższego czasu nie może przebić się do czołówki.

Wyniki
Mężczyźni – bouldering
1. Cristian Core (Włochy), 2. Jérôme Meyer (Francja), 3. Tomasz Oleksy (Polska)
Kobiety – bouldering
1. Sandrine Levet (Francja), 2. Natalia Perłowa (Ukraina), 3. Fanny Rogeaux (Francja), 27. Eliza Kugler, 30. Edyta Ropek
Mężczyźni – czas
1. Maksym Stienkowoj (Ukraina), 2. Tomasz Oleksy (Polska), 3. Aleksander Pieszechonow (Rosja), 14. Andrzej Mecherzyński
Kobiety – czas
1. Elena Repko (Ukraina), 2. Tatiana Rouiga (Rosja), 3. Walentina Jurina (Rosja), 7. Edyta Ropek
Mężczyźni – trudność
1. Tomás Mrázek (Czechy), 2. Patxi Usobiaga (Hiszpania), 3. David Caude (Francja), 45. Andrzej Mecherzyński, 55. Cezary Modrzejewski, 77. Filip Babicz
Kobiety – trudność
1. Muriel Sarkany (Belgia), 2. Emilie Pouget (Francja), 3. Sandrine Levet (Francja), 45. Eliza Kugler

Puchar Polski 2003

Jacek Radosław Bilski*

10 maja odbyły się ostatnie zawody tegorocznego Pucharu Polski w narciarstwie wysokogórskim i tym samym zakończyła ponad dwu-i półmiesięczna walka zawodniczek i zawodników o to zaszczytne trofeum. Pucharowi patronował Polski Związek Alpinizmu, a składało się nań osiem zawodów: 22 lutego Puchar Połonin – organizator Rzeszowski Klub Wysokogórski, 1 marca Ski-tour Zimową Koroną Bieszczadów Zachodnich – organizator PZN Oddział w Rzeszowie, 8 marca Memoriał Jana Strzeleckiego – organizator Klub Wysokogórski w Krakowie, 15 marca Puchar Pilska – organizator Klub Skialpinistyczny Kandahar, 22 marca Tropienie Niedźwiedzia Babiogórskiego – organizator Grupa Beskidzka GOPR, 29 marca Memoriał Waldemara Siemaszki – organizator Grupa Karkonoska GOPR, 5 kwietnia Zawody im. Józefa Oppenheima – organizator SN PTT 1907 i 10 maja Memoriał Piotra Malinowskiego – organizator TOPR. Niestety, Korona Bieszczadów, już po jej rozegraniu, została wyłączona przez Komisję Narciarstwa Wysokogórskiego PZA z pucharowego kalendarza na skutek licznych niedociągnięć organizacyjnych.

Zawodnicy byli klasyfikowani regulaminowo w ośmiu kategoriach: juniorki i juniorzy (rocznik 1985 i późniejsze), seniorki i seniorzy (roczniki 1967-1984), weteranki i weterani (roczniki 1952-1966) oraz nestorki i nestorzy (rocznik 1951 i wcześniejsze), ale w kategorii nestorek nie było zgłoszeń.

Początkowy kalendarz zawodów nie został dotrzymany bądź to z powodu braku śniegu na początku sezonu (Puchar Pilska i Tropienie Niedźwiedzia), bądź z powodu jego niebezpiecznej

Memoriał Strzeleckiego. Jacek Bilski na Czerwonych Wierchach. Arch. J. Bilskiego

Oznaczenia
nk – nieklasyfikowany(a); PPo – Puchar Połonin; MSt – Memoriał Jana Strzeleckiego; PPi – Puchar Pilska; TNB – Tropienie Niedźwiedzia Babiogórskiego; MSi – Memoriał Waldemara Siemaszki; ZO – Zawody im. Józefa Oppenheima; MM – Memoriał Piotra Malinowskiego; ppr – punty rankingowe.

JUNIORKI

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	RIEMEN Karolina	AZS Zakop.	nk	40	40	nk	30	40	150
2	WAJDA Julia	niezrzeszona	40	20	30	40	40	30	150
3	CHRUŚCIEL Aleksandra	niezrzeszona	nk	nk	24	30	24	24	102
4	HABINA Anna	niezrzeszona	30	17	20	nk	17	20	87

JUNIORZY

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	ŚLIWIŃSKI Andrzej	niezrzeszony	nk	40	40	40	40	40	160
2	STOPKA Szymon	niezrzeszony	40	30	nk	30	nk	24	124
3	DŁUGOPOLSKI Wojciech	niezrzeszony	30	24	24	20	30	20	108
4	HUDZIAK Daniel	niezrzeszony	nk	nk	30	24	20	17	91
5	BOCZULA Michał	niezrzeszony	20	15	20	17	nk	15	72
5	TYBOR Szymon	niezrzeszony	24	20	15	nk	nk	13	72
7	MIKIEWICZ Maciej	niezrzeszony	nk	17	14	nk	17	11	59

SENIORKI

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	MSt	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	GĄSIENICA ROJ Helena	KW Kraków	17	40	40	40	40	15	24	184
2	DEREZIŃSKA Magdalena	KS Warszawianka	40	30	30	nk	nk	nk	40	140
3	FISZER Magdalena	KW Gliwice	24	nk	40	30	nk	20	nk	114
4	ZIAJA Magdalena	niezrzeszona	15	nk	30	nk	nk	nk	17	62
5	WAJDA Marta	niezrzeszona	nk	nk	nk	24	nk	14	20	58

SENIORZY

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	MSt	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	BRZOSKO Jakub	TOPR	30	24	40	40	nk	30	30	170
2	BARGIEL Grzegorz	TOPR	40	24	40	24	nk	nk	40	168
3	CZECH Jacek	Szkoła Wspin. W skale	20	nk	30	30	nk	40	24	144
4	GOMOLA Adam	Klub Skialp. KANDAHAR	24	40	30	20	nk	nk	20	134
5	CHROBAK Andrzej	KW Zakopane	17	30	nk	17	nk	20	15	99
6	NĘDZA CHOTARSKI Marcin	KW Zakopane	15	30	nk	13	nk	24	nk	82
7	URBANEK Łukasz	Gr.Bes.GOPR	nk	nk	20	12	30	nk	12	74
8	POBURKA Jakub	KW Zakopane	nk	20	nk	nk	40	11	2	73
8	ZIARKO Maciej	brak danych	nk	17	24	15	nk	17	nk	73
10	OLESIŃSKI Maciej	Warsz. Tow. Sport. DESKI	14	20	nk	14	nk	8	13	69
11	KARPIEL Jan	KW Zakopane	12	17	24	nk	nk	7	nk	60
12	HORNOWSKI Jakub	niezrzeszony	nk	12	14	9	nk	12	11	58
13	DRZYGAŁA Krzysztof	Gr.W.-K. GOPR	nk	nk	nk	nk	17	14	17	48
14	MALINOWSKI Jędrzej	niezrzeszony	9	nk	nk	nk	20	10	8	47
15	GÓRNY Tomasz	Gr.Bes.GOPR	nk	nk	20	10	14	nk	0	44
16	MYSZKA Piotr	Klub Skialp. KANDAHAR	6	15	17	4	nk	nk	nk	42
17	ZWIJACZ KOZICA Bartosz	TOPR	nk	nk	nk	11	nk	15	10	36
18	PAWLIKOWSKI Przemysław	niezrzeszony	nk	12	14	8	nk	nk	1	35
19	PIÓRKOWSKI Tomasz	Gr.P. GOPR	11	nk	nk	7	nk	9	nk	27
20	SMOLICKI Mieczysław	Gr.Bes. GOPR	nk	nk	nk	6	9	5	0	20
21	DĄBROWSKI Arkady	Gr.W.-K. GOPR	nk	nk	nk	nk	12	14	0	16
22	KNAP Przemysław	niezrzeszony	nk	nk	12	nk	nk	1	0	13
23	SITARZ Łukasz	niezrzeszony	nk	nk	nk	3	nk	6	0	9
24	GRACZ Bogusław	niezrzeszony	nk	nk	nk	1	nk	2	0	3

WETERANKI

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	MSt	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	BACHLEDA ŻOŁNIERCZYK Zofia	KW Zakopane	40	40	nk	40	nk	40	40	200
2	WAJDA Bożena	KW Zakopane	30	nk	nk	24	40	24	30	148
3	JANOCIK SZYMBORSKA Monika	AKG Łódź	nk	40	nk	30	nk	30	nk	100
4	CHRUŚCIEL Zofia	Speleoklub Bielsko-Biała	nk	nk	nk	20	30	20	24	94

WETERANI

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	MSt	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	JAROSZ Włodzimierz	Klub skialp. KANDAHAR	40	40	40	40	40	40	40	200
2	NOWAK Paweł	Rzeszowski KW	30	40	40	nk	nk	nk	30	140
3	KRÓL Tomasz	Klub skialp. KANDAHAR	24	30	30	30	nk	nk	22	136
4	RZĄSA Marcin	niezrzeszony	20	24	nk	24	nk	30	22	120
5	KANTYKA Jacek	KW Gliwice	14	24	30	13	24	20	13	112
6	NOWOTARSKI Jacek	KW Kraków	17	30	nk	15	30	nk	14	106
7	SADOWSKI Piotr	niezrzeszony	13	nk	nk	20	nk	17	15	65
8	DYDUCH Henryk	Gr.Bes.GOPR	nk	nk	nk	11	20	24	nk	55
9	WIERZBANOWSKI Stanisław	TPN	nk	20	nk	14	nk	nk	12	46
10	BOCZULA Sławoj	niezrzeszony	11	nk	nk	8	nk	15	nk	34
11	MERES Maciej	Gr.Bes.GOPR	nk	nk	nk	4	12	nk	10	26

NESTORZY

M-ce	Nazwisko i imię	Klub	PPo	MSt	PPi	TNB	MSi	ZO	MM	ppr
1	BILSKI Jacek	TOPR	30	40	40	30	24	40	24	180
2	STARZYK Rajmund	TPN	24	40	40	24	20	24	20	152
3	KRUCZEK Stanisław	SKI Kraków	40	nk	30	nk	nk	30	30	130
4	ŻYŻYŃSKI Grzegorz	Łódzki Klub Narciarski PTTK	15	nk	30	17	nk	17	14	93

obfitości (Memoriał Siemaszki), co spowodowało kumulację terminów, rozgrywki pucharowe siedem sobót pod rząd i kolizję z Mistrzostwami Europy. Tygodnik Podhalański relacjonował na bieżąco wszystkie pucharowe zawody. Ranking PP2003 był publikowany na stronie internetowej PZA razem z wynikami każdych zawodów.

Przyznano osiem Pucharów Polski (pomimo klasyfikowania zawodników tylko w siedmiu kategoriach, gdyż w kategorii juniorek przyznano Puchar ex aequo). Do rankingu liczono pięć (dla juniorek i juniorów cztery) najlepszych wyników w sezonie.

Tegoroczne zawody pucharowe cieszyły się większą popularnością niż w ubiegłym roku. Ilość „zawodniko-startów" wyniosła 380 (rok temu 227). Maksymalna ilość możliwych do zdobycia punktów wynosiła dla juniorek i juniorów 160, dla pozostałych 200. Udało się to Zofii Bachledzie, Andrzejowi Śliwińskiemu i Włodzimierzowi Jaroszowi, przy czym ten ostatni wygrał wszystkie osiem edycji w swej kategorii. Otrzymał za to nagrodę specjalną. On też już po szóstej edycji tegorocznego pucharu miał zapewniony PP w kategorii weteranów. Został też jedynym zdobywcą pucharowym spoza Zakopanego. Siódma edycja przyniosła rozstrzygnięcie kolejnych czterech kategorii. Do końca, to znaczy do ósmej edycji, nieznani byli zwycięzcy w kategoriach juniorek i seniorów. Wśród juniorek sytuacja była wyjątkowa – Julia Wajda miała puchar już wywalczony, ale nie wiadomo było, czy nie będzie dzielić zwycięstwa ex aequo z Karoliną Riemen, co właśnie zaszło. W kategorii seniorów zapowiadała się ostra walka pomiędzy Grzegorzem Bargielem i Jakubem Brzosko. Faworytem był Brzosko, bo Bargiel mógł go pozbawić PP tylko wygrywając, ale jednocześnie Brzosko musiał być gorszy niż drugi. Ten trudny do spełnienia warunek nie zaszedł – Bargiel wygrał, ale Brzosko przybiegł zaraz za nim i on stał się pucharowym zwycięzcą.

Tropienie Niedźwiedzia Babiogórskiego. Zofia Bachleda Żołnierczyk na Diablaku. Arch. J. Bilskiego

Zeszłoroczne zdobywczynie pucharu w tym sezonie „odpuściły". Zofia Dembowska wystartowała tylko raz, Magdalena Derezińska – niewątpliwa faworytka – cztery razy, a Monika Janocik-Szymborska 3 razy. Podobnie Marcin Nędza Chotarski, zeszłoroczny triumfator pucharu i bardzo dobrze zapowiadający się Maciej Ziarko, którzy wystartowali tylko cztery razy.

W tegorocznym pucharze zabłysnęły nowe nazwiska. Wspomniany już Włodzimierz Jarosz, Jacek Czech i Adam Gomola – wszyscy trzej zawodnicy Kandaharu, Paweł Nowak z Rzeszowskiego Klubu Wysokogórskiego, który jest „nowicjuszem" w kategorii weteranów, ale spotkał tu „twardy orzech do zgryzienia" w osobie Jarosza, oraz Andrzej Śliwiński – niezrzeszony z Poronina.

Uroczystość ogłoszenia wyników odbyła się w Murowańcu, a puchary, nagrody i dyplomy wręczył zawodnikom prezes PZA Janusz Onyszkiewicz.

*Autor jest ratownikiem TOPR i koordynatorem Pucharu Polski w narciarstwie wysokogórskim z ramienia PZA

Mistrzostwa Europy w narciarstwie wysokogórskim

W dniach 28 – 30 marca 2003 w dolinach Małej Zimnej Wody i Staroleśnej odbyły się Mistrzostwa Europy w ski-alpiniźmie. W zawodach wzięło udział ponad 200 zawodniczek i zawodników z 17 krajów, w tym trzynastoosobowa reprezentacja Polski.

Start i metę wszystkich konkurencji usytuowano na Siodełku (1285 m). Pierwszego dnia na trasę ruszyły dwuosobowe zespoły seniorów i seniorek. Z Siodełka trasa wiodła Doliną Staroleśną na Świstową Przełęcz. Tam zawodnicy zakładali raki i wchodzili na Świstowy Szczyt (2382 m). Potem – zjazd i trawers do Zmarzłego Stawu, podejście na Zawracik Rówienkowy (2250 m), zjazd i podejście na Czerwoną Ławkę (2352 m) oraz końcowy zjazd przez Strzeleckie Pola i Dolinę Staroleśną do mety na Siodełko. Trasa liczyła około 22 km długości i 2000 m przewyższenia. Najlepszy francuski zespół Brosse – Gignoux pokonał ją w niewiarygodnym czasie 2 godz. 18 min. i 31 sek.!

Jury zawodów doliczyło wszystkim zespołom trzyminutową karę za nie wpinanie się do poręczówek na grani Świstowego Szczytu. Dodatkowo zespół Brosse – Gignoux ukarano trzema minutami za to, że jeden z zawodników podchodził na Świstowy mając rak tylko na jednym bucie. Czołówkę dzieliły tak niewielkie różnice czasowe, że w efekcie Francuzi spadli na czwarte miejsce. Zwyciężyli Damien Farquet i Elmer Rico ze Szwajcarii a wśród pań – ich rodaczki Christine Mabillard i Cristina Favre.

W sobotę startowali juniorzy i kadeci. Juniorzy z Siodełka podbiegali na Rohatkę (2288 m), po zjeździe trawersowali górne piętro doliny i zjeżdżali przez Zbójnickie Korycisko do mety, pokonując ok. 18 km i 1000 m deniwelacji. Polskę reprezentował tylko jeden junior, Maciej Ziarko z Zakopanego. Ziarko w gronie 18 juniorów zajął 6 miejsce, pokonał wszystkich Francuzów, Słowaków i Hiszpanów w swojej kategorii wiekowej, tracąc do zwycięzcy – Włocha Davide Spini – zaledwie 10 minut. Był to najlepszy wynik polskiego zawodnika podczas tych mistrzostw.

Najbardziej prestiżową i najlepiej obsadzoną konkurencją – bieg indywidualny seniorów – rozegrano w niedzielę. Trasa wiodła z Siodełka do Schroniska Tery'ego, na Baranią Przełęcz (2392 m), potem zjazd do Niżniego Spiskiego Stawu, podejście na Lodową Przełęcz (2376 m), zjazd i podejście na Czerwoną Ławkę, skąd zawodnicy zjeżdżali przez Strzeleckie Pola i dnem Doliny Staroleśnej do Siodełka. Długość trasy ok. 20 km, przewyższenie 1760 m. I znowu niebywały czas najlepszych zawodników – zaledwie nieco ponad dwie godziny! Poziom był tak wyrównany, że różnica pomiędzy pierwszym a dziesiątym zawodnikiem wyniosła niespełna cztery minuty. Pierwsze miejsca zajęli Włoch Manfred Reichegger i Szwajcarka Cristina Favre. Wystartowało ośmiu Polaków, najlepszy z nich był Jacek Czech, który zajął 68 miejsce, tracąc do zwycięzcy nieco ponad 36 min. Spośród czterech Polek na najlepszej – 22 pozycji uplasowała się Zofia Bachleda, ale zwyciężczyni wyprzedziła ją o prawie 50 min.

Kategoria *espoir* (nadziei) to zawodniczki i zawodnicy urodzeni w latach 1980-1982, którzy startują w konkurencji indywidualnej razem

z seniorami, ale są także klasyfikowani osobno. W kategorii *espoir* Magdalena Derezińska była 7, a Jan Karpiel – 18. W przypadku kombinacji dodano czasy zawodników z konkurencji zespołów dwuosobowych i indywidualnej.

W sumie w ME wśród 17 narodowych reprezentacji Polska zajęła dobre 7 miejsce wyprzedzając m.in. Czechy i Austrię. Słowacy oceniają swój udział w mistrzostwach jako porażkę. Trapiły ich choroby i zajęli tylko jedno miejsce na podium – zdobywając brązowy medal w kategorii kadetek. Największą gwiazdą mistrzostw była Szwajcarka Cristina Favre, która zdobyła trzy złote medale.

Pogoda dopisała, szczególnie w niedzielę kiedy zawody rozegrano w pełnym słońcu pod bezchmurnym niebem. Mistrzostwa były bardzo dobrze przygotowane, trasa świetnie oznakowana, w miejscach gdzie brakowało śniegu pracowały ekipy z łopatami. Widać też było, że narciarstwo wysokogórskie jest na Słowacji bardzo popularne. Na trasach, w miejscach zmiany fok i na przełęczach, zawodnikom kibicowało wielu narciarzy, którzy wczesnym rankiem wyruszyli na trasy. Na Czerwonej Ławce żywiołowo dopingowało zawodników blisko 50 osób. Słowem – bardzo udane, stojące na wysokim poziomie Mistrzostwa Europy i niezły występ polskiej reprezentacji.

Wyniki
Seniorzy – indywidualnie
1. Manfred Reichegger (Włochy), 2. Stéphane Brosse (Francja), 3. Heinz Blatter (Szwajcaria)
M-ca Polaków:
68. Jacek Czech, 73. Grzegorz Bargiel, 75. Jakub Brzosko, 76. Adam Gomola, 81. Maciej Olesiński, 82. Andrzej Chrobak, 91. Bartosz Zwijacz-Kozica, 92. Jan Karpiel

Kobiety – indywidualnie
1. Cristina Favre (Szwajcaria), 2. Catherine Mabillard (Szwajcaria), 3. Valérie Ducognon (Francja)
M-ca Polek:
22. Zofia Bachleda, 30. Magdalena Derezińska, 31. Monika Janocik, 32. Magdalena Fiszer,
Seniorzy – drużynowo
1. Damien Farquet i Elmer Rico (Szwajcaria),
2. Manfred Reichegger i Dennis Brunod (Włochy),
3. Camillo Vescovo i Mirco Mezzanotte (Włochy),
M-ca Polaków:
30. Grzegorz Bargiel i Jakub Brzosko,
33. Adam Gomola i Jacek Czech,
37. Bartosz Zwijacz-Kozica i Maciej Olesiński
Kobiety – drużynowo
1. Catherine Mabillard i Cristina Favre (Szwajcaria)
2. Valérie Ducognon i Delphine Oggeri (Francja)
3. Corinne Favre i Véronique Lathuraz (Francja)
M-ca Polek:
11. Monika Janocik i Zofia Bachleda
13. Magdalena Derezińska i Magdalena Fiszer
Kombinacja – seniorzy
1. Manfred Reichegger (Włochy), 2. Stéphane Brosse (Francja), 4. Elmer Rico (Szwajcaria)
M-ca Polaków:
50. Grzegorz Bargiel, 51. Jacek Czech, 52. Jakub Brzosko, 53. Adam Gomola, 54. Maciej Olesiński, 58. Bartosz Zwijacz-Kozica
Kombinacja – kobiety
1. Cristina Favre (Szwajcaria), 2. Catherine Mabillard (Szwajcaria), 4. Valérie Ducognon (Francja)
M-ca Polek:
18. Zofia Bachleda, 21. Monika Janocik, 22. Magdalena Derezińska, 23. Magdalena Fiszer
Klasyfikacja narodowa
1. Francja; 2. Włochy; 3. Szwajcaria; 7. Polska;
Reprezentacja Polski dziękuje za wsparcie sponsorom, którymi byli: Polski Związek Alpinizmu, Hotel Orbis Kasprowy, Starostwo Tatrzańskie, Arnica, TOPR i TPN.

Opracowane na podstawie: www.pza.org.pl; www.uiaa.ch; www.james.sk

Na Královej Holi

Pierwsze w tym sezonie zimowym zawody w ski – alpinizmie w ramach Pucharu Słowacji odbyły się 26 stycznia w Niżnich Tatrach w rejonie Královej Holi. W zawodach tych startowało również kilku reprezentantów Polski.

Trzy pierwsze edycje Pucharu Polski w ski-alpinizmie zostały przełożone na marzec, dlatego kilku naszych ski-alpinistów zdecydowało się startować na Słowacji, gdzie we wschodniej części Niżnich Tatr warunki narciarskie były bardzo dobre. W zawodach uczestniczyło kilkudziesięciu zawodników i tylko kilka zawodniczek. Byli oni klasyfikowani w konkurencji indywidualnej oraz zespołów dwuosobowych. Wszyscy wyruszyli ze wspólnego startu sprzed szkoły w Telgártcie – powiedziała Zofia Bachleda, przewodnicząca Komisji Narciarstwa Wysokogórskiego PZA. Trasy dla poszczególnych kategorii wiekowych były zróżnicowane pod względem długości i przewyższenia. Pogoda i warunki śniegowe były bardzo dobre. Startowali też juniorzy i kadeci. Polskę reprezentowali: Magdalena Derezinska, Zofia Bachleda, Grzegorz Bargiel, który startował w parze z Jakubem Brzosko oraz Andrzej Chrobak z Janem Karpielem Bułecką. Niestety na trasie wycofała się Magda Derezińska a drugi zespół męski został zdyskwalifikowany. Trasa seniorów miała 27 km długości i 1900 metrów

przewyższenia. Były na niej cztery podejścia, a najwyższym punktem na trasie była Králova Hola (1948m). Kobiety startowały na trasie o długości 25 km i deniwelacji 1700 metrów.

Pod nieobecność najlepszych – Miroslava Leitnera i Petera Svätojansky'ego, zawody wygrał inny zespół słowacki: Milan Madaj i Dušan Trizna. Nasz zespól Grzegorz Bargiel i Jakub Brzosko zajął ósme miejsce. W kategorii indywidualnej seniorek zwyciężyła Słowaczka Beata Jurinova, która nieznacznie wyprzedziła na ostatnich metrach Zofię Bachledę. Za pierwsze trzy miejsca w każdej kategorii były puchary i nagrody. Zawody te były dla Słowaków pierwszą eliminacją do Mistrzostw Europy, które odbędą się pod koniec marca w Tatrach Wysokich. W tym samym czasie odbywały się również zawody w Hiszpanii w ramach Pucharu Europy w ski-alpiniźmie, w których doskonale spisali się dwaj czołowi słowaccy ski-alpiniści. Miroslav Leitner zajął w nich drugie miejsce za Włochem Luciano Fontaną, a Peter Svätojansky był dwunasty.

Apoloniusz Rajwa

Memoriał Siemaszki. Włodzimierz Jarosz (z lewej) biegnie po szóste zwycięstwo w PP '2003 Arch. J. Bilskiego

Rallye Červenec

Drugą edycję Pucharu Słowacji w ski-alpinizmie zorganizowano w Tatrach Zachodnich w rejonie Doliny Jałowieckiej. Zawody te pod nazwą Rallye Červenec organizowane są już od jedenastu lat. W tym roku uczestniczyło w nich 63 zawodników.

W kategorii głównej zaliczanej do pucharu wystartowało 16 dwuosobowych zespołów, które miały do pokonania trasę o długości 21 km i przewyższeniu 1750 metrów. Na pierwszy szczyt Babki (1558m) dotarły razem trzy zespoły, ale już po zjeździe i na następnym podejściu na Kopę (1637m) wysunęła się na prowadzenie dwójka Milan Madaj i Dušan Trizna, która systematycznie zwiększała swą przewagę przy podejściu na Ostrą (1785m) a następnie na Siwy Wierch (1806m) i nie oddała prowadzenia aż do mety. Zespół ten uzyskał czas 2 godz. 11 min. 21 sek. Ich zwycięstwo było przekonujące, ponad 5 min. nad drugim zespołem – Milan Juroš i Marcel Svoboda. Trzecie miejsce zajęli Czesi Roman Kuczynsky i Roman Glajcar. Jest to już drugie w tym sezonie pucharowe zwycięstwo pary Madaj – Trizna, która skoncentrowała się na Pucharze Słowacji, podczas gdy Miroslav Leitner i Peter Svätojansky startują w zawodach o Puchar Europy.

W kategorii indywidualnej zawodnicy mieli do przebycia trasę o długości 10 km i przewyższeniu 1150 metrów. Najlepszy czas uzyskał Pavol Bičan z Královej holi – 1 godz. 23 min. 3 sek., przed Viktorem Kováčikem i Jurajem Kuklišem.

Apoloniusz Rajwa

Z Zadniego Kościelca na nartach

Korzystając z wyjątkowo obfitej pokrywy śnieżnej, w kwietniu tego roku zakopiański wspinacz, przewodnik i ratownik TOPR, Edward Lichota, zjechał na nartach załupą zachodniej ściany Zadniego Kościelca, tzw. wariantem H (w przewodniku WHP 94H), od lat funkcjonującym jako popularna kursowa droga wspinaczkowa o trudnościach III. Spotkałem się z opinią, że jest to najtrudniejszy technicznie narciarski zjazd ścianowy, jakiego udało się dokonać w Tatrach Polskich.

W poprzednich sezonach Edward Lichota zjechał na nartach m.in. z wierzchołka Rysów aż do Czarnego Stawu, północną ścianą Czarnego Mięguszowieckiego na Kazalnicę czy wschodnią ścianą Miedzianego.

Andrzej Skłodowski

Zjazd narciarski ścianą Kieżmarskiego Szczytu

23 marca 2003 słowacki akrobata narciarski, Bohuš Štafan, jako drugi człowiek zjechał 250-metrową południowo-zachodnią ścianą Kieżmarskiego Szczytu. Trasa zjazdu ma spadek 50 – 55° i trudności narciarskie VI, jest przy tym bardzo eksponowana. Pierwszy taki zjazd wykonał tu 8 maja 1988 Vlado Tatarka, parę lat temu tragicznie zmarły w lawinie. Bohuš ma za sobą już 200 ekstremalnych zjazdów, także w Alpach, Pamirze i Tien Szaniu.

Ekstremalne zjazdy narciarskie w górach wysokich

Shivling

Francuz Emmanuel Ratouis prowadził wiosną 2001 r. 3-osobową wyprawę, która weszła zachodnią granią na "himalajski Matterhorn" czyli Shivling (6554 m) w Himalajach Garhwalu. Atak szczytowy zajął 20 godz. w dniach 7 – 8 maja. Ratouis dokonał następnie pierwszego zjazdu narciarskiego z tego efektownego sześciotysięcznika. Z wyjątkiem 80-metrowego uskoku, który pokonał zjazdem na linie, zjechał na nartach całą drogą, stokami o nachyleniu do 55 stopni. Narty odpiął dopiero w odległości 10 min. marszu od bazy.

5 października 2002 r., mimo nie najlepszej pogody, na szczyt Shivlinga weszła mała hiszpańska wyprawa, po czym „snowboarder extremo" Jordi Tosas dokonał niełatwego zjazdu na snowboardzie. Górne 300 metrów stanowiły stoki o nachyleniu 50-55 stopni, z odcinkami 60-stopniowymi. Plateau między wierzchołkami sprowadziło do pionowej bariery seraków, która wymagała 60-metrowego zjazdu na linie. Dalej były znowu partie śnieżne o spadku 55 stopni. Po noclegu w obozie III, 6 października alpinista kontynuował zjazd – wciąż jeszcze stromy i przerwany wymagającą zjazdu na linie partią skalną. W drodze do obozu II śnieg był niebezpiecznie zlodzony. Niżej, w stronę obozu I, nastromienie złagodniało.

Shivling został zdobyty w r. 1974 przez wyprawę hinduską, a jego ścianami wiodą duże drogi sportowe – za ostatnią (VII/A4) Thomas Huber i Iwan Wolf nagrodzeni zostali Złotym Czekanem.

Pik Pobiedy

W dniach 23 i 24 sierpnia 2002 r. Nikołaj Pimkin (39) z Sankt Petersburga, mistrz sportu narciarstwa wysokogórskiego i „śnieżny bars", dokonał pierwszego zjazdu na nartach z Piku Pobiedy (7439 m). W górnej części 3 trudne fragmenty przebył pieszo, dolna część była łatwiejsza, mimo głębokich śniegów. Zjazd zakończył nad szczelinami, na wysokości 4200 m.

Rynną Pallaviciniego na nartach

Ładnym sukcesem mogą się pochwalić młodzi słowaccy skialpiniści, którzy 4 maja 2003 dokonali grupowego zjazdu słynnym Żlebem Pallaviciniego, pomiędzy Groß- a Kleinglocknerem. Zespół tworzyli: Iva Filová, Martin Jurík, Peter Závodský, Bohuš Štefan i Rast'o Križan, przy czym Iva jest być może pierwszą panią, jaka się na coś takiego odważyła. *Pallavicinirinne* ma 600 m wysokości i średni spadek 60°. Jako pierwszy przeszedł ją z przewodnikami Alfred hr. Pallavicini w r. 1876, pierwszy zjazd na nartach miał miejsce w r. 1961.

Nowe odkrycia w Jaskini Małej w Mułowej

Anna Antkiewicz

Jaskinia Mała w Mułowej, znajdująca się w masywie Ciemniaka, to największe od kilkunastu lat jaskiniowe odkrycie jakiego dokonano w Tatrach. W 2002 r., w wyniku eksploracji prowadzonej przez członków Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK, znana głębokość tej jaskini powiększyła się od około 9 m aż do 361 m, o czym informowałam już w Taterniku (nr 1-2/2003 s. 70-72). Odkryto tam też największą znaną dziś w Polsce i Tatrach jaskiniową komorę – Salę Fakro. Ma ona 85 m długości, do 30 m szerokości i – jak się okazało po odkryciach dokonanych latem 2003 roku – 90 m wysokości (wcześniej podawaliśmy, że jej strop znajduje się 50-60 m nad dnem sali).

Zimą 2003 roku, po akcji w początku stycznia, która przyniosła pogłębienie jaskini do ok. 364 metrów, dalsza eksploracja Jaskini Małej nie była możliwa. Śniegi przykryły grubą warstwą nie tylko okolice otworu, ale i partie przyotworowe. Wejście stało się niemożliwe. Śnieg i lody z jaskini zniknęły dopiero pod koniec czerwca, w czym pomogliśmy przekopując w nich, na początku maja, 4 m tunel do otworu, umożliwiający wypływ powietrza z jaskini. Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że zapach kadzidełka, za pomocą którego sprawdzaliśmy wtedy istnienie przepływu powietrza w otworze Jaskini Małej, był wyczuwalny następnego dnia w przyotworowych partiach Jaskini Lejbusiowej położonej ok. 60 m wyżej, co potwierdza łączność między tymi jaskiniami (choć nie wykluczone, że ma ona miejsce jedynie poprzez wąskie szczeliny). Należy też dodać, że głębokość jaką wyeksplorowaliśmy w 2000 r. w Jaskini Lejbusiowej, była – jak wykazały pomiary przeprowadzone latem 2003 r. – większa niż podano w Taterniku 1-2/2003 (s. 72). Wynosiła ona nie ok. 30 m, ale 48 m, a jaskinia ta ma 85 m. długości.

W I połowie lipca 2003 r. nakręciliśmy krótki filmik o eksploracji Jaskini Małej, który oglądać można na stronie www.neostrada.pl .12 lipca, wychodząc na powierzchnię z głębi jaskini po akcji filmowania, zaczęliśmy eksplorację Korytarza Pykniętego, który wcale nie wydawał nam się perspektywiczny ani ciekawy – był pierwszym otwartym problemem (nie wspinaczkowym) najbliższym otworu. I puściło!

Odkryliśmy wtedy ok. 20-30 m. korytarzy. Zasadniczo zaczęło nam puszczać w ostatniej dekadzie lipca 2003 r. Pierwsze były (21 lipca) wąskie partie, urywające się Studniami Urodzinowymi (P. 50 i P. 20), które połączyły się ze Studnią Geriawitów. Następnie (23 lipca) puściło wąskim Korytarzem Pokuty, Studnią Gaździnki (P. 20)

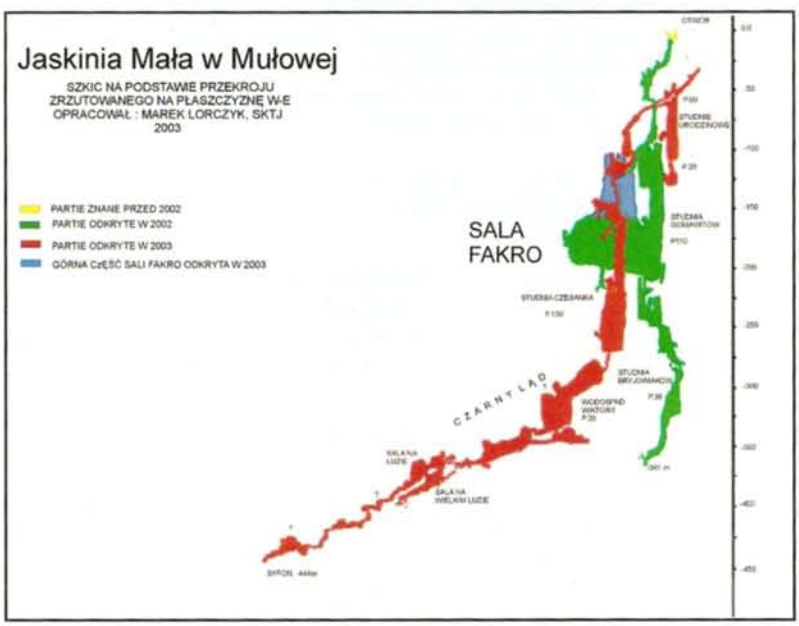

i korytarzem z ciekiem wodnym. Wtedy postanowiliśmy: eksplorujemy za wodą i jakieś suche meandry nas teraz nie interesują. 25 lipca stanęliśmy nad nieznaną wielką studnią. By zbadać tę „czeluść" przedłużyliśmy pobyt w Tatrach do 28 lipca. Zaczyna się ona wąską szczeliną z płynącą wodą (ok. 15 m w pionie), potem jest wielka zaklinowana wanta, a dalej już taka prawdziwa studnia. Pierwszy eksploracyjny zjazd odbył się w pewnej odległości od wody i wspomnianej wanty. Czesław Zabrzeński zaopatrzony w worek pełen liny, wiertarkę, okrutnie ciężkie akumulatory żelowe, młotek itd., oddalał się od miejsca startu, a my nie mogliśmy uwierzyć, że ta studnia jest aż tak głęboka. Od startu ani razu nie dojechał do ściany i nie zrobił przepinanki. Na dnie zostało mu tylko 3 metry liny! Zjazd miał 105 m, a cała studnia ma 130 m głębokości. Została nazwana Czesanka, od imion dwójki zdobywców Czesława Zabrzeńskiego i Anny Antkiewicz. Jest drugą co do głębokości w Tatrach. Dalszą drogę w dół zamykało zawalisko położone na głębokości ok. 270 m licząc od otworu.

Do Jaskini Małej wróciliśmy już 1 sierpnia z zamiarem znalezienia obejścia zawaliska na dnie Czesanki. Nie udało się to. Podobnie też nie udało się znaleźć takiego obejścia w czasie następnej akcji przeprowadzonej 10 dni później. Dlatego też w czasie kolejnej akcji – 13 sierpnia – chcąc nie chcąc „musieliśmy" wejść w zawalisko i... udało się. Około 14 m poniżej dna studni, „wyczołgując" się z pomiędzy want, odkryliśmy obszerny korytarz utworzony na kontakcie wapieni i czarnych łupków – po prostu Czarny Ląd. Ciągnie się on aż do Sali na Luzie. Miejscami w dnie tego korytarza widoczny jest podziemny potok porównywalny z tym płynącym w Jaskini Śnieżnej. Na głębokości 300 m tworzy on 20 m wysokości „cienki" Wodospad Wiktorii. Woda pojawia się też – co stwierdziliśmy w czasie następnej akcji przeprowadzonej 15/16 sierpnia – w końcowym meandrze. Początkowo do wody dochodziliśmy obejściami, tam podziwiając jej wielkość. Podczas wejścia 22/23 i 25/26 września eksplorowaliśmy już idąc korytem podziemnego potoku. Pewną trudność stanowiły kaskady z rozpryskującą się wodą, ale dzięki trawersom udało się je pokonać suchą stopą – no może prawie suchą. Nie było tego wiele, bo dość szybko dalszą drogę zamknął nam syfon. Leży on na głębokości 444 m i 350 m w poziomie na zachód od otworu. Wyeksplorowany ciąg korytarzy i studni ma ok. 1 km długości, a cała jaskinia ok. 1,7 km. Dzięki tym parametrom Jaskinia Mała w Mułowej znajduje się aktualnie na 4 miejscu wśród najgłębszych jaskiń Polski i 14 wśród najdłuższych.

Jeszcze podczas akcji 25/26 września odkryliśmy rozległe „stare" korytarze około 40 m nad syfonem, które potencjalnie mogą doprowadzić nas do rzeczonego obejścia. Mamy nadzieję na zejście głębiej, bo teoretycznie jest to możliwe... i siła w nas wielka.

W eksploracji udział wzięli: Anna Antkiewicz, Marek Lorczyk, Czesław Zabrzeński, Paweł Wańczyk, Józef Kołodziej, Wojciech Skoczeń, Piotr Floryan, oraz Paweł Rams i Paweł Dutka. Wszyscy z Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK

Śnieżna Studnia i inne odkrycia zakopiańczyków

Dariusz Fuja

Długość Śnieżnej Studni, jednej z największych tatrzańskich jaskiń, wciąż rośnie. W październiku 2002 r. długość splanowanych w niej ciągów osiągnęła 9411 metrów, a ponadto około 200 metrów korytarzy i kominów było jeszcze nie pomierzonych, co dało jaskini długość ok. 9,6 km. Są duże szanse na to, że wkrótce (jeszcze w 2003 roku), znana długość tej jaskini przekroczy już istotną w Tatrach granicę 10 km.

Jest bowiem w niej jeszcze szereg problemów eksploracyjnych. W ostatnich 2 latach członkowie Speleoklubu Tatrzańskiego Zakopane skupili się na działalności w kilku niezależnych przodkach, gdzie eksplorują:

1. Szczelinę znajdującą się kilkadziesiąt metrów nad dnem Studni Wazeliniarzy i biegnącą na zachód (głównie G. Albrzykowski, M. Parczewski i F. Filar – 14.10 i 11.11.2001 oraz wielokrotnie w okresie lipiec – październik 2002). Poznano tam kilka równoległych do siebie kominów, połączonych korytarzem lub szczelinami, które tworzą coś w rodzaju piętra jaskini znajdującego się bez-

pośrednio nad poziomem -500. Ciąg ten łączy się z przewyższeniem Sali JJ i dociera nad Studnię Trzech. Co istotne, te nowe partie dają łatwiejszy – i na wyższym poziomie – dostęp do zachodniej części jaskini, co może pozwolić na lepsze spenetrowanie tej części jaskini.

2. Partie za Studnią Czekoladową (D. Fuja, 8.10 i 14.10.2002), gdzie od poziomu -500 do dna (-667 m) sprawdzana jest każda najmniejsza nawet szczelinka, co do tej pory przyniosło prawie 300 metrów nowego i znalezienie kilku problemów do eksploracji. Jest to jeden z najtrudniejszych rejonów tej jaskini, gdzie przyszło mi działać solo. Sądzę, że jego eksplorację zakończę w tym roku, jeśli uda mi się pokonać problem wodny nazwany Naszą Wodą oraz gdy pozostałe problemy będą kończyły się tak jak wszystkie inne w tych partiach, już po kilkudziesięciu metrach.

3. Meander do Raju (długości ponad 100 m), to jest ciąg rozpoczynający się w Sali Inki i biegnący na zachód (Z. Tabaczyński, P. Romatowski, B. Stoch-Michna, 18-20.07.2002), z tym że może nie jest on zbyt perspektywiczny, gdyż inne ciągi w tej części jaskini kończyły się na podobnej do osiągniętej tu wysokości.

W 2001 r. działano również nad Salą Inka w rejonie Szczepanowego Komina (G. Albrzykowski i P. Orawiec 25-27.05 i 7-8.07 oraz 26-28.10), a w 2002 r. przede wszystkim wyeksplorowano odnogę studni Boskich Marmitów z Bocznym Kominkiem i Syfonem za Syfem (ciąg długości ok. 250 m). Jest to obecnie najbardziej uciążliwy ciąg w tej jaskini. Początkowo eksplorowałem go z S. Szadkowskim (16.10.2001), a później już samotnie w okresie listopad 2001 – luty). Przy pomiarach pomagał mi Ł. Jańczy (12/13.03.2002 r.). Również samotnie wyeksplorowałem (wspinaczki) Rajską Rurę (11/12.07.2002) ciągnącą się między Partiami Łętowiańskimi a Studnią Czekoladową, a tylko podczas pomiarów towarzyszyli mi J. Sikora (21/22.07) i S. Szadkowski (27.07.2002).

Przy okazji przestrzegam przed zapuszczaniem się do Śnieżnej Studni ludzi słabo wyszkolonych, gdyż jakikolwiek błąd z ich strony, może pociągnąć za sobą akcje ratunkową, co ponadto może przyczynić się do dewastacji jaskini. Ze smutkiem musimy stwierdzić, że w ostatnich czasach zaobserwowaliśmy niepokojące zjawisko kradzieży lin z części przyotworowej jaskini. Podobne wydarzenia mają miejsce i przy innych jaskiniach. Dlatego też apeluję do grotołazów o podjęcie działań, które doprowadzą do wyłowienia tego kryminalnego elementu z naszego środowiska. Należy ich złapać i skierować sprawę do odpowiednich organów ścigania.

Należy przy tym podkreślić fakt, że w porównaniu z innymi tatrzańskimi jaskiniami, Śnieżna Studnia jest bardzo czysta, co wynika z zasady, bezwzględnego dbania o czystość, stosowanej przez wszystkie ekipy eksplorujące tę jaskinię i nie ma potrzeby organizowania w niej spektakularnych akcji oczyszczania, jak ma to miejsce w innych jaskiniach.

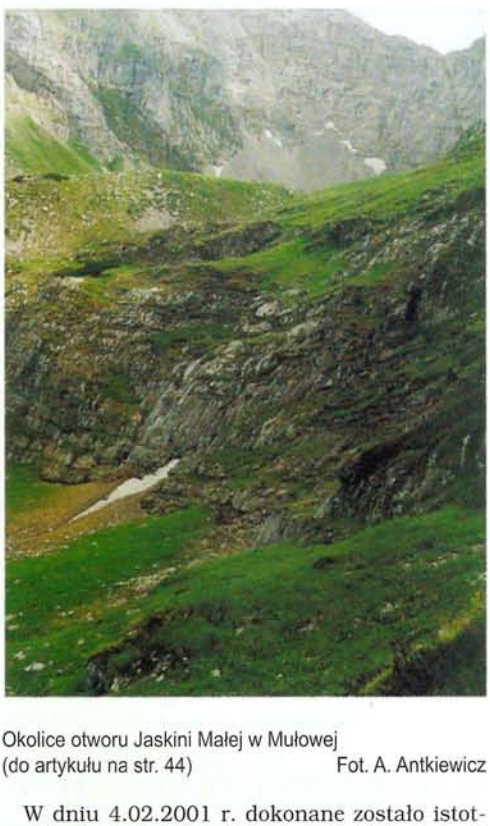

Okolice otworu Jaskini Małej w Mułowej
(do artykułu na str. 44) Fot. A. Antkiewicz

W dniu 4.02.2001 r. dokonane zostało istotne, choć niewielkie odkrycie w Jaskini Czarnej. Udrożniony wtedy został, po dwu akcjach eksploracyjnych (pierwsza 6.01.2001), przez Filip Filara i Bartłomieja Stoch-Michnę (obaj Speleoklub Tatrzański Zakopane) nowy, czwarty już otwór tej jaskini. Położony jest on kilka metrów powyżej i na północ od otworu głównego (i stosunkowo niedaleko otworu drugiego). Idąc powierzchnią, można go odszukać, kierując się spod głównego otworu w prawo i do góry, aż do siodełka, skąd w dół, na lewo (NW) pod skalną ścianą. Położony jest wśród kosówek pod małym smrekiem.

Odkrycie tego otworu ma znacznie praktyczne. Może stanowić on bowiem alternatywę dla otworu głównego w przypadku, gdy konieczne będzie wyjście z dna studni wejściowej, a nie będzie ona

zaporęczowana (np. przy okazji trawersowania jaskini) i wspięcie się nią będzie niemożliwe (np. z powodu zalodzenia). Wtedy na powierzchnię można wyjść przez partie III Komina, trasą prowadzącą do Sali z Niedźwiedziem (na wstępie próg wysokości 10 m – III, dalej trawers nad studnią – II i kilkumetrowy prożek – IV). Otwór znajduje się na końcu korytarzyka odchodzącego w prawo tuż przed Salą z Niedźwiedziem.

Ponadto w latach 2001-2002 grotołazi ze Speleoklubu Tatrzańskiego na terenie Tatr dokonali jeszcze kilku niewielkich odkryć.

O nowy otwór wzbogaciła się Jaskinia pod Zamkiem (odkrycie D. Fuji 15.12.2002), a jej długość wzrosła do 100 m, zaś deniwelacja osiągnęła kilkanaście metrów. Jaskinia ta, zwiedzana przez turystów już od połowy XIX wieku, znajduje się w masywie Żaru nad Wąwozem Kraków i przechodzi na wylot przez jego skalny grzbiet.

W sąsiedztwie Jaskini Wyzior, znanej z widoku turystom idącym dnem Doliny Kościeliskiej, 9 metrów nad dnem doliny znaleziono 16 metrowej długości Krowi Tunel (splanowany 28.04.2001). (Jest to obiekt znany grotołazom już w latach 60. XX wieku. Zwany był wówczas Jaskinią nad Pisaną i odnotowany został, bez nazwy i z długością 20 metrów, na mapie jaskiń w „Atlasie Tatrzańskiego Parku Narodowego" pod numerem 57 – przypis www).

Dwie kolejne jaskinie odkryto w Dolinie Małej Łąki w rejonie Wielkiej Turni. Pierwsza znajduje się na Czerwonym Grzbiecie, w rejonie Pośredniej Turni Małołąckiej, około 20 m powyżej Jaskini Zośka na wysokości ok. 1830 m n.p.m. Jest nią 12 m głębokości myta Czerwona Studzienka, znaleziona w lipcu 2001 r. Druga to 15 m długości i 10 m głębokości Łamana Dziura położona na wysokości ok. 1750 m n.p.m. w górnej części prawego (orograficznie) odgałęzienia Łamanego Żlebu, znaleziona we wrześniu 2002 r.

W znanym dawniej Schronisku w Wielkiej Turni odkryto, po pracach prowadzonych w latach 2000 – 2001, przedłużenie powiększające jego długość z 3,5 m do 19 m, a głębokość do -15 m. Jest to obiekt bardzo obiecujący, obecne dno to myty meander, w którego spągu otwiera się wąska szczelina głębokości ok. 5 m, obecnie zagruzowana.

Dużego odkrycia (partie długości 79 m i 31,5 m deniwelacji) dokonano w 2002 r. w Mnichowej Studni Wyżniej (zob. „Taternik" 4/2001, s. 52).

Poza tym poznano jeszcze kilka mniejszych obiektów, a w kilku znanych już wcześniej jaskiniach dokonano niewielkich odkryć. M.in. w Lodowej Małołąckiej (9 m długości salę z lodem i nowy otwór, 28.10.2000), Szczelinie w Kopie nad Doliną Kondratową (kilka metrów, 2.06.2001), Jaskini Kalackiej (6 metrów).

Szerzej niemal wszystkie te odkrycia zostały opisane w biuletynie Speleoklubu Tatrzańskiego „Dewiator" nr 18 datowanym na grudzień 2002 roku.

Jaskinia w Krzesanicy

Wojciech W. Wiśniewski

Jesienią 2002 roku po słowackiej stronie Czerwonych Wierchów dokonano bardzo interesującego i ważnego odkrycia. Jaskinia Nowa Krzesanicka (Jaskyňa Nová Kresanica) została pogłębiona ze 110 do 183 metrów. Zdystansowała dotychczasową rekordzistkę tego rejonu, znaną od dawna Tomanową Studnię (Jaskinię Zadniego Upłazu, Priepast' Zadný Úplaz) i jest obecnie najgłębszą jaskinią słowackiej części Tatr Zachodnich. Należy przy tym podkreślić, że jaskinia ta znajduje się w szczytowych partiach Krzesanicy, a otwór jej położony jest na wysokości 2016,5 m n.p.m., to jest ponad 100 metrów wyżej od najwyższych partii Jaskini Wielkiej Śnieżnej, co daje nadzieje na uzyskanie w niej znacznej głębokości. Warto o tym odkryciu wspomnieć także ze względu na rodzaj i skalę (raczej nieznaną polskim grotołazom) prowadzonych w jaskini prac eksploracyjnych.

Odkrycie i pierwsze dno (-110 m) – 1990 rok

Na południowych stokach podszczytowej kopuły Krzesanicy od dawna obserwowano istnienie zimą znacznych wytopów w śniegu. Gdzieś na przełomie lat 50. i 60. XX wieku polscy grotołazi sporządzili nawet mapę takich miejsc. Później zainteresowali się nimi słowaccy grotołazi. 31.03.1990 r. przy powierzchniowej penetracji tego obszaru natrafili na wytopione w śniegu miejsce, gdzie spomiędzy skalnych bloków wyczuwalny był silny przewiew powietrza a wrzucane tam kamienie leciały kilka metrów w głąb. Znajdowało się ono w skalistym grzbiecie

Rozpadłej Grani, ponad górnym skrajem lodowcowego kotła Doliny Rozpadłej, ok. 500 metrów na południowy-wschód od szczytu Krzesanicy i ok. 130 metrów na północ od eksplorowanej przez Mariusza Zaruskiego Jaskini Rozpadłej (Priepast' Kresanica; głęb. 71 m). Dodajmy, że Zaruski zszedł w niej (wraz z góralem Jakubem Wawrytką) do ówczesnego dna – na głębokość 45 m, a było to pierwsze w całych Tatrach przejście jaskini o rozwinięciu pionowym, który to rekord został pobity dopiero ok. 25 lat później w Jaskini Miętusiej.

13.04.1990 r., w wytypowanym miejscu, grotołazi wykonali 1,5 metrowej głębokości wykop, który wprowadził ich do jaskini 6 metrowej głębokości. Dalej była już wąska szczelina z zaklinowanymi kamieniami. Grotołazi próbowali ją odgruzować 9.06.1990 r. Ale zaprzestali, gdyż w tym samym czasie ich kolega Ján Šmoll w sąsiedztwie wykopu odwalił kilka skalnych bloków i odsłonił nowy otwór (o wymiarach 0,4 x 0,5 m) wprowadzający do jaskini. Ku zaskoczeniu grotołazów, gdyż nie przypuszczali, że bez większych problemów wejdą daleko pod ziemię, już tego dnia Ján Šmoll i Peter Holúbek (odkrywca tego obiektu, który jako jedyny uczestniczył we wszystkich akcji eksploracyjnych w 1990 r.) oraz R. Staroň odkryli ciąg długości 247 metrów. Jest to szczelinowy korytarz (wysokości 2-6 m i szerokości 0,5-2 m) po 50 m wprowadzający do dużej komory (15x15 m i wysokość 5 do 16 m), z której poprzez duże zawalisko wchodzi się do kolejnego korytarza o średniej wysokości 5 metrów, schodzącego do głębokości -72,5 m, gdzie dalsze przejście zagradzało zawalisko. Pokonali je 20.10.1990 r. Kilka metrów dalej znów się zatrzymali – nad 9 metrowej głębokości studnią, której z braku lin nie mogli pokonać. Powrócili tu po tygodniu (27.10). Poniżej studni odkryli 40 m długości meander, który doprowadził ich do zawaliska na głębokości -103 m. Zawalisko to próbowali pokonać 17.11., ale ze względu na jego wielkie rozmiary przerwali w nim prace. Wspięli się za to pionowym kominem nad meandrem, który wprowadził ich do 70 metrowej długości korytarza zakończonego 20 m głębokości dzwonowatą studnią. Zjechali do niej dopiero w czasie następnej akcji. Także poniżej studni dalszą drogę zamykało zawalisko. Osiągnęli tam wtedy głębokość -110 m. (Odkrycie i opis tej części jaskini zostały zaprezentowane przez Petera Holúbka w „Jaskiniach" nr 3 z 1994 r. oraz w „Spravodaju Slovenskej Speleologickej Spoločnosti" nr 1/1993 i w „Slovenskym Krasie" r. 33 z 1995 r.).

Nowe dno (-183 m) – 2002 rok

Rozmiary zawaliska kończącego jaskinię, którego nie dało się rozebrać, sprawiły, że na ponad 10 lat poszła ona w odstawkę. I to mimo tego, że na jej końcu był silny przewiew, a wiosną słychać było za zawaliskiem potok z wodospadem. Odstąpiono od eksploracji choć grotołazi stwierdzili, że jaskinia ta jest wyjątkowo interesującą ze względu na możliwą do osiągnięcia w niej znaczną (a dla Słowacji nawet rekordową) deniwelację.

Upowszechnienie na Słowacji nowej techniki rozbijania bloków skalnych – wydajne wiertarki akumulatorowe i bezpieczne środki wybuchowe – sprawiło, że odkrywcy tej jaskini postanowili powrócić do jej eksploracji. W początku 2002 r. zakupili wiertarkę oraz inny potrzebny sprzęt i metodą małych odstrzałów zaczęli przebijać się przez zawalisko zamykające meander na głębokości 103 metrów. Już w czasie pierwszej akcji (2.02.2002 r.) stwierdzili, że jest to bardzo skuteczna metoda przechodzenia przez zawaliska. Po 8 akcjach przeprowadzonych zimą i latem 2002 r. pokonali zawalisko, które jak się okazało miało 25 metrów długości. Na drugą jego stronę – jak informuje inicjator tej eksploracji Ján Šmoll („Spravodaj Slovenskej Speleologickej Spoločnosti" nr 3/2002, s. 34) – przeszli 14.09.2002 r. Jest tam korytarz wysokości do 8 m i szerokości 3 m, który po 15 m kończy się głęboką studnią. Ze względu na brak lin wycofali się znad niej, a na powierzchnię wyszli – jak podkreślają – w 50 minut, czyli zajęło im to mniej czasu niż zejście w dół, gdyż w tym czasie inni grotołazi nie kopiący w zawalisku, poszerzyli w jaskini wąskie miejsca, by ułatwić przyszłe akcje.

Mimo otwartego atrakcyjnego problemu grotołazi powrócili do jaskini dopiero 5.10.2002 r. Okazało się wtedy, że studnia ma 33 m głębokości, a w dolnej części średnicę 10-15 m i wymyta została w czarnym wapieniu (stąd jej nazwa – Czarna studnia). Z dna jej prowadzi stromy korytarz, który urywa się nad kolejną obszerną studnią (o owalnym przekroju o wymiarach 5 x 12 m) głębokości 23 m. Także ona wymyta jest w czarnym wapieniu. Dno tej studni tworzy zawalisko, w którym grotołazom udało się (dzięki zastosowaniu wspomnianej metody rozczłonkowywania bloków skalnych) wejść na odległość ok. 25 m i głębokość ok. 15 m. Osiągnięto tam głębokość 183 metrów. Zdaniem grotołazów, dalsza eksploracja w tym zawalisku, wygląda na bardzo obiecującą.

W czasie następnej akcji (14.12.2002 r.), jak informuje Ján Šmoll („Spravodaj Slovenskej Speleologickej Spoločnosti" nr 4/2002, s. 11), grotołazi skupili się na problemach wspinaczkowych nad Czarną Studnią. M.in. wykonali nad nią ok. 15 m trawers, za którym odkryli korytarz i studnię łączącą się ze znanymi już partiami. Stwierdzili wtedy, że są tam jeszcze duże możliwości eksploracyjne w górę. Jest tam m.in. duży i wysoki na co najmniej 25 metrów komin, którego z braku czasu nie eksplorowali.

Przy okazji tej akcji grotołazi wnieśli do jaskini plastykowe naczynia, w których będą przechowywane rzeczy dla planowanego obozu podziemnego. Akcje do tej jaskini zajmują już bowiem ponad 15 godzin, a ostatnia trwała 20 godzin.

Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że w jaskini tej, choć położona jest tak bardzo wysoko, stwierdzono występowanie i zimowanie nietoperzy. Dwa hibernujące nietoperze obserwowano w niej na głębokości 25 m, a więc na wysokości ok. 1990 m n.p.m. Z ukształtowania terenu wynika, iż nietoperz do jaskini musiał przedostać się albo przez znany otwór wejściowy, albo przez inny otwór, ale położony równie wysoko. Stanowisko to jest najwyżej położonym w całych Tatrach i jest ono bliskie górnej granicy wysokości zimowania nietoperzy możliwej do osiągnięcia w całych Tatrach.

Perspektywy - ponad 500 metrów deniwelacji?

Zdaniem słowackich grotołazów Jaskinia Nowa Krzesanicka jest górnym otworem wielkiego systemu jaskiniowego, na co wskazuje to iż w jej otworze, szczególnie zimą, wyczuwalny jest intensywny przepływ powietrza. Znane partie jaskini prowadzą na zachód (z odchyleniem ku południowi) w stronę kotła Świstówki Liptowskiej i dochodzą już na odległość ok. 250 m od otworu. Górna część jaskini rozwinięta jest wzdłuż pęknięcia i ma charakter zawaliskowy, co jest najpewniej rezultatem wietrzenia mrozowego, sięgającego tu głęboko pod ziemię. Od poziomu -95 m korytarze jaskini mają charakter erozyjny. Grotołazi liczą na dojście przez tę jaskinie do głównego systemu odwodnienia słowackiej części masywu Czerwonych Wierchów. Część tego obszaru odwadniana jest przez wywierzyska znajdujące się u podnóża wschodniego krańca Rozpadłej Grani, na stokach Jaworowego Żlebu, na wysokości ok. 1400 m i w odległości ok. 1,25 km na wschód od wejścia do Jaskini Nowej Krzesanickiej. Jest tam już znana duża, blisko półkilometrowej długości i 41 metrowej deniwelacji, jaskinia Okresowe Wywierzysko (Obcasna Vyvieracka), do której wejście leży 558 metrów poniżej otworu Jaskini Nowej Krzesanickiej. Budowa geologiczna Czerwonych Wierchów sugeruje, że możliwe jest odwodnienie tej jaskini w przeciwną stronę – do Doliny Kościeliskiej, i tym samym przynależność tej jaskini do systemu Lodowego Źródła, które – przypomnijmy – wypływa na wysokości 974 m n.p.m., to jest ponad 1 km poniżej otworu jaskini.

Niemal pewne jest też spore (o ok. 60 metrów) „podwyższenie" jaskini. Wskazują na to silne przepływy powietrza stwierdzone w jej nowych partiach. Tylko niewielka część z nich idzie do starej części jaskini, a większość kieruje się do otworu w stropie jednego z kominów koło Czarnej Studni. Na powierzchnię powietrze to wypływa najpewniej w podszczytowych partiach Krzesanicy, tuż pod czapą krystaliczną, gdzie zimą widoczne są duże wytopienia śniegu – przez Wyżnią Krzesanicką Studnię (Priepast' Vyšna Kresanicá), której wejście leży na wysokości 2079 m n.p.m. i w jej okolicy.

Nowe jaskiniowe rekordy Polski z... Sudetów

Wojciech W. Wiśniewski

Od 2001 r. na terenie Gór Stołowych grotołazi ze speleoklubu „Bobry" z Żagania prowadzą – w porozumieniu z dyrekcją Parku Narodowego Gór Stołowych – inwentaryzację jaskiń. Kieruje nimi Halina Zyzańska. Rezultaty rekonesansu zostały przedstawione w „Taterniku" nr 3/2001 (s 54; zob. też „Taternik" nr 4/2001 s 55-56). Stwierdzono wtedy, że najciekawsze pod względem jaskiniowym są okolice Szczelińca Wielkiego i Małego oraz rejon Piekła (wzniesienia wysokości 711 m n.p.m. w północno-zachodniej części Gór Stołowych przy granicy z Czechami). Wyniki pierwszego sezonu inwentaryzacyjnego (czyli roku 2002) H. Zyzańska i Marcin Furtak przedstawili

na łamach klubowego biuletynu „Grotołajza" nr 6 (s 44-46). Dodatkowych informacji na temat odkryć H. Zyzańska udzieliła nam telefonicznie 25.01.2003r. Prace prowadzone były w dwóch grupach, jedna działała na Szczelińcu Wielkim, a druga w rejonie Piekła. Jak mówi inwentaryzatorka, ten drugi obszar to teren bardzo trudny do penetracji. Są tam wielkie rumowiska porośnięte mchem, często ze zwalonymi drzewami.

Zinwentaryzowano łącznie kilkanaście jaskiń, z których dwie największe przekraczają długość 200 metrów i obie są wyjątkowe w skali Polski – są nowymi jaskiniowymi rekordami.

Jaskinia na Potoku – najdłuższa w Polsce jaskinia rumowiskowa

Pierwsza z nich to jaskinia znajdująca się w dolinie potoku za wzniesieniem Piekło. Od położenia dano jej nazwę Jaskinia na Potoku. Rozciąga się wzdłuż brukowanej drogi biegnącej w stronę granicy z Czechami i ma długość 280 metrów i 12 m deniwelacji. Obecnie jest ona najdłuższą z jaskiń splanowanych na terenie Gór Stołowych.

Jest ona wyjątkowa z tego względu, że jest to jaskinia rumowiskowa, która nie tylko jest największym tego typu obiektem w Polsce, ale w ogóle jedyną znaczniejszą taką formą jaskiniową, jaką poznano w naszym kraju. Jaskinię tę tworzy system korytarzy rozwiniętych na trzech poziomach w ogromnym rumowisku, między bardzo wielkimi głazami piaskowca. Dnem najniższego z nich (pięter) płynie potok, tworzący malownicze małe jeziorka (o głębokości do 30 cm) i półmetrowe kaskadki, który miejscami znika w podłożu marglistym, by kawałek dalej znów pojawić się na dnie korytarza. Potok przepływający przez jaskinię jest dopływem czeskiego potoku Stekelnice. Do jaskini wprowadza ok. 10 otworów, największy z nich ma ok. 6 m długości i 2 m wysokości.

W okresie od października do czerwca występują w niej lodowe nacieki, a pokrywa śnieżna utrzymuje się do lata. „Jest ona bardzo urocza, szczególnie wiosną – mówi H. Zyzańska. – Przypomina wtedy bajkowy kryształowy świat. W jej wnętrzu jest wówczas bardzo dużo przepięknych lodowych nacieków, mających najrozmaitsze formy. Całe ściany korytarzy zbudowane z żółtego piaskowca pokrywa skrząca się w świetle polewa lodowa, a w ich środku znajdują się malownicze lodowe stalagmity i stalaktyty osiągające długość 2-3 m."

Odkrycie stalagmitów korzeniowych

W Jaskini na Potoku znaleziono dwa niezwykłe, ze względu na kształt i sposób powstawania, twory, nazywane stalagmitami korzeniowymi – w skrócie korzeniowcami. Są to formy znane dotąd z kilkudziesięciu tylko jaskiń piaskowcowych Czech i Niemiec. Z wyglądu przypominają klasyczne stalagmity, a niekiedy niewielkie mrowiska, mające postać stożków o bardzo stromych ścianach. Utworzyły je końcówki korzeni drzew, które przebiły się przez dno jaskini i rosną ku górze, dzieląc się na niemal nieskończoną ilość włosowatych korzonków, budujących bardzo gęstą sieć. Przestrzeń między nimi wypełniają niekiedy ziarna kwarcu, usztywniające korpus tej biogenicznej struktury, zamieszkałej przez liczne gatunki bezkręgowców, które również mogą mieć wpływ na jej rozwój. Dotąd na świecie poznano niewiele ponad 100 sztuk tego tworu. Największy z nich, zwany Królem, ma wysokość 60 centymetrów, powstał w czeskiej jaskini Kořenka w Cieplickich Skałach. Większy z okazów znalezionych w Jaskini na Potoku ma kształt stożka wysokości 12 cm i ok. 4-5 cm średnicy w górnej części, przy nasadzie jest grubszy.

W sąsiedztwie tej jaskini znaleziono jeszcze kilka, mniejszych już, jaskiń, o długości do 60 metrów i deniwelacji do kilkunastu metrów.

Jedynka – jaskinia o największej w Polsce liczbie otworów (17)

Druga wyjątkowa – wśród zinwentaryzowanych w 2002 r. w Górach Stołowych – jest jaskinia, której, od kształtu jednego z otworów, nadano nazwę Jedynka. Tworzy ją system korytarzy ciągnących się wzdłuż zachodnio-północnych ścian Szczelińca Wielkiego. Jest to skomplikowany labirynt o długości ponad 230 metrów. Aktualnie jest drugą pod względem długości jaskinią Gór Stołowych; ma 17 metrów deniwelacji i aż 17 otworów. Obecnie jest to jaskinia o największej w Polsce znanej liczbie otworów. Wcześniej taką pozycję zajmowała Szczelina Lipowicka, znajdująca się w Kilanowskiej Górze w Beskidzie Niskim, mająca długość 105 m, do której wprowadza 12 otworów.

Od jesieni do później wiosny w jaskini Jedynka zalega śnieg, a w niektórych jej partiach tworzą się fantazyjne lodowe nacieki. W zachodniej części na dnie korytarzy spotkać można łachy piasku („małe plaże" – jak piszą inwentaryzatorzy). Dodajmy, że u podnóża ścian Szczelińca Wielkiego splanowano ponadto 10 mniejszych jaskiń.

Grotołazi z Żagania inwentaryzację jaskiń Gór Stołowych mają przeprowadzić w ciągu trzech najbliższych lat. I można być pewnym, że w tym czasie dowiemy się jeszcze o niejednym interesującym jaskiniowym odkryciu.

Polskie odkrycia w Hagengebirge 2002 – 2003

Dariusz Bartoszewski

Dla polskiego taternictwa jaskiniowego, od ponad 30 już lat, głównym terenem działań eksploracyjnych są masywy Salzburskich Alp Wapiennych w Austrii. I pomimo tego, że lista miejsc, gdzie udają się nasze wyprawy, poszerza się, a egzotyka celów rośnie (Papua Nowa Gwinea, wyspy Patagonii), wciąż co roku kilka polskich ekspedycji kieruje się w stronę Salzburga. Ilość i jakość dokonywanych tam odkryć ciągle pozwala w Salzburgu właśnie lokować stolicę naszego taternictwa jaskiniowego (patrz „Ćwierć wieku w jaskiniach Austrii", Z. Rysiecki, Taternik 2/1995 s. 10).

Około 40 km na południe od tego miasta znajduje się znacznych, jak na tamtejsze warunki, rozmiarów masyw Hagengebirge. Jest to rejon typowy dla krasu tego rejonu. Pionowe niemal z każdej strony ściany ograniczają rozległe, nagie plateau leżące na wysokości około 1900-2200 m n.p.m. Zachodnią krawędzią płaskowyżu biegnie granica austriacko-niemiecka, której waga w górach zredukowana została przez Unię Europejską niemal tylko do strefy wpływów lokalnych samorządów i – co dla nas ważniejsze – klubów jaskiniowych z Salzburga i Niemiec. Od północy i południa ograniczają masyw głębokie doliny Bluntautal i Blüchnbachtal, a od wschodu dolina Salzachu którą biegnie autostrada A10. Środek zaś plateau przecina – nieco dla nas groteskowo – linia wysokiego napięcia.

Po południowej stronie masywu działały w latach 1977-1988 wyprawy Katowickiego Klubu Speleologicznego. Została wtedy przez nich wyeksplorowana, do głębokości 1078 m i długości 28 km, jaskinia Jägerbrunntrog (Jägerbrunntroghöhle). Do dzisiaj jest ona jedną z najdłuższych jaskiń w większości wyeksplorowanych przez Polaków i drugą pod względem długości w tym masywie. Najdłuższą jest, położona również w południowej części masywu, jaskinia Tantalhöhle, która została odkryta już w początkach działalności austriackich grotołazów w tym terenie i w większości (m.in. cały główny ciąg) wyeksplorowana w latach 1947-1950. Ma ona 34 kilometry długości (przy głębokości 435 m) i słynie z gigantycznych rozmiarów sal i korytarzy. Obie jaskinie są znane i sprzyjają powstaniu poglądu, że ten masyw jest w całości „wypełniony" tego rodzaju wielkimi obiektami (Tantalhöhle ma 4,3 km rozciągłości i przechodzi niemal „na wylot" przez masyw). Jednak już pierwsze spojrzenie do wydawanego przez Landesverein für Höhlenkunde Salzburg inwentarza jaskiń pozwala zauważyć, że wzmiankowane jaskinie wyczerpują niemal listę dużych obiektów tego masywu. Poza nimi jest jeszcze kilka, ale już znacznie mniejszych jaskiń. Należy do nich leżąca w północno-zachodniej części, kilkaset metrów od niemieckiej granicy, jaskinia Alvermannschacht. Podawane przez odkrywców jaskini głębokość 440 m i długość 1470 m lokowały ją na czwartej pozycji pod obu względami w masywie.

Jaskinia ta została odkryta w roku 1985 i wyeksplorowana przez wyprawę włoskiego klubu CAI UGET. Włosi nie mieli zgody Landesverein für Höhlenkunde Salzburg, ani też lokalnych władz, na działalność eksploracyjną. Gdy tylko władze te dowiedziały się o odkryciach, grotołazi musieli opuścić masyw. Pozostała duża jaskinia, w której ponoć nie wykonano pomiarów, a dokumentację sporządzono „na oko" (oddajmy sprawiedliwość – jak się okazało – bardzo dokładnie). Ta właśnie sytuacja i konieczność uzupełnienia dokumentacji zaważyła ostatecznie na przyznaniu nam – po wieloletnich staraniach – zgody na działanie w masywie.

Nasza grupa, pochodząca głównie z klubów Sekcji Grotołazów Wrocław i Sopockiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego, prowadziła w latach 1995-1997 i 2000-2001, ze zmiennym szczęściem, eksplorację w sąsiednim masywie Hoher Göll. Już przy okazji ostatniej z wypraw w Göll'a wykonaliśmy rekonesans w nowym dla nas masywie. W latach 2002 i 2003 odbyły się dwie 3-tygodniowe wyprawy w Hagengebirge.

Pierwszym celem były pomiary Alvermannschacht i kontynuacja jej eksploracji. Prace te były prowadzone na obu wyprawach, gdyż podczas pierwszej wyjątkowo deszczowa pogoda nie sprzyjała działalności w tej jaskini. Groźba odcięcia przez wodę pod ziemią pojawia się tam podczas każdego większego opadu. Ostatecznie posunęliśmy się zaledwie kilkanaście metrów dalej niż

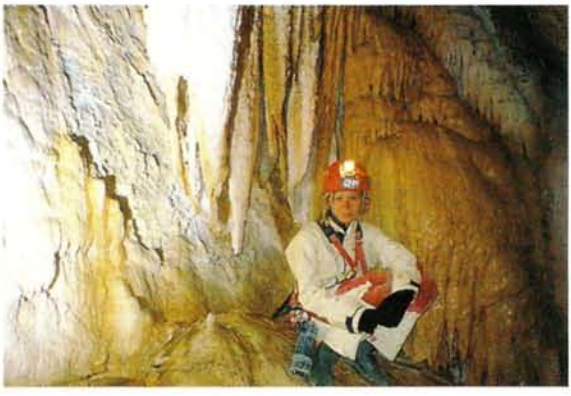

Salka Zachwytu w Jaskini Kasztanowej Fot. D. Bartoszewski

dotarli Włosi. Doszliśmy tam – już w 2002 r. – do syfonu definitywnie zamykającego drogę w dół. Głębokość jaskini wyniosła 452 m, a długość ciągu głównego osiągnęła 709 m. Ponieważ jaskinia niemal nie posiada istotniejszych odgałęzień, okazało się, że podawana wcześniej długość była znacznie zawyżona, lub też stosowano zupełnie inne kryteria jej oceny. Brak sukcesów w Alvermannschacht sprawił, że już w 2002 r. rozpoczęliśmy poszukiwania nowych obiektów. Niedaleko od Alvermannschacht natrafiliśmy na obiecujący otwór, który wprowadził nas do jaskini ochrzczonej później mianem Kasztanowej. Ładna, obszerna studnia 25 metrowej głębokości doprowadza do kaskadowego ciągu z silnym przepływem powietrza. Podczas wyprawy w roku 2002 dotarliśmy tam na głębokość 180 metrów, gdzie pojawiał się stały ciąg wodny. Po drodze, poza poziomymi głównie ciągami, znajdują się jedynie niewysokie, ale duże kubaturowo studnie. Jaskinia zauroczyła nas zarówno ciekawymi formami korytarzy jak i bogatą szatą naciekową, której nie spodziewaliśmy się na tej wysokości, i której nie było praktycznie w młodszej geologicznie jaskini Alvermannschacht.

Latem 2003 roku kontynuowaliśmy odkrycia. Kolejne szychty przynosiły elektryzujące wieści. Jaskinia dalej rozwijała się bardziej poziomo niż pionowo, obszernymi korytarzami przecinającymi duże sale. Niestety po kilku dniach relacje z przodka były już mniej entuzjastyczne, a odkrywane ciągi ciaśniejsze i już nie tak obiecujące. W końcu eksplorująca ekipa stanęła przed syfonem wodnym na głębokości zaledwie 260 m poniżej otworu. Sytuacja ta zaskoczyła nas nieco, nikt bowiem nie spodziewał się tego typu przeszkody tak szybko i nazwaliśmy

Stoki Kahlersbergu po niemieckiej stronie Fot. D. Bartoszewski

go Hydrozagadką. Rozpoczęliśmy poszukiwania obejścia syfonu górą, na którego istnienie wskazywał silny przepływ powietrza. Niestety gubił się on nieco w końcowej części jaskini, co utrudniało odnalezienie właściwej drogi. Jeden z ciągów, prowadzący bezpośrednio nad syfonem, doprowadził nas do kolejnego syfonu, leżącego 20 m dalej. Łączy się on zapewne z pierwszym i wskazuje na spore rozmiary zalanej części.

Kolejne wspinaczki w kominach w końcowej części pozwoliły odkryć skomplikowane piętro korytarzy rozciągające się nad ciągiem głównym. Składa się one z sieci rur, meandrów i niewielkich studzienek rozwiniętych na kilku szczelinach, niekiedy leżących bardzo blisko siebie. W plątaninie tej udało się znaleźć partie z silnym przewiewem, niestety „w drugą stronę" – czyli prowadzące „pod wiatr". Eksploracja została zakończona przed ciasnotami dającymi jednak nadzieję na przyszłość. Długość jaskini wynosi obecnie niecałe 1300 m, z czego ok. 900 m to odkrycia 2003 roku.

Kolejnym większym odkryciem była jaskinia, ze względu na skromne rozmiary części wstępnej nazwana Szparką. Z pewnością właśnie z powodu takich rozmiarów jej otwór pozostał drożny, choć znajduje się na skraju piarżyska pod szczytem Kahlersberg. Eksploratorzy, bez większej wiary w kontynuację tej wyjątkowo ciasnej na początku jaskini po sforsowaniu pełnego zacisków meandra natrafili na ciąg równoległych studni. Niestety zakończyły się one ślepo na głębokości 89 m. Podczas wykonywania pomiarów wykonali oni wahadło do okna w górnej części studni, które okazało się początkiem dość rozległych, niemal poziomych partii. Całkowita długość jaskini to 580 m. Rozwija się ona na północ i wschód – w stronę jaskini Kasztanowej. Jednak odległość dzieląca te jaskinie (ok. 700 m) na razie znacznie przewyższa rozmiary odkrytych do tej pory korytarzy.

Działalność powierzchniowa przyniosła ponadto odkrycie wielu innych, niestety mniejszych już obiektów. Żaden z nich nie wydaje się być jednak tą wymarzoną drogą w głąb masywu. Na wymienienie zasługują pionowe jaskinie oznaczone symbolami B1 (-45 m) i B4 (-70 m) oraz B3 i WH2. Dwie ostatnie są pojedynczymi salami o imponujących rozmiarach, położonymi blisko powierzchni na wysokości około 2100 m n.p.m. Świadczą o istnieniu na tej wysokości rozległego i obszernego systemu jaskiniowego, który obecnie w przeważającej części został zniszczony. Być może fragmenty zachowały się jeszcze pod kopułą szczytową Kahlersbergu, na co wskazywać może potężny wywiew z jednego z zagruzowanych otworów tam się znajdujących.

Efekty dwóch opisywanych wypraw nie są może wielkościowo imponujące, jednak udało się już potwierdzić tu występowanie jaskiń o przebiegu podobnym do tych z południa masywu. Poza Alvermannschacht, która ma zupełnie inny charakter, jaskinie rozwijają się niemal poziomo lub opadają stosunkowo powoli w kierunku pn.-wsch., z dominacją północnego. Tworzą je przeważnie suche, stare korytarze z bogatą nieraz szatą naciekową, miejscami poprzecinane przez młodsze, pionowe ciągi. Dopływające z młodych partii wody płyną nieraz na długich odcinkach partiami starszymi. Być może to właśnie powoduje powstawanie na niewielkich głębokościach syfonów, gdyż wykorzystywane przez młode spływy próżnie mają skomplikowane kształty, które nie zawsze są wystarczająco rozmyte tak, by nie dochodziło w nich do spiętrzeń wody. Do prawdziwych partii syfonalnych związanych ze zrównaniem horyzontalnym jeszcze z pewnością daleko, gdyż jak się przypuszcza, wody z tego rejonu trafiają do wywierzysk Torren leżących na wysokości 560-660 m n.p.m. Tutejsze jaskinie są na pewno znacznie ciekawsze, niż typowe młode aweny. Rokowania na przyszłość wydają się być niezłe i miejmy nadzieję, że za rok znów pojawimy się w masywie.

Pierwsza wyprawa odbyła się w dniach 27.07-19.08.2002 r., a udział w niej wzięło 16 osób: Marek Wierzbowski (kierownik), Ewa Broszkiewicz, Dariusz Jasiński, Rafał Mateja, Grzegorz Michalski, Zbigniew Sawicki, Mirosław Suwaj, Agnieszka Zaworonek-Mateja (wszyscy SG Wrocław), Dariusz Bartoszewski, Łukasz Chrzanowski, Marcin Kaniewski, Jarosław Niekludow, Andrzej Poczobutt, Joanna Poczobutt (wszyscy Sopocki KTJ), Marcin Zamorski (Speleoklub Częstochowa) i Jan Poczobut (Speleoklub Warszawski).

Druga wyprawa odbyła się w dniach 26.07-17.08.2003 r., a uczestniczyło w niej 11 osób: Marek Wierzbowski (kierownik), Rafał Mateja, Agnieszka Zaworonek-Mateja (wszyscy SG Wrocław), Dariusz Bartoszewski, Jarosław Jezusek, Maja Juniewicz, Marcin Kaniewski, Radosław Paternoga (wszyscy Sopocki KTJ), Marcin Zamorski (Speleoklub Częstochowa) i Paweł Skoworodko (Speleoklub Warszawski) oraz William Hunt (USA CA).

W czasie naszej działalności mieliśmy dobre kontakty z Landesverein für Höhlenkunde Salzburg, a kilkoro jego członków spędziło kilka dni w naszej bazie. Za nieocenioną pomoc chcielibyśmy podziękować Miłoszowi Dryjańskiemu z Bad Tölz i Walterowi Klappacherowi z Salzburga.

Katastrofy w Alpach Szwajcarskich

Ogromny obryw skał, który nastąpił 15 lipca, zniszczył część drogi granią Hörnli na Matterhorn. Obryw miał miejsce na wysokości ok. 3400 m, nie spowodował żadnych ofiar, ale pokrył duże partie drogi setkami ton niestabilnych, kamiennych głazów i zablokował w wyższych partiach ok. 90 osób. Wszyscy oni zostali szczęśliwie ewakuowani przez śmigłowce ratownicze. Lawiny kamienne na Matterhornie nie należą do rzadkości, ale jeszcze dotąd nie wydarzyła się tak ogromna katastrofa. Klimatolodzy uważają, że przyczyną jej była szczególnie wysoka temperatura panująca od paru tygodni w Alpach. Czerwiec 2003 r. był w okolicach Zermatt najgorętszym miesiącem w ostatnich 25 latach. Wysoka temperatura utrzymywała się również w lipcu. Ze względów bezpieczeństwa władze kantonu Wallis postanowiły zamknąć na pewien czas dostęp do Matterhornu dla alpinistów.

W sezonie letnim niemal każdego dnia ok. 150 wspinaczy z różnych stron świata próbuje wejść na tę najsławniejszą górę Szwajcarii. Jeżeli restrykcje utrzymywałyby się dłużej, oznaczałoby to kolejną katastrofę dla regionu, tym razem finansową. Przewodnicy i alpiniści z Zermatt, przy wydatnym poparciu ze strony władz, podjęli szybką akcję oczyszczania grani Hörnli z niebezpiecznych skalnych bloków. Już w piątek 18 lipca Matterhorn został na nowo otwarty.

Tego samego dnia – 15 lipca – gdy oberwały się skały na Matterhornie, miał miejsce potężny obryw lodowca ponad Grindelwaldem w Alpach Berneńskich. Masy lodu spowodowały dwumetrową falę na przepływającej przez ten znany kurort rzece Schwarze Lütschine, która jednak nie wyrządziła większych szkód. Druga, mniejsza fala przeszła przez Grindelwald po dwóch godzinach, gdy woda przelała się przez spiętrzone bloki lodowe. Policja zamknęła dostęp do brzegów rzeki i utrzymywała blokadę do czasu, gdy masy lodu, mułu i kamieni spłynęły do jeziora Brienzer See.

Władze Szwajcarii są mocno wyczulone na ruchy lodowców alpejskich. Obrywy lodowe spowodowały w przeszłości ogromne szkody i pochłonęły wiele ofiar. W 1965 r. na plac budowy tamy Mattmark w dolinie Saas oberwała się część lodowca Allalin, w mniej niż minutę zabijając 88 robotników. Glacjolodzy wyjaśniają, że po ostatniej zimie śnieg zniknął bardzo szybko, wskutek czego nasiliło się zjawisko topnienia lodowców i wiecznej zmarzliny. Stwarza to niebezpieczeństwo nie tylko dla ludzi, ale również dla różnych urządzeń górskich i schronisk.

Uklasycznienie sławnych dróg alpejskich

Divine Providence

Latem 2002 r miała miejsce długo oczekiwana klasyczna premiera na jednej z najpoważniejszych i najtrudniejszych dróg alpejskich – *Divine Providence* na pn.-wsch. ścianie Wielkiego Filara Narożnego. Droga ta, autorstwa francuskiej dwójki Patrick Gabarrou – François Marsigny (4 dni w lipcu 1984, 6b A3) prowadzi środkiem sławnego Czerwonego Monolitu, wznoszącego się ponad kominami klasycznej drogi Bonatti-Gobbi. Poszczególne najtrudniejsze fragmenty drogi zostały już (przez różne zespoły) przebyte klasyczne, jednak nikomu dotąd nie udało się dokonać całości przejścia.

Dwóch szwajcarskich *aspirant guides* – Denis Burdet i Nicolas Zambetti dokonało tego w dniach 27-28 lipca 2002. Na wszystkich najtrudniejszych odcinkach prowadził Burdet – doświadczony wspinacz big-wall'owy, znany z wielu nowych dróg w różnych górach świata, od Madagaskaru do Patagonii i Ziemi Baffina.

Direttissima południowej ściany Torre Trieste

Kolejna z legendarnych hakowych dróg przełomu lat 50-tych i 60-tych doczekała się przejścia klasycznego. W dniach 16-17 czerwca 2003 r. znany włoski wspinacz Rolando Larcher, w towarzystwie Lino Cerva, przeszedł klasycznie drogę Piussi – Redaelli rozwiązującą środek południowej ściany Torre Trieste (Dolomity, grupa Civetty). Zdaniem Larchera, trudności klasyczne sięgają 7b, ale największy problem stanowi słaba asekuracja w kruchej skale.

Pd. ściana Torre Trieste liczy 750 m wysokości i na 450 m jest przewieszona. Ignazio Piussi i Giorgio Redaelli poprowadzili direttissimę w dniach 6-10 września 1959 r., używając 330 haków normalnych, 90 nitów i 45 kołków drewnianych. Przez wiele lat była uważana za najtrudniejszą hakową drogę Alp. Jej pierwsze polskie przejście należy do Ryszarda Malczyka, Jerzego Farata i Wojciecha Sierpowskiego (21-25.07.1981).

Mount Robson'2002

Andrzej „Negro" i Rafał Sławińscy oraz Piotr Smolik – Polacy zamieszkali na stałe w Kanadzie – weszli 15 września 2002 r. na najtrudniejszy i najwyższy szczyt kanadyjskich Gór Skalistych, Mount Robson (3954 m). Ten niezbyt wysoki szczyt imponuje jednak himalajskimi rozmiarami – z punktu wyjścia do szczytu jest ponad 3100 m! Rejon, w którym leży Robson, charakteryzuje się wyjątkowo niestabilną pogodą, co sprawia,

że niewiele prób kończy się powodzeniem. M.in. szczyt ten trzykrotnie próbował wcześniej osiągnąć znany himalaista Ryszard Szafirski (również mieszkający w Kanadzie).

Pierwszego wejścia na Mount Robson dokonał w 1913 r. sławny austriacki przewodnik Conrad Kain wraz z dwójką klientów. Sławińscy i Smolik byli drugim polskim zespołem na szczycie. Pierwsze polskie wejście należy do Piotra Chrzanowskiego, Polaka od 8 roku życia zamieszkałego w Kanadzie, ostatnio w Vancouver.

„Ja miałem 7 lat przygód z Mt. Robsonem." – napisał do redakcji Piotr Chrzanowski – „W końcu wszedłem na szczyt solo i zjechałem na nartach przez „Kain Face" w dniu 23 sierpnia 1983 r. Na biwaku „Dome" spotkałem kilku Amerykanów, którzy zrobili zdjęcia i rozpropagowali zjazd w prasie kanadyjskiej. Później, w latach 1984 – 87 próbowałem jeszcze zjechać północną ścianą, ale zawsze była oblodzona. Nakręcono o tym kilka filmów, jeden z nich p.t. „The Spirit" był pokazywany w 1997 r. na Przeglądzie Filmów Górskich w Lądku Zdroju."

Sławińscy (ojciec i syn) oraz P. Smolik weszli na szczyt od północy, drogą pierwszych zdobywców (przez tzw. Kain Face) a zeszli na południową stronę. Zejście dało im się we znaki: ponad 3 km w pionie przez seraki, eksponowane i kruche półki i ścianki, często w skali II-III bez asekuracji, a potem przedzieranie się przez „pionowy" las. Droga od szczytu do parkingu zajęła im ponad 12 godz., zaś cała akcja – 58 godz. „Gdyby się ktoś wybierał na tę górę, to głęboko odradzam południową stronę, pomimo, że jest to najkrótsza droga do szczytu i na wys. ok. 2500 m znajduje się niezagospodarowany schron. Północne ściany są znacznie bardziej estetyczne, wspinanie jest bardziej techniczne i przedstawia dużo mniejsze obiektywne niebezpieczeństwa" – pisze Andrzej Sławiński.

Cudowne dziecko wspinania

13-letni dziś Scott Cory z Brentwood (Kalifornia) jest najmłodszym wspinaczem, jakiemu udało się przejść sławną drogę przez Nos na El Capitan w Yosemitach. Przejście miało miejsce w dniach 8-9 września 2001 r. Scott miał wówczas zaledwie 11 lat. Partnerami jego byli Hans Florine, Beth Rodden, Tommy Caldwell i Steve Schneider. W dwa dni później samoloty prowadzone przez terrorystów z Al-Kaidy uderzyły w World Trade Center. Scott chciał coś zrobić by pomóc ofiarom tragedii. W tym celu w październiku 2001 r. Scott, Beth, Hans i Tommy pokonali Nos ponownie, tym razem w jeden dzień. Dochód z przedsięwzięcia za transmisje TV, filmy, wywiady itp. został przekazany fundacji AmericaCares na pomoc dla żon i dzieci strażaków, policjantów i członków załóg samolotów poległych w gruzach WTC.

W niecałe 2 lata po tych osiągnięciach Cory ponownie dał o sobie znać. 19 czerwca 2003 r. w 14 godz. pokonał inną sławną zerwę Yosemitów – pn.-zach. ścianę Half Dome. Przejście tej 700-metrowej ściany zabiera zazwyczaj 3 dni, wliczając 3 godz. podejścia i 4 godz. zejścia ze szczytu. Partnerką Scotta na linie była szesnastoletnia Chelsea Rude z Georgii. Młodej dwójce ponownie towarzyszył Hans Florine, który jest mentorem Scotta niemal od początku trwającej od 7 roku życia jego kariery wspinaczkowej, oraz Scott Bovard. Przejście było filmowane dla programu TV „National Geographic".

Sprinterzy pionu

Szeroko znani niemieccy skałołazi, bracia Alexander i Thomas Huberowie znowu przypomnieli światu o swoim istnieniu. 15 czerwca na El Capitanie na 16-wyciągowej drodze Zodiac (VI, 5.8, A3) osiągnęli rewelacyjny czas 2 godz. 31 min i 20 sekund. Poprzedni rekord tej drogi należał również do nich i wynosił 3 godz. i 8 minut. Na drodze zastosowali specjalną technikę skracanych wyciągów, pozwalającą obu członkom zespołu wspinać się równocześnie (oczywiście kosztem bezpieczeństwa). 80% drogi przeszli klasycznie, na czyste pokonanie reszty nie pozwolił im panujący na ścianie morderczy upał. Zdjęcia robił słynny australijski fotograf wspinaczkowy Simon Carter. „Fotografuję w ścianach od 10 lat – powiedział – ale czegoś takiego dotąd nie

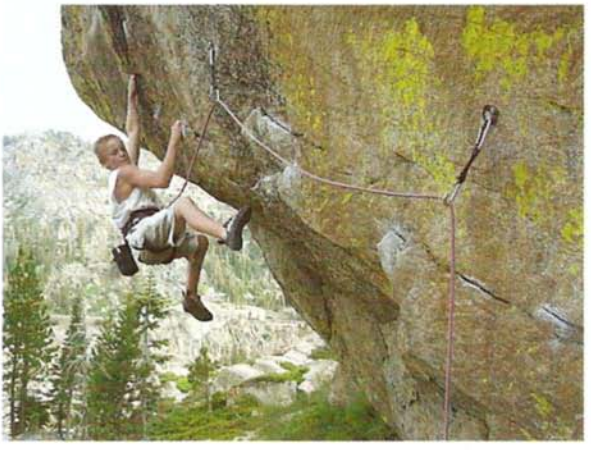

Scott Cory wspina się w okolicach Lake Tahoe, Kalifornia
www.kidclimber.com

widziałem: oni po prostu fruwali. Ostatnie 4 długości liny zajęły im zaledwie 20 minut." Marzeniem braci jest klasyczne powtórzenie całej drogi, zapowiedzieli więc powrót we wrześniu, kiedy fala upałów powinna ustąpić. Aktualny rekord drogi The Nose należy do dwójki Hans Florine – Yuji Hirayama i wynosi 2 godz. 48 min i 30 sekund.

Wyrok na Camp Four anulowany

Na rok 2003 przypada kilka alpinistycznych rocznic. Zaczynając od Polski – obchodzimy stulecie utworzenia pierwszej organizacji zrzeszajacej taterników - alpinistów (tak – alpinistów, bowiem w warunkach monarchii Austro-Węgierskiej wyjazd ze Lwowa lub Krakowa w Alpy był czymś normalnym i łatwo osiągalnym). Na drugiej półkuli tylko rok wcześniej, w roku 1902 powstał American Alpine Club (AAC) – też okazja do celebracji i podsumowań. Natomiast pół wieku temu człowiek stanął po raz pierwszy na najwyższym szczycie naszej planety. Czyli jest co wspominać i obchodzić.

Z mniej znanych wydarzeń, w maju 1903 roku spotkali się w Parku Narodowym Yosemite: urzędujacy prezydent Stanow Zjednoczonych Theodor Roosevelt (nie mylić z Franklinem Delano Rooseveltem) z późniejszym prezesem AAC Johnem Muir'em. Jeżeli układalibyśmy listę ludzi, którym należy sie uznanie i wdzięczność za dzieło ich życia, to John Muir miałby na niej swoje miejsce. Jego osiągnięcia w dziedzinie ochrony przyrody i środowiska naturalnego gór Sierra Nevada są ogromne i sięgają swoim wpływem daleko poza granice Kalifornii. Pasja Muir'a oraz umiejętność przekonywania ludzi na wysokich szczeblach administracji (vide prezydent Roosvelt) pozwalały urzeczywistniać cele, które inaczej znalazłyby się na liście szlachetnych zamierzeń bez szans na realizację. W dniu 17 maja 2003 – znów ta zbieżność dat i rocznic – środowisko alpinistyczne obchodziło u stóp El Capitana w Dolinie Yosemite uznanie obozowiska Camp Four za pamiątkę narodową (National Historic Monument). Wydarzenie to było bardzo „w duchu" Johna Muir'a i jego kampanii w obronie Sierra Nevada.

Historię Camp Four opisano już gdzie indziej ze szczegółami. Tu można jedynie zaznaczyć, że mało jest miejsc na świecie, gdzie historia nowoczesnego alpinizmu jest tak skoncentrowana na małej obszarowo, a rozległej czasowo przestrzeni. A było juz niedobrze: Park Narodowy Yosemite, w ramach naprawy szkód popowodziowych z roku 1997 przedstawił plany „okrojenia" obozowiska (które oficjalnie nazywano Sunny Side Camp) i „walnięcia" tam wielopiętrowego budynku mieszkalnego dla pracowników Parku. Akcja obrony Camp Four trwała długo. Zaangażowali sie w nią ludzie zarówno indywidualnie, jak i w ramach organizacji takich, jak AAC, Sierra Club i inne. Ostatecznie osiągnięto porozumienie dwóch dotychczas raczej antagonistycznych organizacji, czyli Parku Narodowego i AAC – co, jeżeli okaże się trwałym „sojuszem", może mieć pozytywne skutki dla obu stron. A jak to wszystko wypadnie w rzeczywistości, oceni się przy następnej okrągłej rocznicy, ale będą to już inne czasy i inni ludzie.

Andrzej Sławiński

(Źródło: artykuł Lindy McMillan – wiceprezesa American Alpine Club, zamieszczony w „The American Alpine News", Vol. 11, No 242, Summer 2003).

Góra wcale nie święta?

Słynny z urody i trudności skalny „rybi ogon" Machhapuchhare (6993 m) leżący w Annapurna Himal na północ od Pokhary, uważany jest za jedną z świętych gór Gurungów, a władze Nepalu od r. 1957 nie wydawały zezwoleń na jego szturmowanie, by nie naruszać spokoju bóstwom. W 1957 r. niedaleka sukcesu była wyprawa Jamesa O. Robertsa. Szczyt jest więc oficjalnie dziewiczy, ale nie ma pewności, czy jakiś silny zespół nie zdobył go już, nie pytając o pozwolenie. Ostatnio rząd Nepalu zrewidował swe stanowisko. Jeden z rzeczników oświadczył, że mit świętej góry mógł wymyślić i rozgłosić sam Roberts, by szczyt zarezerwować dla siebie i że dzisiaj nie ma religijnych przesłanek, które uzasadniałyby utrzymywanie w mocy zakazu organizowania wypraw. Przypuszczalnie wkrótce restrykcje te zostaną uchylone a piękna i sławna góra stanie się nie lada gratką eksploracyjną.

Wyprawa „Lahul" 2002

Z okazji Międzynarodowego Roku Gór, w sierpniu 2002 roku Mazowiecki Klub Górski PTTK „Matragona" zorganizował kolejną wyprawę do Indii w Himalaje Zachodnie – Lahul. Celem wyprawy było zdobycie dziewiczego szczytu T2 o wysokości 6107m. Był to jedyny sześciotysięczny szczyt w otoczeniu doliny Milang Topa, dotychczas nie atakowany przez wyprawy. Postanowiliśmy zaatakować go najkrótszą drogą z doliny Panchl Nala, północną ścianą o wys. 1300 m. W skład ośmioosobowej wyprawy weszli: Krzysztof Bigda, ks. Krzysztof Gardyna, Marcin Kowalik, Marcin Kukiełka, ks. Marcin Lisicki, Krzysztof Mirowski, Wojciech Szypuła i Andrzej Zboiński (kierownik). Wyprawie towarzyszył oficer łącznikowy Vinod Sharma.

Wyprawa przyleciała do Delhi 2 sierpnia, załatwiła formalności w IMF i w dwa dni później przybyła do Manali, gdzie zaopatrzyła się w żywność. Bazę założono już 8 sierpnia na morenie bocznej lodowca na wys.4500 m, w odległości dwóch dni marszu karawany ze wsi Darcha. Częste burze i ulewne deszcze, bardzo rzadko spotykane w tym rejonie, całkowity brak pokrywy śnieżnej oraz kamienne lawiny uniemożliwiały wspinaczkę na zaplanowanej drodze. Przez 8 dni czekano na poprawę pogody wypatrując bezpiecznej drogę na szczyt. W ramach aklimatyzacji zdobyto w otoczeniu lodowca dwa stosunkowo łatwe dziewicze szczyty o wys. 5160 m i 5580 m (K.Bigda, K.Gardyna, K.Mirowski i M.Kowalik).

Północna ściana T2 (6107m) z drogą zespołu. Z lewej KR2 (6194 m) Fot. Andrzej Zboiński

W dniu 17 sierpnia, po rozpoznaniu w miarę bezpiecznej drogi, K.Bigda i K.Gardyna założyli biwak na lodowcu pod ścianą, na wys. około 5700 m. Następnego dnia zaczęli się wspinać dosyć trudnym śnieżno-lodowym płytkim żlebem, dalej kruchym terenem skalno-lodowym (miejscami IV-V). Po 8 godz. osiągnęli podszczytowy lodowiec na wysokości 5580 m, gdzie mieli założyć obóz. Niestety, burza z gradobiciem zmusiła zespół do odwrotu. Dnia 19 sierpnia z powodu kończącej się żywności zlikwidowano bazę i wyprawa zeszła do Darchy.

Organizując wyprawę mogliśmy liczyć jedynie na własne fundusze co spowodowało ograniczenie finansowe oraz braki w wyposażeniu.

Andrzej Zboiński

Thapa Peak – pierwsze oficjalne wejście

Francuska wyprawa prowadzona przez Raphaela Guilberta weszła na Thapa Peak, najmniej wybitny z dziewięciu nowych wierzchołków „otwartych" dla alpinistów w połowie maja 2001. Ten liczący 6012 m szczyt leży tuż na północ od przełęczy Thapa Pass (in. Dapa Col, Dhampush Pass, 5200 m), przez którą przechodzi trasa popularnego trekingu dookoła Dhaulagiri. Już od od dawna trekersi (również i Polacy), niejako „z marszu" wchodzą na ten łatwy wierzchołek (znany również jako Dhampush Peak). 28 października 2001 roku Francuzi dokonali na niego I-go oficjalnie uznawanego wejścia. Szóstce alpinistów wejście na szczyt z bazy, położonej na wys. 5080 m w Nieznanej Dolinie, zajęło 7 godz. Określili następnie swoje wejście jako „łatwy spacer z niewielką ilością śniegu na wierzchołku". Po powrocie do Nieznanej Doliny spotkali kilka zespołów mających takie same plany. Towarzyszący im Szerpowie uświadomili Francuzom, że wejście na Thapa Peak zwyczajowo odbywa sie bez zezwolenia, i że musieli zapłacić 1500 $ za coś, co inni mają za darmo...

To wydarzenie daje sporo do myślenia na temat niekonsekwencji polityki władz nepalskich w sprawach udzielania pozwoleń i opłat royalty. Z jednej strony, aby zachęcić alpinistów do przyjazdu, zwalnia się całkowicie od opłat szereg dosyć atrakcyjnych szczytów (nawet siedmiotysięcznych). Z drugiej zaś – umieszcza się na liście szczytów dostępnych tylko dla wypraw (a nie trekkingów!) i pobiera wysokie opłaty – szczyty, na które mogą wchodzić lepiej wyposażeni turyści przy okazji przechodzenia tras trekkingowych. Podobna sprawa jest bowiem z położonym nad przełęczą Thorung La (5416 m) szczytem Thorung Peak (5751 m).

„Scoiattoli" zaatakują K2

W 50 rocznicę pierwszego wejścia na K2 (8611 m) sławny klub „Wiewiórek" z Cortina d'Ampezzo organizuje wyprawę na drugi szczyt świata. Do udziału w wyprawie, oczywiście tylko do bazy, zaproszono jednego z najsławniejszych członków klubu, współzdobywcę K2 – Lino Lacedellego (rocznik 1925). Lacedelli był tym, który 31 lipca 1954 roku, wraz z Achille Compagnonim, zatknął włoską flagę na wierzchołku. Zdobywczą wyprawą kierował niedawno zmarły prof. Ardito Desio.

„Gdyby to tylko ode mnie zależało, wyjechałbym już jutro" – powiedział Lino Lacedelli – „ale muszę słuchać lekarza. Mam chroniczny bronchit a tam trzeba wejść na wysokość 5000 m. Ponadto jest się izolowanym od świata, jeśli się coś wydarzy i nie wystarczy pomoc lekarza wyprawowego, można tam zostać na zawsze".

Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Trento

Już po raz 51 odbył się w dniach 26-30 kwietnia 2003 r. we włoskim mieście Trento Międzynarodowy Festiwal Filmów Górskich i Eksploracyjnych „Città di Trento".

Międzynarodowe Jury obradowało w składzie: Kurt Diemberger (Austria) – Przewodniczący, Henri Agresti (Francja), Spiro Dalla Porta Xidias (Włochy), Leo Dickinson (Wielka Brytania) i Marina Razbieszkina (Rosja).

Po obejrzeniu zgłoszonych do konkursu 71 filmów z 29 krajów, jury przyznało następujące nagrody:

- Główną nagrodę – Gran Premio „Città di Trento" i Złotą Gencjanę (Genziana d'Oro) filmowi „Your Himalayas" autorstwa Alberto Iñurrategi (Hiszpania).
- Nagrodę Club Alpino Italiano i Złotą Gencjanę dla najlepszego filmu alpinistycznego – „Pensieri nel Vento" Ermanno Salvaterra (Włochy).
- Nagrodę miasta Bolzano i Złotą Gencjanę dla najlepszego filmu górskiego – „Schwabenkinder" Jo Baier (Austria).
- Srebrną Gencjanę dla najlepszego filmu eksploracyjnego – „Omo – Cesta do Praveku" Pavola Barabaša (Słowacja).
- Srebrną Gencjanę dla najlepszego filmu o sportach ekstremalnych – „Wspólny lot" Mirosława Dembińskiego (Polska)
- Srebrną Gencjanę dla najlepszego filmu promującego ochronę środowiska górskiego – „Wetterküche Alpen" Kurta Mayera (Austria).
- Nagrodę Jury dla filmu „A Man Called Nomad" Alexa Gabbay'a (Nepal – Chiny).
- Wyróżnienie dla filmu „Heimat" Dietmara Höss'a (Włochy).

Film „Wspólny lot' zrealizowany został przez nagrodzonego już po raz trzeci w Trento Mirosława Dembińskiego („Mój mały Everest", 1990 r. i „Ganek", 1999 r.). Opowiada historię 33-letniego paralotniarza, sparaliżowanego po wypadku podczas lotu, jego problemy z codziennością i walkę o powrót do latania.

Przyznano również 8 nagród specjalnych, ufundowanych przez różne organizacje i instytucje. Wśród nich „Premio Studenti Università di Trento ed Insbruck" (Nagroda Studentów Uniwersytetów w Trento i Innsbrucku) dla filmu o szczególnych walorach kulturalnych, zrealizowanego przez autora w wieku poniżej 33 lat, przypadła filmowi Leszka Dawida pt. „Post Scriptum".

Jak co roku, Festiwalowi towarzyszyła wystawa książki górskiej. I tu mogliśmy odnotować sukces. Niedawno przetłumaczono na język włoski książkę Zbigniewa Tumidajewicza „Lato w Szamoniksie" (W Polsce: wyd. Stapis, Katowice 1994 r.). Zdobyła ona zaskakującą popularność i zebrała wiele pochlebnych opinii. Znalazło to wyraz w przyznanej jej w Trento nagrodzie Złotego Ostu (Cardo d'Oro).

Ważne wydarzenie okiem hobbysty

Mieczysław Rożek

Międzynarodowy Rok Gór 2002 minął w Polsce bez większego echa, w świecie natomiast szeroko rozreklamowany i głośno obchodzony. Niedawno obchodziliśmy następną wielką rocznicę, ważną dla światowego himalaizmu – 50-lecie zdobycia Mount Everestu. O tej, jak i poprzedniej – że będą, wiadomo było dawno. Niestety, dziś śmiało możemy powiedzieć, że w Polsce nie uczyniono nic, aby podkreślić nasze osiągnięcia na tym polu (I zimowe wejście na Mt. Everest) lub rok wcześniej zaprezentować piękno naszych gór.

Międzynarodowy Rok Gór rozpoczął się przyjęciem deklaracji na 53 sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ (podpisanej 10 XI 1998 r. na 54 plenarnym posiedzeniu) z hasłem wiodącym "wszyscy jesteśmy ludźmi gór" (We are all mountain people). Inspiratorem ustanowienia MRG byl prezydent Kirgistanu Askar Akajew. W Polsce patronat nad MRG objął Minister Spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz. Niestety okazja pokazania światu naszych gór została zmarnowana z powodu bezczynności instytucji państwowych czy samorządowych i organizacji,

no może poza PTT i PTTK. W Poznaniu, z inicjatywy KW w Poznaniu oraz Polskiego Związku Filatelistów Okręg Wielkopolski, skierowano pisma do instytucji nadrzędnych (PZA i PZF) celem wystąpienia do Poczty Polskiej o wydanie z tej okazji walorow filatelistycznych. Bez odzewu. Nie będę więc omawiał w/w święta z punku widzenia administracyjno organizacyjnego – wcześniej zrobił to już doskonale koordynator ZG PTTK Zbigniew Krasek na łamach "Gazety Górskiej" nr. 4(41) 2002 r., ale raczej jako hobbysta. Jedyne co udalo sie załatwić w Poznaniu w ostatniej chwili – w grudniu 2002 r. – to wydanie przez Rejonowy Urząd Poczty kartki pocztowej beznominałowej przedstawiającej Śnieżne Kotły w Karkonoszach (baza szkoleniowa KW w Poznaniu). Zawdzięczamy to staraniom KW w Poznaniu, Zarządu Okręgu Wlkp. PZF w Poznaniu i Dyr. RUP Poznań – Pani B. Przybyłowicz.

Pierwszym krajem w świecie, który wydał znaczki pocztowe w 2000 r., zapowiadając niejako nadejście Międzynarodowego Roku Gór, i powtórzyl to w 2001 r., był Kirgistan. W roku 2002 w 45 państwach świata z okazji MRG wydano okolicznościowe znaczki (132 szt), bloczki (19 szt.), znaczki w ozdobnych arkusikach z górami (22 ark.) i kartki pocztowe (3 szt). Wydano rownież okolicznościowe kasowniki propagujace święto, a na znaczkach najpiękniejsze i najwyższe góry świata jak i często góry mało znane, np. w Bhutanie (może poza Chomolhari), Laosie, Lesoto, Filipinach, czy Nowej Kaledonii.

Nie na wszystkich tych znaczkach i blokach umieszczono logo Międzynarodowego Roku Gór – wyjątkiem są znaczki Bhutanu, Laosu, Filipin, Kazachstanu, Rumunii, San Marino i Słowacji. Na innych znów znaczkach logo MRG jest na marginesach (Słowenia) lub logo jest treścią znaczka (Andora, Watykan). W większości znaczki są bardzo ładne i cieszą oko, a szczególnie seria i arkusiki ONZ zaprezentowane na bazie fotografii znanego japońskiego fotografa Yoshikazu Shirakawa. Na wielu ozdobnych arkusikach odnajdziemy wspinaczy.

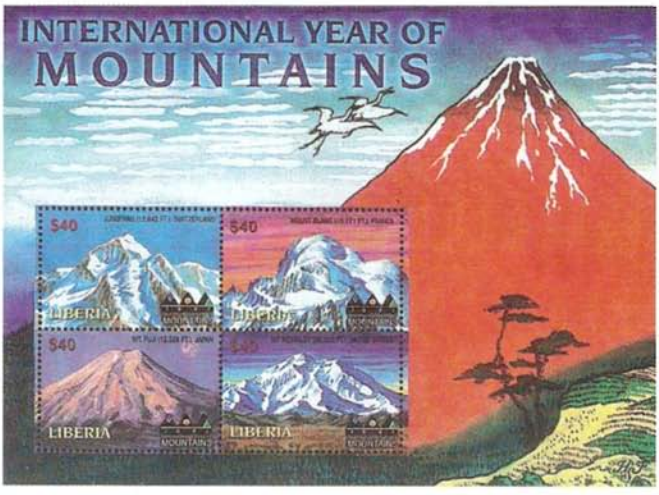

Natomiast nie we wszystkich krajach projektanci uporali sie z nazewnictwem i umiejscowieniem prezentowanych szczytów. Jest sporo komicznych przekłamań: pomylenie Zugspitze z Watzmannem czy Matterhornu z Mt. Rainier; wg niektórych Huascaran leży w Nepalu, a Muztagh Ata – w Kaszmirze. Podpisy dotyczące szczytów mają bardzo często niewłaściwą pisownię lub też występują różnego rodzaju nieprawidłowości jak: Giant's Castle – Pd. Ameryka!? (zamiast – Pd. Afryka), czy Mt. Everest w Tybecie (oficjalnie państwo to nie istnieje, a szczyt leży na granicy Chin i Nepalu).

Wystawa starej pocztówki tatrzańskiej

Kazimierz J. Rusiecki

Realizując bogaty program obchodów jubileuszu 100-lecia PZA w Klubie Wysokogórskim-Kraków odbyła się interesująca wystawa starej pocztówki tatrzańskiej pt. „Na tatrzańskich drogach" ze zbioru naszego kolegi klubowego Zbigniewa Tatarczucha. Członek naszego klubu i instruktor tatrzański wyselekcjonował i przedstawił w dwóch pomieszczeniach klubowych ponad 150 leciwych pocztówek z Tatr, w przedziale wiekowym od 1884 do 1945.

Wystawa funkcjonowała od 11 do 23 marca 2003 roku i wzbudziła spore zainteresowanie zwiedzających (ponad 300 osób). Cała ekspozycja została podzielona na samodzielne działy tematyczne, począwszy od najstarszej pocztówki tatrzańskiej z roku 1884,będącej okazem historycznym i rarytasem kolekcjonerskim, kończąc na latach okupacji. Autor chronologicznie zaprezentował najstarsze barwne widoki z Tatr Polskich i Słowackich, serię widokówek dokumentującą wyprawę na Lodowy Szczyt z roku 1901 wraz z uczestnikami Klemensem Bachledą i Bartkiem Obrochtą, pierwsze wspinaczki na urwiska tatrzańskie, krótki dział poświęcony dawnej turystyce wysokogórskiej, przewodnictwo tatrzańskie, działalność grupy TOPR, satyryczne widokówki do rys. W.E. Radzikowskiego, w końcu zabawne międzywojenne pocztówki ilustrujące technikę wspinania i asekuracji. Nie zabrakło na wystawie widoków panoramicznych oraz mini pocztówek w kolorze sepii o wymiarach (135x50 mm).

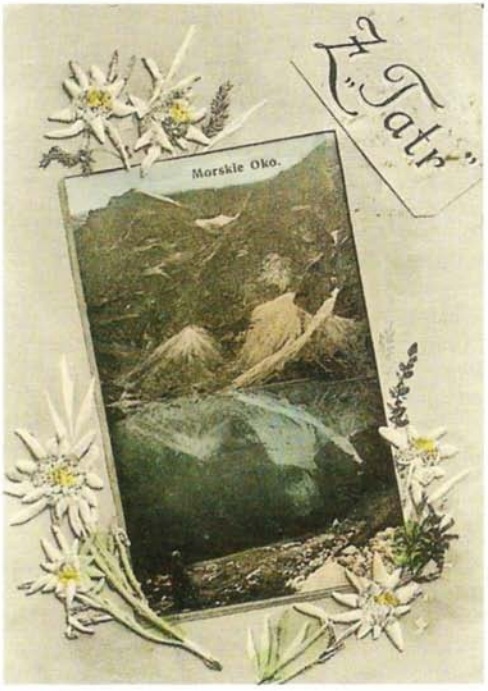

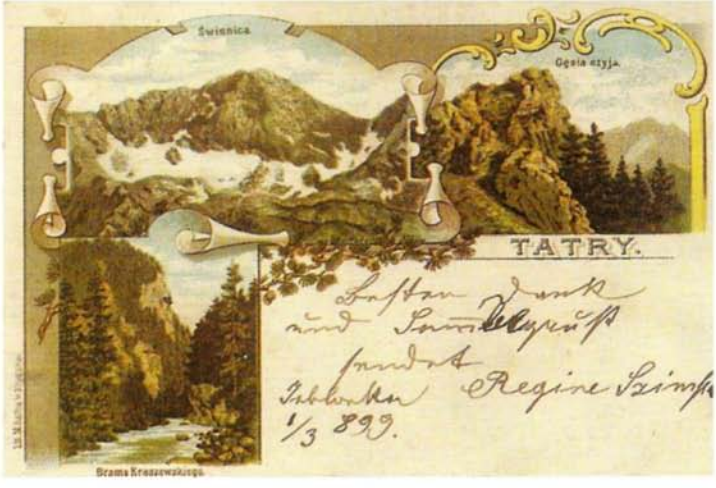

Ciekawostką ekspozycji była widokówka z 1911 roku z autentycznymi podpisami zdobywców Zamarłej Turni – Stanisława Zdyba i Leona Lorii. To bardzo cenna inicjatywa środowiskowa i czekamy na kolejne pomysły z szerokiej tematyki tatrzańskiej, wszak minęło 100 lat polskiego alpinizmu!!

Skrócona wersja wystawy wraz z komentarzem autora dostępna jest na stronie internetowej:

www.kw.krakow.pl

Dwugłos o WEGA

Wielka Encyklopedia Gór i Alpinizmu

Praca zbiorowa pod redakcją Małgorzaty i Jana Kiełkowskich, wydawnictwo STAPIS, Katowice 2003, druk i oprawa w Drukarni Wydawniczej im. Anczyca w Krakowie, tom I „Wprowadzenie", stron 552, format 17x25cm, liczne ilustracje czarno-białe i barwne, twarda oprawa plus obwoluta.

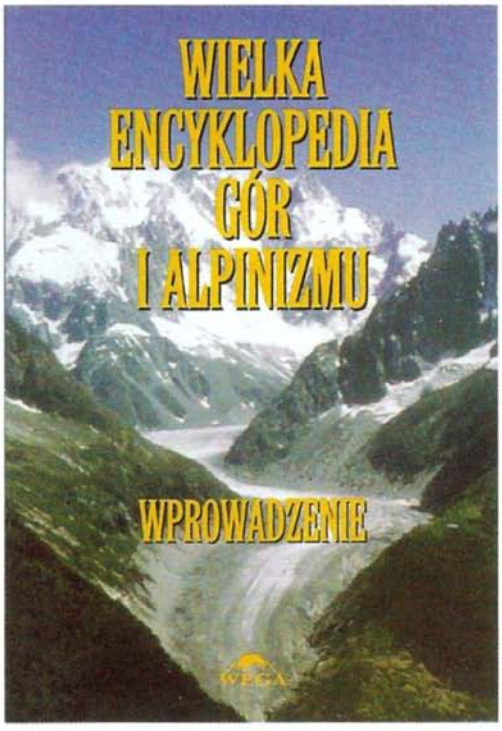

Andrzej Skłodowski

W maju 2003 roku ukazał się oczekiwany od wielu lat pierwszy tom „Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu" (WEGA), redagowanej ostatecznie przez doskonale znany na górskim rynku wydawniczym rodzinny tandem Małgorzatę i Jana Kiełkowskich.

Stanisław Pisarek przypomina w nocie od wydawcy, że materiał, który początkowo planowano wydać w jednym tomie, rozrósł się do siedmiu. Kolejne tomy poświęcone będą hasłom geograficznym i eksploracji gór poszczególnych kontynentów – Azji, Europy, Ameryki oraz Afryki, Antarktydy, Australii i Oceanii. Szósty tom to biogramy („Ludzie gór"). Ostatni zawierać ma suplement, słownik i indeks. Zapowiada się więc, że w języku polskim powstanie największe na świecie kompendium wiedzy o górach.

Wprowadzenie zawiera, jak to określa Pisarek, pojęcia ogólne dotyczące gór i alpinizmu.

Uważam pracę Kiełkowskich i wszystkich autorów pierwszego tomu (m.in. wybitnych ludzi gór – Janusza Fereńskiego, Jerzego Grodzickiego, Rafała Kardasia czy Janusza Kurczaba) – za bardzo interesującą i potrzebną. Lecz zanim przejdę do uzasadnienia swojej oceny, wleję do tego górskiego garnka miodu łyżkę dziegciu. Chodzi o jakość zamieszczonych w pierwszym tomie zdjęć, rysunków i map, zwłaszcza czarno-białych. Przy dzisiejszych technikach druku nie wypada tak wydawać encyklopedii. Panie i panowie – to się po prostu nie godzi; mam nadzieję, że kolejne tomy będą graficznie wyglądały zupełnie inaczej.

A teraz do rzeczy. Jestem pod wrażeniem sposobu doboru haseł – co w każdej encyklopedii wydaje się być sprawą kluczową. Małgosia i Jasiek słusznie – moim zdaniem założyli, że we „Wprowadzeniu" nie należy się ograniczać do haseł oczywistych dla tego rodzaju encyklopedii. Obok historii organizacji alpinistycznych czy rekordów wysokości w Himalajach znajdzie więc czytelnik treściwe rozważania o roli psa w górach i dowie się – co to takiego orzechówka. Precyzyjne opisy różnego rodzaju alpinistycznego „szpeju" sąsiadują z hasłami przedstawiającymi filatelistykę związaną z górami czy odznaki i medale górskie. Pierwsze „zbiorcze" hasła, takie jak „polski alpinizm" „historia", „polski alpinizm jaskiniowy" „historia", „polski alpinizm kobiecy" czy „polski alpinizm narciarski" wskazują, że ich autorzy generalnie wiedzą o czym piszą i zapowiadają, że rozwinięte w następnych tomach hasła będą wyczerpujące i kompetentne.

Nie oznacza to, oczywiście, że ustrzeżono się błędów. Przy tak szeroko zakrojonym przedsięwzięciu ich uniknięcie wydaje się nieomal niemożliwe. W „Górach i Alpiniźmie" nr.2/2003 wskazano np. na przykry błąd, jakim jest pominięcie (hasło „polski alpinizm – historia") nazwiska Kazimierza W. Olecha jako współautora pierwszego wejścia na Kangchendzönge Centralną w Himalajach. Z kolei Monika Niedbalska zasygnalizowała mi m.in. brak w haśle „polski alpinizm kobiecy" istotnych wejść Ewy Panejko-Pankiewicz i Ewy Szcześniak w Andach Peruwiańskich w połowie lat 80. ubiegłego wieku. Miejmy nadzieję, że sprawy takie zostaną „wyprostowane" w kolejnych, merytorycznych tomach.

Otrzymaliśmy fachową, ciekawą i niebanalną książkę o górach, jeżeli tak można powiedzieć o encyklopedii. Czekam z niecierpliwością na następne tomy i życzę wszystkim autorom WEGI wytrwałości.

Wojciech Święcicki

Pojawienie się pierwszego tomu Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu przyjąłem z prawdziwym zadowoleniem. Wreszcie coś po polsku – pomyślałem. Autorzy są znani i cenieni, oficyna zaprawiona w wydawaniu książek górskich, słowem zaświtała nadzieja na zmianę dekoracji w szafce bibliotecznej. Zapowiedziane przez redaktorów siedem tomów stawia wysokie wymagania sprzętowe, bo półki nie są z gumy. Trzeba też się liczyć się ze sporym wydatkiem, szacowanym wstępnie na jakieś 500 PLN. Czy WEGA odniesie sukces, trudno dziś powiedzieć. Mam nadzieję, że tak. W pewnym sensie jest nawet skazana na sukces, gdyż różne encyklopedie poświęcone alpinizmowi, po pierwsze są trudno dostępne, a po za tym są stare i najczęściej dokładnie opisują tylko swój kawałek skały. Jeżeli chcemy mieć coś aktualnego, trzeba zainwestować i żyć nadzieją, że następne tomy będą warte zakupu. Trudno jest dzisiaj recenzować dzieło na podstawie próbki. Pierwszy tom oceniam pozytywnie. Oczywiście można się czepiać różnych rzeczy, a mam tutaj na myśli głównie niedociągnięcia redaktorskie oraz rozczarowująca jakość niektórych ilustracji, ale tak to już jest, że zawsze można coś lepiej, taniej i szybciej. Nie zawsze się to udaje, zwłaszcza za pierwszym razem...

Pozwolę sobie na kilka uwag, raczej dla podtrzymania konwersacji niż ze złośliwości, żeby przybliżyć redakcji i autorom o co mi chodzi. Posłużę się hasłami i cytatami z haseł, żeby było łatwiej:

alkohol w górach – „w czasach nowożytnych używany jest w zasadzie wyłącznie do celów medycznych". **WŚ**: Brzmi gładko, nawet wiarygodnie, ale – guzik prawda. Spożywanie alkoholu praktykowane jest na wyprawach i w zaciszu schronisk. Wprawdzie są między nami abstynenci, ale tak się składa, że to nie oni tworzą subkulturę środowiska wspinaczkowego.

alpinizmu ideologia – „alpinista najczęściej nie potrzebuje żadnego uzasadnienia swej działalności". **WŚ**: Poczułem niedosyt. Literaci pisali na temat książki, polemiści kruszyli czekany, ludzie czynu grali o najwyższą stawkę, a otrzymujemy komentarz unikający treści. Już było lepiej napisać, że wspinamy się z nudów.

apteczka pierwszej pomocy – „podstawowy zestaw składa się z leków przeciw przeziębieniu, (–) ponadto powinna zawierać zestaw witamin i środki opatrunkowe"... **WŚ**: Dość humorystyczne i co gorsza niefachowe. Autorzy zaprzepaścili okazję do zaprezentowania sprawdzonych zestawów apteczki szturmowej, apteczki wyprawowej czy apteczki zawodowego ratownika.

HMS – odnośnik do hasła karabinek. **WŚ**: Próżno w całej encyklopedii szukać wyjaśnienia, że nazwa HMS bierze się od **H**alb**M**astwurf**S**icherung czyli asekuracji z półwyblinki. Podobnie jest z hasłem NRC. Nieporozumień jest sporo, słyszałem nawet, że jest to **N**owoczesna **R**atunkowa **C**ynfolia.

kamienie – „potoczna nazwa wszystkich skał zwięzłych"... **WŚ**: W pewnym słowniku wspinaczkowym słowo *rain* jest opisane jako opad atmosferyczny złożony z kropel wody powodujący powstawanie kółek na powierzchni kałuż.

klucz do kości – ekstraktor, wykałaczka. **WŚ**: Typowy przykład upiększania rzeczywistości. Autor hasła zamiast podać powszechnie używane, acz niegodne encyklopedii określenie, chowa głowę w piasek.

odpadnięcie – „(–) często kończy się u podstawy ściany (żargonowo glebowanie) bez obrażeń". **WŚ**: Moje doświadczenia w kwestii obrażeń po glebowaniu są odmienne...

ryzyko kalkulowane w alpinizmie – „(–) alpinizm bez ryzyka to jak jajecznica bez jaj". **WŚ**: Pozwolę sobie zadedykować autorowi tego bon motu inny, myślę że równie udany: taternik bez encyklopedii jest jak ryba bez roweru.

Lodowy Świat Tatr

A. Michalicki: Lodowy Świat Tatr – przewodnik wspinaczkowy. Oficyna Wydawnicza „APLA" Krosno, stron 16.

Ta broszurka przypomina mi standardową reklamę telewizyjną – szumna nazwa, ale w środku – niewiele. Nie jest to przewodnik wspinaczkowy po tatrzańskich (i nie tylko) lodospadach; to raczej spis miejsc, gdzie takowe lodospady bywają oraz orientacyjna wycena ich trudności. Dobre i to, ale do przewodnika – tak jak ja rozumiem to pojęcie – jeszcze daleko.

Broszurka przynosi także informacje o lodospadach w Słowackim Raju czy na Dolnym Śląsku.

I jeszcze jedno: w Tatrach nie ma Doliny Hylińskiej.

Andrzej Skłodowski

Elektronika w górach

Bogdan Jankowski

Elektronika, która coraz szerzej i głębiej wkracza w nasze codzienne życie, nie ominęła też gór. Używana tam jest do różnego rodzaju łączności, do nawigacji, poszukiwania zasypanych w lawinie, filmowania, fotografowania, zapisu dźwięku, nawet do świecenia i mierzenia temperatury.

Historycznie najstarszym i najszerzej wykorzystywanym zastosowaniem elektroniki w górach jest łączność. Życie udowodniło, że dobra łączność w górach nie tylko poprawia subiektywne poczucie bezpieczeństwa, ale realnie zmniejsza zagrożenie zdrowia i życia w niebezpiecznym sporcie, jakim jest alpinizm, niezależnie od tego, czy uprawiamy go w Tatrach, Alpach, czy w Himalajach. Radiotelefon, a czasem telefon komórkowy, pozwala poinformować o przebiegu akcji górskiej przyjaciół na dole, poradzić się w razie zabłądzenia czy innej niepewnej sytuacji, a kiedy zdarzy się wypadek – poprosić o pomoc, zorganizować i sprawnie przeprowadzić akcję ratunkową. Pozwala wreszcie podtrzymać na duchu oczekujących na ratunek, co ma często decydujące znaczenie dla ich przetrwania. Posiadanie łączności oszczędza również nerwy i siły „tych na dole", pozwala uniknąć niepotrzebnych akcji ratowniczych, kiedy to powrót ludzi z gór opóźnia się nie wskutek wypadku, a z jakichś innych, mało groźnych powodów. W tej sytuacji coraz więcej osób związanych z górami zaopatruje się w środki łączności. Noszą je przewodnicy, instruktorzy alpinizmu i „szeregowi" wspinacze. Wyspecjalizowane służby ratownicze czy większe szkoły wspinaczkowe mają doskonale zorganizowane sieci radiotelefoniczne, swoje kanały częstotliwości i przemienniki. Na organizację łączności i rodzaj stosowanego sprzętu decydujący wpływ ma charakter gór, w których ta łączność będzie używana.

Agregat Honda EX 350 w bazie zimowej wyprawy na Nanga Parbat 1997/98

Góry cywilizowane, takie jak Tatry czy Alpy, leżą zwykle w zasięgu sieci telefonii komórkowej. Dlatego podstawowym, powszechnie dostępnym i najtańszym środkiem łączności będzie tam telefon komórkowy. Należy tylko pamiętać, żeby przed wyjściem w góry poznać i wprowadzić do pamięci „komórki" telefon miejscowej służby ratowniczej. Na przykład numery telefonów alarmowych TOPR to (+48)182063444 i (+48)603100100, a do słowackiej HS można dzwonić na numery (+421)524422820, (+421)524422855 i (+421)903624869. Uniwersalny, obowiązujący na całym świecie numer alarmowy to 112. Można z niego korzystać nie tylko w razie wypadku w górach, ale też w razie katastrofy na drodze, pożaru czy napadu. Jest to numer bezpłatny, pomija blokady, nie korzysta z karty SIM ani z PIN-u (na żądanie „podaj PIN" wpisuje się 112 i zatwierdza OK.), działa niezależnie od posiadanego roamingu. Można dzwonić z cudzego telefonu nie narażając właściciela na koszty.

W czasie akcji górskiej zachodzi czasem potrzeba utrzymywania częstej łączności między kilkoma wspinającymi się na jednej ścianie czy w jednej dolinie zespołami, a nawet między part-

nerami należącymi do tego samego zespołu, jeśli teren nie pozwala na bezpośrednie porozumiewanie się głosem. Używanie do tego celu telefonu komórkowego byłoby niewygodne i drogie. W takim wypadku możemy zaopatrzyć się w radiotelefony noszone, które przed wprowadzeniem telefonii komórkowej były jedynym środkiem łączności w górach. Do wyboru mamy dwie klasy tych urządzeń. Pierwsza z nich to radiotelefony solidniejsze, bardziej uniwersalne, ale też droższe. Pracują zwykle w szerokim zakresie częstotliwości 138 – 175 MHz, są małe, odporne na mróz, ważą w granicach 250 – 350 g. Zapewniają dobrą łączność w obrębie doliny i przyległych dolin sąsiednich, czy też w całym rejonie działania wyprawy himalajskiej. Dla przykładu: przy zastosowaniu dobrych anten utrzymywaliśmy łączność między hotelem w Chilas nad Indusem a bazą główną zimowej wyprawy na Nanga Parbat, położoną na lodowcu Diamir, to jest na odległość czterech dni marszu karawany. Radiotelefony te umożliwiają komunikację z innymi wyprawami, które najczęściej zaopatrzone są w podobne urządzenia, dają też techniczną możliwość współpracy z sieciami służb ratowniczych, ale ich legalne używanie wymaga odpowiedniego zezwolenia. Zezwolenie takie posiada Polski Związek Alpinizmu i na jego podstawie utrzymuje w Tatrach profesjonalną sieć radiotelefoniczną, która obsługuje COS „Betlejemka" i wszystkie obozowiska taternickie. Związek ma również radiotelefony przeznaczone do wypożyczania organizatorom wypraw i wyjazdów. Jeśli chcemy zaopatrzyć się we własny sprzęt na wyprawy, wybieramy sprawdzony, dobry radiotelefon amatorski. Jest on tańszy od profesjonalnego i bardziej „elastyczny" – umożliwia ręczne zaprogramowanie go stosownie do aktualnych potrzeb. W pakiecie podstawowym dostaniemy radiotelefon z małą anteną, akumulator, ładowarkę i instrukcję. Do tego koniecznie trzeba dokupić pojemnik na baterie, zwykle na 4 lub 6 „paluszków" AA. Pozwoli on korzystać z radiotelefonu tam, gdzie ładowanie akumulatorów jest niemożliwe i zapewni, że po nieuchronnym zużyciu się akumulatora radio nie stanie się bezużyteczne. Zresztą do pojemnika na baterie można też wkładać „paluszki" ładowalne. Celowe będzie dokupienie również sprawniejszej anteny dopasowanej do używanych częstotliwości i zewnętrznego mikrofonogłośnika. Sprawdzony, ale już trudny do znalezienia model radiotelefonu, to Kenwood TH22AT (lub E, ET), a z nowszych – Yaesu (Vertex) VX150. Cena[1] podstawowego kompletu mieści się w granicach 900-1000 zł brutto. Alternatywą do opisanego wyżej rozwiązania jest stosunkowo tani radiotelefon klasy PMR (Private Mobile Radio), pracujący w paśmie częstotliwości 446 MHz. Godny polecenia model to Motorola T6222, który można kupić[1] za 414 zł brutto. Waży zaledwie 163 g, zasilany jest trzema „paluszkami" AA, ma wiele użytecznych funkcji, w tym włączanie nadawania głosem (VOX), a nawet szyfrowanie mowy. Zasięg w terenie płaskim do trzech km, w górach jest dużo większy. Można do niego dokupić zewnętrzny mikrofonogłośnik wygodny w czasie wspinaczki. Radiotelefony klasy PMR mogą być legalnie używane w Polsce i w całej UE bez żadnego zezwolenia, rejestracji i opłat. Nie należy mylić ich z podobnymi klasy FRS (Family Radio Service), które zezwolenia na pracę w Polsce nie mają.

Na wyprawach typu himalajskiego łączność musi być zorganizowana inaczej. Tam rejon działania wyprawy leży z zasady poza zasięgiem sieci telefonii komórkowej, więc zwykłe „komórki" są bezużyteczne. Do łączności lokalnej, tj. między bazą główną a ludźmi w górach, czasem też wzdłuż szlaku karawany, używane są opisane wyżej radiotelefony, raczej te większe. Radiotelefon zainstalowany w bazie pozostaje na stałym nasłuchu i powinien być podłączony do dobrej, zewnętrznej anteny bazowej, umieszczonej na niewysokim choćby maszcie. W miarę możności powinien być to większy, głośniejszy radiotelefon przewoźny, ale jest on trudniejszy do zasilania i tylko większe wyprawy mogą sobie na takie rozwiązanie pozwolić. Rozmowy w sieci lokalnej zazwyczaj są nagrywane.

Dalekosiężna łączność wyprawy z cywilizacją do niedawna jeszcze wymagała posiadania radiostacji krótkofalowej z całym rozbudowanym osprzętem i zwykle wykwalifikowanego operatora. Ostatnio łączność krótkofalowa zastąpiona została łącznością satelitarną. Pierwszym historycznie i sprawdzonym systemem łączności satelitarnej jest Inmarsat[2], używany przez wyprawy w odmianie Mini-M. Cztery geostacjonarne satelity zapewniają łączność z dowolnego punktu na Ziemi. Telefon satelitarny Mini-M ma wielkość laptopa, waży niewiele ponad 2 kg, jest prosty w obsłudze i pozwala łączyć się z dowolnym telefonem na całym świecie. Umożliwia też połączenie z Internetem, przesyłanie e-maili i zdjęć. Telefon taki można odpłatnie wypożyczyć lub kupić[3] za sumę około 3000 USD netto i aktywować u wybranego operatora. Koszt połączenia to 2 do 3 USD za minutę. Od niedawna działa też drugi system łączności satelitarnej o nazwie Thuraya[4]. Swoim zasięgiem obejmuje obecnie Europę, północną i środkową Afrykę, Bliski Wschód

Nanga Parbat 1997/98. Pora łączności

i południową Azję, w tym Himalaje i Karakorum. Telefon ma wielkość zwykłej „komórki", waży 220 g, łączy w sobie funkcje telefonu satelitarnego, komórkowego i GPS-a. Kosztuje[3] 900 USD netto, za minutę rozmowy z Polską płaci się 1.05 USD. Jeśli organizujemy wyprawę w góry leżące poza zasięgiem satelity Thuraya, możemy wybrać trzeci system, Iridium[5], dający możliwość telefonowania z dowolnego miejsca na Ziemi. Waga telefonu to niecałe pół kg, cena[3] 1900 USD netto, minuta rozmowy kosztuje 1.6 USD. Kraje „himalajskie" żądają opłat za korzystanie z telefonu satelitarnego z ich terytorium. Ostatnio opłata w Nepalu wynosiła 3000 USD i bywała „redukowana" do 1500, w Chinach 600, w Pakistanie 1000, ale planuje się obniżenie do 250.

Następną po łączności dziedziną zastosowania elektroniki w górach jest nawigacja satelitarna w systemie GPS (Global Positioning System). Odbiornik GPS, zwany krótko GPS-em, pod względem wyglądu i ciężaru podobny do telefonu komórkowego, potrafi zlokalizować nasze położenie na Ziemi z precyzją kilku do kilkunastu metrów, a ponadto policzyć i zapamiętać wszystko, co da się policzyć z pomiaru zmian położenia w czasie: przebytą drogę, prędkość maksymalną, chwilową i średnią, czas przebywania w ruchu i w spoczynku, prędkość z jaką zdobywamy lub tracimy wysokość, sumę podejść i zejść i... dużo, dużo więcej. W GPS-ie można zapisać współrzędne kilkuset punktów, np. koleb, schronów i później trafić do nich bezbłędnie w każdych warunkach. GPS potrafi wykreślić przekrój pionowy naszej drogi, precyzyjnie poprowadzić przebytą uprzednio albo zaplanowaną według mapy trasą, wskazać datę i dokładny czas a nawet godziny wschodu i zachodu słońca i księżyca. Może współpracować z komputerem i wymieniać z nim dane. Bardziej rozbudowane modele mają wbudowany kompas magnetyczny i ciśnieniowy altimetr. Najtańszy odbiornik GPS można kupić[1] już za 698 zł brutto, bardzo dobry za 1431 zł, a najlepszy z „górskich" kosztuje 2632 zł.

Łączność i nawigacja satelitarna to najważniejsze, największe, ale nie jedyne zastosowania elektroniki w górach. W oparciu o nią działają wykrywacze lawinowe do poszukiwania zasypanych osób, tradycyjne i cyfrowe aparaty fotograficzne, kamery, magnetofony, walkmany i discmany, cyfrowe termometry, a także różne odmiany komputerów. Te ostatnie służą do pisania korespondencji, wysyłania i odbioru przez telefon satelitarny tekstów i zdjęć, są komputery wyspecjalizowane do przesyłania ruchomych ob-

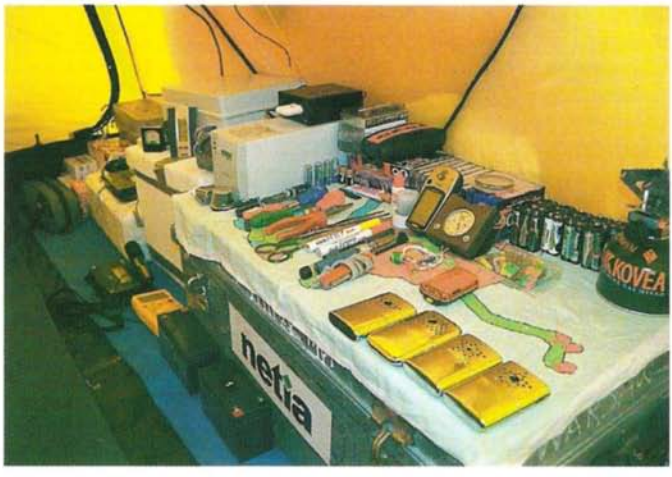

W namiocie technicznym zimowej wyprawy na K2 w 2003 r.

razów dobrej jakości, najmniejsze „palmtopy" coraz częściej używane są do prowadzenia notatek i noszone nawet do najwyższych obozów.

***

Wszystkie urządzenia elektroniczne wymagają zasilania. Najprostszym i najmniej kłopotliwym źródłem energii elektrycznej do urządzeń małej mocy są baterie jednorazowe. W góry należy zabierać baterie alkaliczne. Mają one większą pojemność od „zwykłych" i nie ciekną. Zamrożenie w czasie przechowywania nie szkodzi im, ale przed użyciem muszą być koniecznie ogrzane. Bateria alkaliczna eksploatowana w temperaturze minus 20°C ma zaledwie 10% swojej pojemności nominalnej! Odporniejsze na mróz są baterie litowe, np. L91 firmy Energizer[6]. Mają one rozmiary „paluszków" AA i można je przechowywać przez 10 lat. Bardzo odporne na niskie temperatury są akumulatorki NiCd i NiMH. Rozładowywane w temperaturze minus 20°C wykazują 80% nominalnej pojemności. Ale podczas ładowania muszą mieć temperaturę przynajmniej plus 10°C, co w warunkach wyprawowych, zwłaszcza zimą, stwarza spore kłopoty. Niektóre urządzenia wymagają większej mocy i muszą być zasilane z zewnątrz. Należą do nich długo pracujące komputery, telefony satelitarne, radiotelefon bazowy i ładowarki rozmaitych akumulatorów do kamer.

Przykładem rozwiązania problemu zasilania bazy w energię elektryczną może być ostatnia, zimowa wyprawa na K2, kierowana przez Krzysztofa Wielickiego. W bazie głównej, położonej na wysokości 5100 m, mieliśmy trzy źródła energii: generator spalinowy Honda EU10i[7] (jednocylindrowy czterotakt z wtryskiem, masa 14 kg, 800W mocy na nizinach, połowa tego w bazie), różne panele słoneczne[8] i generator wiatrowy Air-X Marine[9] (masa 6 kg, 400W mocy nominalnej, 800W w szczycie). Źródła energii połączone były z pomocą specjalnej skrzynki rozdzielczej w jeden system zasilania, w skład którego wchodził jeszcze akumulator Banner GIV12650[10] (12V, 65Ah) i przetwornice[11] DC12V/AC220V. Skrzynka zbudowana z elementów firmy Wago Elwag[12] zawierała niezbędne złączki, zabezpieczenia i przełączniki, energia z niej była rozprowadzona po bazie i używana do zasilania trzech telefonów satelitarnych, dwóch komputerów, specjalistycznego sprzętu należącego do TVP1, służyła również do oświetlania mesy, kuchni i innych namiotów żarówkami energooszczędnymi 9W. Wszystkie połączenia, zarówno nisko - jak i wysokonapięciowe, wykonano mrozoodpornymi kablami w izolacji silikonowej, z firmy Lapp Kabel[13], o łącznej długości przekraczającej 150 m. Centralny akumulator umieszczony był w termostatowanym pudle ze styropianu, w którym utrzymywała się temperatura około 0°C. Ładowany mógł być jednocześnie ze wszystkich trzech źródeł energii. Niezbędne do zasilania niektórych urządzeń napięcie przemienne 220V pochodziło z pracującego generatora spalinowego, a w czasie jego postoju - z przetwornic zasilanych z centralnego akumulatora. Akumulatorki „paluszkowe" NiCd i NiMH ładowane były w drugim pudle styropianowym, w którym termostat utrzymywał temperaturę plus 10°C. Akumulatory do kamer ładowano z przeznaczonych do nich ładowarek automatycznych, zasilanych napięciem AC 220V, po zawinięciu ich w śpiwór, gdzie ogrzewały się po pewnym czasie same pod wpływem ciepła wydzielanego w procesie ładowania. Doświadczenie pokazało, że ogromna większość zużywanej w bazie energii elektrycznej pochodziła z generatora spalinowego, który pracował „jak zegarek" niezależnie od pogody, po 10 godzin dziennie, na co zużywał 2 litry benzyny. Panele słoneczne pracowały bardzo wydajnie gdy świeciło słońce, ale słoneczne dni zdarzały się sporadycznie. Generator wiatrowy umieszczony na sześciometrowym maszcie, chociaż podobno najlepszy w tej klasie na świecie, nie mógł dostarczyć znaczącej ilości energii ze względu na porywisty charakter wiatru, przy którym ciągle włączały się zabezpieczenia i hamowały obroty śmigła.

Tak wygląda współczesne zastosowanie elektroniki w górach. Może powyższy opis i zawarte w nim informacje praktyczne dotyczące polskich realiów pomogą komuś wprowadzić elektronikę do jego działalności górskiej, z pożytkiem dla jej bezpieczeństwa i wygody. Wtedy zadanie tej publikacji zostanie spełnione.

bogdan.jankowski@pwr.wroc.pl

Zdjęcia: Bogdan Jankowski

Portret autora: Janusz Kurczab

[1] W firmie Perfect prowadzonej w Warszawie przez taternika, naszego kolegę Pawła Mieszkowskiego, który znając się na górach i na elektronice zawsze doradzi najlepsze aktualnie rozwiązanie. Radiotelefony: www.perfect-radio.com.pl GPS-y: www.nawigatornia.pl [2]www.inmarsat.com [3]W firmie Enamor, www.enamor.com.pl [4]www.thuraya.com [5]www.iridium.com [6]www.energizer.com.pl [7]www.ariespower.com.pl [8]Sprzedaje firma GTB Solaris, www.solaris.polbox.pl [9]www.windenergy.com [10]www.bannerbatterien.com [11]Z firmy Tatarek, www.tatarek.com.pl [12]www.wago.com [13]www.lapppolska.pl

Diabeł tkwi w szczegółach

Wojciech Święcicki*

W Taterniku 1/2001 w artykule „Uwagi o ruchu lewostronnym" poświęciłem kilka słów komentarza brytyjskiemu sposobowi zjeżdżania na linie. Uwagi dotyczyły głownie kwestii terminologicznych, gdyż w środowisku wspinaczkowym brakowało zgody co do znaczenia określeń niski i wysoki przyrząd asekuracyjny. Starałem się przekonać czytelników, że o nazwie metody decyduje wyłącznie umiejscowienie przyrządu wobec uprzęży. Niski przyrząd – to przyrząd wpięty bezpośrednio do uprzęży, natomiast przyrząd wysoki – to przyrząd dopięty do uprzęży za pośrednictwem pętli-przedłużki. Osobną kwestią pozostaje lokalizacja węzła zaciskowego, który może znaleźć się albo pod, albo nad przyrządem zjazdowym.

Pozwolę sobie powtórzyć główną myśl jeszcze raz: miejsce zawiązania węzła zaciskowego na linie zjazdowej w najmniejszym nawet stopniu nie decyduje o nazwie metody zjazdu.

Oprócz spraw terminologicznych jest jeszcze codzienna praktyka wspinaczkowa. Okazuje się, że brak precyzji w nazewnictwie w połączeniu z brakiem dyscypliny podczas wykonywania poszczególnych czynności (zadań) może doprowadzić do zaskakującego finału. Żeby nie być gołosłownym posłużę się przykładem z życia. Zaobserwowałem podczas pracy w terenie popełnianie błędu, którego skutkiem była całkowita nieskuteczność węzła zaciskowego. Proszę sobie wyobrazić, że zawiązany dla bezpieczeństwa węzeł zaciskowy w ogóle nie działał! Opisywany przypadek miał miejsce podczas wykonywania zjazdu z użyciem płytki Stichta dopiętej bezpośrednio do łącznika uprzęży i asekuracji za pomocą węzła Prusika umieszczonego poniżej przyrządu zjazdowego.

Fot. 1

Jak widać na zdjęciu – Fot. 1, jest to układ bardzo przybliżony swym wyglądem do ilustracji znanych z brytyjskich podręczników wspinaczkowych. Jedyna różnica polega na tym, że węzeł zaciskowy jest dopięty do łącznika w uprzęży, natomiast w klasycznej wersji angielskiej powinien być dowiązany jak najdalej od przyrządu, np. do taśmy opasującej udo. Skutkiem tej niefortunnej innowacji było to, że zbyt długa pętla powodowała opieranie się węzła Prusika o płytkę Stichta – Fot. 2.

Fot. 2

W ten sposób powstał układ, który powodował śmiertelne zagrożenie. Węzeł Prusika w ogóle nie zaciskał się na linie, a przyrząd pozbawiony obsługi zsuwał się obciążony ciałem wspinacza z prędkością około 0,3 m/sek. Łatwo sobie wyobrazić, że w przypadku utraty kontroli nad przyrządem zjazdowym (np. na skutek ugodzenia kamieniem) mogło dojść do bardzo poważnych konsekwencji. Patrząc na opisywany przypadek nieco szerzej, trzeba stwierdzić, że angielski sposób zjeżdżania tj. niski przyrząd + niski bloker, ma więcej wad niż zalet i w związku z tym nie jest jakoś szczególnie wart polecenia.

Co w takim razie w zamian? Komisja Szkolenia PZA od ponad 10 lat zaleca bezpieczny i wygodny sposób zjeżdżania w układzie: wysoki przyrząd + niski bloker. Jak zaznaczono w tytule niniejsze-

go artykułu, diabeł tkwi w szczegółach i dlatego warto dokładniej wytłumaczyć, co kryje się pod tą dość ogólną dyrektywą. Co to znaczy wysoki przyrząd? Często widuje się błąd polegający na zastosowaniu zbyt długiej pętli, która powoduje, że przyrząd znajduje się wysoko nad głową, co może powodować niepotrzebne komplikacje podczas przejeżdżania przez krawędzie okapów. Przyrząd zjazdowy (ósemka, kubek lub płytka) po obciążeniu liny powinien znajdować się na wysokości twarzy obsługującego go wspinacza. Oznacza to, że trzeba tak dobrać długość pętli, aby przed rozpoczęciem zjazdu przyrząd zjazdowy sięgał mniej więcej pod brodę. Pętla powinna być bezpiecznie połączona z łącznikiem uprzęży. Osobiście preferuję proste i skuteczne połączenie „na krawat", lub użycie mojego ulubionego lekkiego ogniwa Demi-rond (półokrągły Maillon Rapide o licznych ciekawych zastosowaniach, ale o tym innym razem).

Jako węzeł zaciskowy najlepiej sprawdza się jest bloker – Fot. 3, który po zawiązaniu na linie nie powinien być dłuższy niż 15 centymetrów. Co robić kiedy dysponujemy nieco dłuższą pętlą? Wystarczy rozwiązanie najprostsze – zawiązanie kluczki w odpowiednim miejscu. Bardzo ważne jest dobranie odpowiedniej ilości oplotów blokera wokół liny, optymalnej dla konkretnego układu lina-węzeł. Na ogół najlepiej pracuje się bloker potrójny, ale w przypadku zjeżdżania na pojedynczej żyle przydaje się jeden oplot więcej. Węzeł zaciskowy należy dopiąć do łącznika uprzęży za pośrednictwem zakręcanego karabinka. Uwaga: mając do dyspozycji tylko jeden zakręcany karabinek zdecydowanie lepiej jest użyć go do połączenia blokera z uprzężą niż do połączenia przyrządu zjazdowego z pętlą przedłużki. Powód: łatwiej jest obserwować i obsługiwać ustawione przeciwstawnie karabinki, które znajdują się na wysokości oczu, niż te, które są wpięte w łącznik uprzęży. Prawidłowy układ rąk w trakcie zjeżdżania w wysokim przyrządzie ilustruje zdjęcie – Fot. 4.

WADY: Podczas zjeżdżania w wysokim przyrządzie mamy stosunkową niewielką możliwość regulacji szybkości zjazdu. Ponadto w przypadku umiejscowienia przyrządu zjazdowego na wysokości twarzy istnieje możliwość wkręcenia się w linę bujnej brody, przydługich włosów czy fantazyjnych apaszek.

*Autor jest instruktorem alpinizmu, przez wiele lat był Przewodniczącym Komisji Szkolenia PZA a w latach 1999-2001 pełnił obowiązki Prezesa Polskiego Związku Alpinizmu.

Fot. 3

Fot. 4

Wypadki taternickie styczeń – wrzesień 2003

Adam Marasek

W dniu 24.01 na drodze Koło fortuny na Mnichach Małołąckich wspinała się trójka taterników z Warszawy. Prowadzący Rafał S., będący już pod koniec II wyciągu, odpadł wyrywając po drodze wszystkie przeloty. Spadł ponad 60 m uderzając w skały. Spadającego taternika utrzymał asekurujący go partner. W wyniku upadku taternik doznał poważnych obrażeń kręgosłupa szyjnego, złamań i ogólnych mocnych potłuczeń. Koledzy opuścili rannego do podstawy ściany, zabezpieczając go przed utratą ciepła w czasie oczekiwania na ratowników. Zła pogoda nie pozwoliła na użycie śmigłowca. Ratownicy brnąc w świeżym śniegu ze sprzętem medycznym i środkiem transportu doszli na miejsce wypadku. Lekarz TOPR po oględzinach stwierdził bardzo poważny uraz kręgosłupa. Ratownicy z zachowaniem szczególnej ostrożności udzielili rannemu pierwszej pomocy i następnie, po umieszczeniu go w „pulkach", rozpoczęli ostrożny transport rannego do wylotu Doliny Małej Łąki. Tam przekazano rannego taternika oczekującej karetce reanimacyjnej. Cała akcja ratunkowa trwała prawie 5 godzin i zakończyła się po godz.18.

W dniu 17.02, tuż po godz. 15, podczas wspinaczki drogą Potoczka na wsch. ścianie Kościelca, prowadząca na ostatnim wyciągu Emilia P. z Gdyni odpadła łamiąc nogę w stawie skokowym. Za pośrednictwem Betlejemki o wypadku powiadomiono TOPR. Ratownicy, korzystając ze śmigłowca Straży Granicznej (śmigłowiec TOPR rozbił się 29.01. podczas akcji ratunkowej pod Rysami), zostali przerzuceni w rejon grani, gdzie się desantowali. Następnie dwaj ratownicy zostali opuszczeni do oczekującej na pomoc taterniczki. Po zaopatrzeniu ranna, ułożona w „pulkach", systemem improwizacji została wciągnięta na grań. Następnie ranną opuszczono na stronę Stawków Gąsienicowych i brnąc w głębokich, przepadających śniegach ratownicy przetransportowali ją do Zielonego Stawu. Tam z pomocą przyszedł ratrak, którym ranną taterniczkę wywieziono na Kasprowy Wierch i dalej kolejką zwieziono do Kuźnic. O godz. 20.30 poszkodowana została przekazana do szpitala.

W dniu 3.03 o godz. 17.30 dwaj taternicy z Rybnika, wspinający się direttisimą płn. ściany MSW, zadzwonili do TOPR z informacją, że: „są drugi dzień w ścianie, bardzo zmęczeni, bez jedzenia i picia, i proszą by wydostać ich ze ściany.... najlepiej śmigłowcem". Poinformowali też, że mają sprzęt biwakowy. Lornetując ścianę udało się ich zlokalizować w rejonie tzw. Nietoperza. Ponieważ nic poważnego im się nie stało zaproponowano by przebiwakowali kolejną noc. Rano z Centrali wyruszyła ekipa ratowników. Przez Zadnią i Wielką Galerię ratownicy doszli nad oczekujących na pomoc taterników. Następnie dwoma zjazdami ratownicy dotarli do taterników. Po nakarmieniu, ogrzaniu pakietami grzewczymi taterników opuszczono do żlebu i sprowadzono do Morskiego Oka.

W dniu 20.06, podczas wspinaczki drogą Śmieszko-Janowski na ścianie czołowej Kopy Spadowej, prowadząca na pierwszym wyciągu Beata K. z Kętów odpadła doznając kontuzji nogi, ręki, otarć i potłuczeń. Partner opuścił ją do podstawy ściany i powiadomił TOPR. Ratownicy śmigłowcem Mi-2 (Lotniczego Pogotowia Ratunkowego) zostali przerzuceni nad Czarny Staw i dalej pieszo dotarli do oczekującej na pomoc taterniczki. Po udzieleniu pierwszej pomocy została ona zniesiona w noszach francuskich nad Czarny Staw, skąd dalej śmigłowcem przetransportowana do zakopiańskiego szpitala.

W dniu 26.07, podczas wspinaczki Filarem Staszla na Zadnim Granacie, będąc poniżej „Tarasu", odpadł około 10 m prowadzący ten wyciąg Michał M. z Warszawy. W wyniku upadku taternik złamał nogę. O wypadku przez tel. komórkowy powiadomiono TOPR. Ponieważ warunki atmosferyczne nie pozwalały począt-

kowo na użycie śmigłowca, ratownicy udali się na Halę Gąsienicową samochodami. W tym czasie pogoda poprawiła się na tyle, że do akcji można było użyć śmigłowca. Wówczas TOPR dysponował tylko śmigłowcem ROBINSON firmy POLINAR. Śmigłowiec ten przewoził ratowników i sprzęt z Hali Gąsienicowej w rejon wypadku. Po założeniu stanowiska jeden z ratowników został opuszczony w zestawie Grammingera do oczekującego na pomoc w ścianie taternika. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy, taternik w noszach francuskich został wraz z ratownikiem opuszczony do podstawy ściany i przejęty przez kolejną grupę ratowników. Ratownicy przenieśli go w miejsce, gdzie mógł przyziemić śmigłowiec. Ranny taternik śmigłowcem został przetransportowany do Zakopanego (naprzeciw siedziby TOPR) i stamtąd karetką przewieziony do szpitala. W akcji ratunkowej wzięło udział 16-tu ratowników.

W dniu 27.07, podczas wspinaczki na Kancie Hakowym na pn.-wsch. ścianie Mnicha bardzo źle się poczuł jeden z taterników. Jego stan był na tyle poważny, że partnerzy zawiadomili przez tel. komórkowy TOPR. Śmigłowcem ROBINSON w rejon Mnicha został przewieziony lekarz TOPR i ratownik. Pozostali ratownicy na miejsce wypadku dowożeni byli w kolejnych lotach . W tym czasie partnerzy opuścili kolegę do podstawy ściany. Po dojściu do oczekującego na pomoc taternika lekarz stwierdził, że jego stan jest bardzo poważny (częściowy paraliż spowodowany najprawdopodobniej wylewem). Z rejonu Dolnych Półek taternik został zabrany śmigłowcem do Zakopanego. W wyprawie wzięło udział 12 ratowników. Całe to zdarzenie spowodowane było złym stanem zdrowia taternika a nie jego błędem czy upadkiem. Gdyby nie śmigłowiec i szybka pomoc, rokowania co do zdrowia a może i życia taternika byłyby kiepskie.

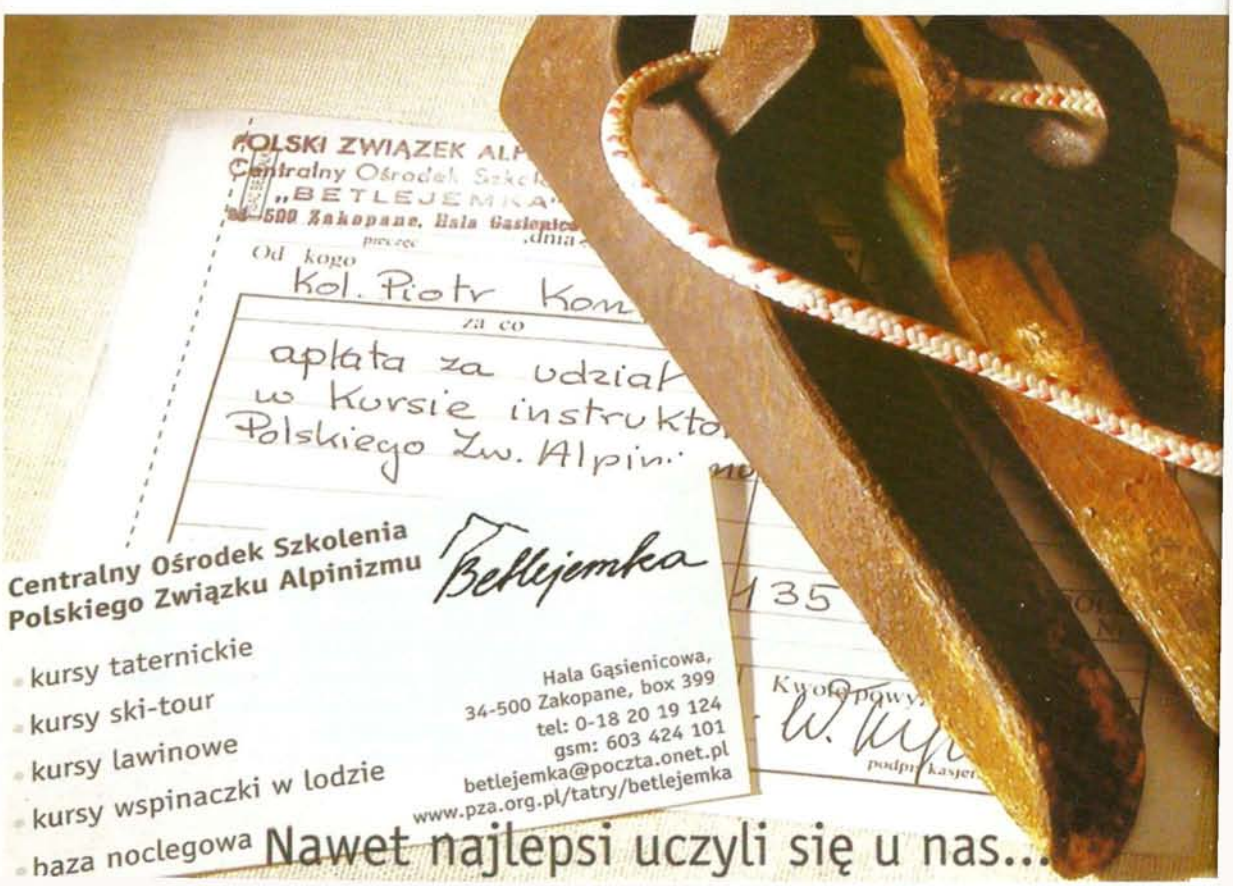

Sprostowanie

Na podstawie art. 31, ust. 1. Ustawy o Prawie Prasowym proszę o zamieszczenie sprostowania nieprawdziwych informacji na mój temat zamieszczonych w Taterniku nr 4/2002, w artykule Władysława Cywińskiego „Sezon zimowy 2001/2002".

Władysław Cywiński cytuje twierdzenie niejakiego Jacka Bilskiego (osoby takiej nie znam), jakoby 11 marca 1989 roku obserwował mnie przez lornetkę i widział, że nie przeszedłem dróg na Buli pod Bańdziochem opisanych w Biuletynie Taterniku nr 1/1990, natomiast „pół dnia wspinałem się do góry, a drugie pół dnia wycofywałem się zjazdami". Opis taki Jacek Bilski podał kilka miesięcy wcześniej w piśmie „Góry" (nie wymieniając jednak mojego nazwiska), skąd cytuje go Władysław Cywiński (dodając moje nazwisko).

Stanowczo zaprzeczam twierdzeniom Jacka Bilskiego. Dysponuję obecnie bardzo mocnymi dowodami na to, że nie są one zgodne z prawdą. Obszerniejsze oświadczenie na ten temat przekazałem Władysławowi Cywińskiemu. Najważniejszy dowód zachowuję jednak na razie dla siebie, na przypadek kontynuacji sądowej tego sporu. Uważam, że pan Bilski sam obalił swą wiarygodność latami milcząc i nagle doznając olśnienia. Przypuszczam, że pan Bilski sam dobrze nie pamięta, kiedy i kogo obserwował (jeśli w ogóle obserwował), a datę i osobę dopasował po latach na podstawie opublikowanej monografii.

Mam mu do powiedzenia jedno: równie dobrze ja mógłbym oświadczyć, że 14 lat temu obserwowałem pana JB przez lornetkę i widziałem, iż jedne pół dnia leżał na lewym boku, a drugie pół na prawym. Szanowna redakcjo, do czego chcecie doprowadzić takimi publikacjami? Do tego, byśmy wszyscy wspinali się z czerwonym spray'em w kieszeni i pisali na skale „tu byłem"?

Władysław Cywiński wspomina też o „drugim wątpiącym", co ponoć gotów jest „zeznać pod przysięgą". Nawiasem mówiąc nie wiadomo kto wątpi, nie wiadomo w co, i nie wiadomo co chce zeznać. Trudno mi się ustosunkować do nie wiadomo czego, głoszonego przez nie wiadomo kogo. Na szczęście żyjemy w praworządnym kraju, gdzie żaden sąd nie daje wiary świadkowi, co kilkanaście lat milczy i nagle doznaje nirwany. W praworządnym kraju, jeśli się kogoś o coś oskarża, także na łamach prasy, to trzeba przedstawić na to mocne dowody, a gadki w stylu „kilkanaście lat temu patrzyłem przez lornetkę i nagle sobie przypomniałem" żadnymi dowodami nie są. Przed sądem nie wystarczy „zeznać pod przysięgą". Trzeba jeszcze udowodnić, że mówi się prawdę.

Już zupełnie na marginesie chciałbym jeszcze sprostować inną sprawę. Ostatnio w kilku pismach górskich ukazały się monografie polskich wejść w Hindukuszu Afgańskim autorstwa Jerzego Wali. We wszystkich moje nazwisko figuruje w wersji przekreconej, jako „K. Woziński" (taternik K. Woziński nie istnieje). Wspomina się też tylko jedną z moich wypraw, a pozostałe wejścia są pominięte. Zainteresowanych odsyłam do mojej książki „Ślady na śniegu".

Krzysztof Łoziński

Czytając „Taternika" nr 1-2/2003 zauważyłem pewną nieścisłość na stronie 77 (akapit: W dniu 8 września...). W opisywanym wydarzeniu brała udział Magdalena S. i moja skromna osoba. Przypuszczam, że podobieństwo nazwisk przyczyniło się do przekłamania. Nazywam się Marcin Kasperczyk a nie Marcin Kasperek i jeszcze nie jestem „znanym przewodnikiem wysokogórskim, taternikiem i ratownikiem TOPR". Przekłamanie to przyczyniło się do wielu sympatycznych żartów w wykonaniu kolegów z klubu wysokogórskiego do którego należę. Można powiedzieć nawet że zyskałem na popularności! :-)

Marcin Kasperczyk

Kolegów Marcina Kacperka i Marcina Kasperczyka za przykre nieporozumienie bardzo przepraszam w imieniu autora artykułu Adama Maraska oraz swoim.

Janusz Kurczab

W ostatnim numerze Taternika ukazał się na str.19 tekst „Diabły tkwią w szczegółach". Tekst ten zawiera m.in. bardzo drobiazgową analizę opisu drogi Żlebu Trzynastu Progów. Nie chcę wnikać w szczególną precyzję opisu jakim popisali się autorzy wspomnianego tekstu. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na implikacje towarzyszące tego rodzaju tekstom. Pozwolę sobie sformułować tezę, że 80% osób gramolących się do góry (na sztucznych ścianach, w skałkach, w górach wyłącznie na ubezpieczonych drogach) nie czyta przewodników. Kolejne 15%, które czyta czasopisma górskie, z „Taternika" dowie się, że istnieje coś takiego jak Żleb Trzynastu Progów. Żleb Trzynastu Progów to miejsce do wspinania,

które może, bez ryzyka akcji ze strony TPN, odwiedzać wyjątkowo mała ilość wspinaczy, o wyjątkowo wczesnych godzinach.

Mimo liberalizmu obecnego dyrektora TPN, Żleb 13p jest miejscem szczególnie chronionym i w razie kontaktu z pracownikami TPN nie należy liczyć na jakąkolwiek taryfę ulgową. Każdy tego rodzaju artykuł przyciąga w tak szczególne miejsca dewiantów, którzy (to prawdziwa historia dotycząca Organów) rozpalą ognisko i będą obozować.

Andrzej Milewski

W odpowiedzi na list, który do nowej redakcji skierował Pan Wojciech Wiśniewski („Taternik" 1-2/2003) chciałbym poinformować, że pierwszy raz zdarzyło mi się pracować w tak chaotycznym i nieodpowiedzialnym zespole ludzi, jak przy czterech wydaniach „Taternika", które robiłem. Materiały do wyd. 4/2001 otrzymałem w czerwcu 2002, z czego połowa została odrzucona ze względu na żenująco niski ich poziom. Oczywiście, na ich miejsce nie otrzymałem nic innego. Materiały do działu Jaskiniowego dotarły od Pana Wojciecha Wiśniewskiego (który narzeka na opóźnienie tamtego numeru) po kolejnych kilku miesiącach i też na raty. Nigdy nie otrzymałem żadnej makiety do żadnego z wydań. Cos takiego jak redagowanie pisma nie istniało. Po kilka –kilkanaście razy zmieniałem jego układ, bo cały czas przychodziły jakieś materiały, o których ktoś raczył sobie przypomnieć lub usuwane były te, nad którymi już wcześniej pracowałem (łamanie, skanowanie etc.). Po korektach otrzymywałem pokreślone strony i żadnych propozycji co w zamian. Jedynie dzięki zaangażowaniu Pana Wojciecha Święcickiego udawało się te numery jakoś pozamykać. Proszę uszanować to, że „Taternikowi" poświęcałem 15 razy więcej czasu niż powinienem, ale oczywiście w ramach uzgodnionego wcześniej wynagrodzenia (!).

I jeszcze jedno Panie Wiśniewski. Zapewniam Pana, ze składanie czasopism nie przekracza zdolności mojej firmy. Natomiast dalsza współpraca z Panem na pewno przekraczałaby możliwości mojego systemu nerwowego.

Życzę obecnemu red. Januszowi Kurczabowi i całemu zespołowi, aby pracowało im się lepiej i żeby kolejne numery były lepsze od tych robionych przeze mnie i przez Pana Wojciecha Święcickiego.

Piotr Niewierowicz

W odpowiedzi na list, który do redakcji skierował Pan Piotr Niewierowicz, muszę wyjaśnić, że nie miałem jakiegokolwiek związku z opisanym przez niego chaosem i pisząc swój list nie wiedziałem o jego wcześniejszych perturbacjach (i ich skali) ze składaniem „Taternika", co mogłoby się przyczynić do złagodzenia tonu mojej wspomnianej wypowiedzi.

Muszę też wyjaśnić, że po raz pierwszy o możliwości dostarczenia materiałów do działu Jaskinie wspomnianego wyd. 4/2001, dowiedziałem się dopiero w czwartek 22.08.2002 r. od Wojciecha Święcickiego, który powiedział, że musi je dostać do poniedziałku (26.08) przed południem, bo tego dnia po południu teksty oddaje do składania. Niemal cały blok materiałów jaskiniowych (wraz z podaniem proponowanego ich układu) przekazałem mu w niedzielę 25.08.2003 r. Tego dnia o godz. 21 poinformował mnie on telefonicznie, że dotarły do niego w całości, a następnego dnia wieczorem powiedział, iż teksty te poszły już do składania. Dodał też, że ze względu na czas potrzebny na łamanie, mogę jeszcze dosłać dalsze materiały w ciągu tygodnia. Ową końcówkę przekazałem 27.08 i 02.09, a później (10.09) – na zasadzie wyjątku – bo chodziło o nekrolog instruktora PZA, który w dodatku miał zamykać numer co nie kolidowało z łamaniem zeszytu, dosłałem tylko ten jeden materiał, bo zebranie informacji do niego zajęło znacznie więcej czasu niż wstępnie przewidywałem.

Moja współpraca z Panem Niewierowiczem ograniczała się jedynie do kilku krótkich e-maili, pierwszy (5.09) zawierał jedynie zapytanie o wymagane parametry skanów, a w następnych (5 i 9.09) przesyłałem skany ilustracji. 17.10. (a więc ponad 6 tygodni od przekazania moich materiałów do łamania) dostałem pocztą wydruk „Taternika" do korekty. Tego dnia po uzyskaniu od W. Święcickiego informacji, że nieporozumieniem jest to, iż w przesłanym mi wydruku nie ma artykułu, który był planowany („Największe jaskinie Polski"), a w jego miejsce jest jakieś opowiadanie, skontaktowałem się z p. Niewierowiczem telefonicznie o godz. 19. Potwierdzając informację W. Święcickiego, wyjaśnił, że artykułu tego nie zdążył jeszcze wstawić, bo jest w nim tabelka, której złamanie zajmie mu 2 dni. Wykonaną korektę odesłałem 18.10.

Nie rozumiem więc końcowej uwagi Pana Niewierowicza skierowanej pod moim adresem.

Wojciech W. Wiśniewski

Stanisław Siedlecki (1912 – 2002)

Urodził się 17 września 1912 r. w Krakowie jako syn Michała Siedleckiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, i Anny Stachiewicz, córki artysty malarza Piotra Stachiewicza. Maturę zdał w roku 1931 i zapisał się na matematykę i fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednak na wiadomość, że Polska ma wziąć udział w II Międzynarodowym Roku Polarnym 1932-33 i założyć stację na Wyspie Niedźwiedziej, zgłosił się do organizatorów i został zakwalifikowany do trzyosobowego składu wyprawy. To był początek jego wielkiej działalności polarnej – i Siedlecki, z wykształcenia geolog, który w latach bezpośrednio powojennych, pracując na Uniwersytecie Jagiellońskim i w terenie, stworzył własną szkołę geologiczną, jest znany przede wszystkim jako polarnik. Jego wielki przyjaciel profesor Alfred Jahn, światowy autorytet w sprawach polarnych i permafrostu, napisał o nim w roku 1984: „Wśród żyjących polskich podróżników polarnych trudno znaleźć człowieka tak wielkich zasług w poznaniu i badaniu Arktyki, co Stanisław Siedlecki." Ale do polarystyki i geologii przyszedł z Tatr i przez długie lata etapy jego działalności polarnej, naukowej i wysokogórskiej przeplatały się.

W początku roku 1930 Staszek wstąpił do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. W Pięciu Stawach poznał trzech starszych taterników – swojego przyszłego najbliższego przyjaciela Stefana Bernadzikiewicza, Bolesława Chwaścińskiego i Antoniego Kenara. Osiemnastoletni Staszek zaczął się wspinać pod koniec lata 1930.

Jego działalność taternicką i alpinistyczną da się wyraźnie podzielić na trzy okresy. Początkowy – to bardzo intensywne wchodzenie do czołówki taternickiej. Z tego okresu, jeden z najmłodszych i chłopięco wyglądający, wyszedł jako „Siaś" – i Siasiem został do końca dla wszystkich znających go z wczesnych lat. W drugim, począwszy od roku 1932 do wybuchu wojny, jego aktywność skierowana była przede wszystkim na wyprawy polarne. W Tatrach bywał niemal wyłącznie zimą. Trzeci, szczytowy okres, to lata drugiej połowy wojny i bezpośrednio powojenne do roku 1948.

Zimą 1930/31 przyszły pierwsze, półturystyczne, półwspinaczkowe drogi w otoczeniu Hali Gąsienicowej, ale już wiosną 1931, jako uczeń klasy maturalnej, został przyjęty do Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie, a wkrótce wszedł do jej zarządu. Chodził niemal dzień w dzień w otoczeniu Hali Gąsienicowej z różnym towarzyszami – już znanymi, albo dopiero poznawanymi: Witoldem H. Paryskim (m. in. I przejście pn.-wsch. grzędy Wielkiej Buczynowej Turni, I przejście pd. ściany Gąsienicowej Turni), Adamem Uznańskim, Jackiem Żuławskim (pd.-wsch. grzęda Kościelca). 28 maja przeszedł ze Staszkiem Motyką wschodnią ścianę Kościelca (VII przejście), a następnego dnia zachodnią (XI przejście).

Wtedy to Motyka zaproponował mu dłuższy pobyt po słowackiej stronie w trójkę z Janem Sawickim. Zrobili wówczas m.in. pierwsze wejście od pn. na Żłobistą Przełączkę Wyżnią, pn.-wsch. ścianę Hrubej Śnieżnej Kopy i Zachodnie Żelazne Wrota wprost Kaczym żlebem – oba pierwsze wejścia. We dwójkę z Motyką zrobił I wejście bardzo trudną pd.-zach. ścianą Małego Ganku.

Potem Stefan Bernadzikiewicz zaproponował mu wspólne wspinaczki w rejonie Doliny Kieżmarskiej. Bernadzikiewicz ostro sprawdzał młodszego kolegę. Przeszli do Doliny Kieżmarskiej jednym dniem z Zakopanego, a na miejscu dokonali III przejścia pn. ściany Wideł i drugiego pd. ściany Czarnego Szczytu. Bliższe poznanie się, a następnie zaprzyjaźnienie ze Stefanem Bernadzikiewiczem miało później decydująco zaowocować w rozwoju polskiej działalności polarnej.

W tym czasie, głównie ze względu na organizację wypraw polarnych, mieszkał i studiował geologię w Warszawie. Początkowo należał tu do Koła Wysokogórskiego Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, od razu jako członek zwyczajny, a potem – oczywiście – do Klubu Wysokogórskiego PTT, którego był jednym z 13 formalnych założycieli, podpisujących wniosek o rejestrację stowarzyszenia.

Jego działalność polarna, szczególnie w pierwszym okresie, ma wiele elementów wysokogórskich. Zainicjowana przez niego pierwsza polska wyprawa na Spitsbergen w roku 1934 była oparta organizacyjnie o KW.OW.PTT, którego członkowie tworzyli jej trzon. Siedlecki, będąc opiekunem terenowym grupy topograficznej, dokonał z jej członkami szeregu I wejść szczytowych. Pierwsze trawersowanie Spitsbergenu, przeprowadzone w r. 1936 przez S. Bernadzikiewicza, K.

Narkiewicza-Jodko i St. Siedleckiego, miało charakter eksploracyjny, doświadczalny i treningowy przed planowanymi ekspedycjami w góry najwyższe. Polska trójka przebyła łącznie trasę ok. 850 km terenem górskim i lodowcowym, orientacyjnie trudnym i niedokładnie, a często wręcz błędnie oznaczonym na mapach. Było to prawdopodobnie największe do ostatnich lat w historii wypraw arktycznych tak wielkie i trudne trawersowanie, dokonane bez pomocy zaprzęgów zwierzęcych lub środków motorowych.

W Tatry wrócił Siedlecki na dobre w roku 1942. Był wtedy w szczytowej formie wspinaczkowej. Rezultatem jego działalności stały się najtrudniejsze, obok przejść Paszuchy i Łapińskiego, sukcesy wojennego taternictwa polskiego: pn. filar Kozich Czub i prawa połać pd.-wsch. ściany Zamarłej Turni – obie drogi z Jerzym Wicherkiewiczem, oraz I wejście zimowe pn. żlebem na Kozią Przełęcz Wyżnią, z Janem Stryjeńskim.

Lato, jesień i początek zimy 1944 roku – to okres „Zespołu Wagi", działalność w Tatrach zorganizowanej przez Siedleckiego, w porozumienia z władzami PTT, grupy młodych taterników krakowskich, mająca na celu zabezpieczenie schronisk w Tatrach Wysokich w czasie przechodzenia frontu. Bazą tej grupy było schronisko KČST pod Wagą, „podbazą" – koleba w Dolinie Rumanowej. Owocem tego pobytu jest szereg nowych dróg w tamtym rejonie.

W lecie 1945 przeszedł wraz z Tadeuszem Orłowskim swoją kolejną piękną drogę na zach. ścianie Łomnicy. Bliska współpraca, jaką nawiązał Siedlecki w latach 1944-45 z ludźmi z południowej strony Tatr, zaowocowała pięknym, krótkim „Listem otwartym" do „Braci Słowaków i Braci Czechów" w pierwszym powojennym numerze „Taternika" (1947, s. 8-9). Równie piękną odpowiedź na ten list pióra Antonína Veverki zamieścili koledzy czechosłowaccy w swoim „Horolezcu" (15.VIII.1947), opublikowaną następnie w „Taterniku" p.t. „Braterstwo bez granic" (1947, s. 108-109).

W roku 1947 Siedlecki zainicjował, zorganizował, a następnie był kierownikiem pierwszego powojennego – i aż do roku 1956 – jedynego wyjazdu polskich taterników w Alpy. Pomimo blisko dziesięcioletniej przerwy, uprzedniej znajomości Alp tylko przez trzech członków całego zespołu i mocno przestarzałego sprzętu wyjazd odniósł sukcesy, zbliżające odradzający się alpinizm polski do światowego. W czasie jednej z paru najpiękniejszych dróg tego wyjazdu – II całkowitego przejścia grani Grandes Jorasses, Siedlecki prowadził na najtrudniejszych odcinkach, m. in. w rysie Reya na uskoku nad Przełęczą Jaskółek (Col des Hirondelles). Wyjazd w Alpy praktycznie zamknął jego wyczynową działalność wysokogórską. Ale taternickie doświadczenie znalazło świetne zastosowanie w odkrywczych pracach geologicznych prowadzonych przez blisko 15 lat w najbardziej północnych regionach Norwegii – i oczywiście w Arktyce. W czasie działania na Spitsbergenie, w Polsce kopano pod Siedleckim dołki. W rezultacie zdecydował się pozostać w Norwegii, gdzie pracował do emerytury w Norweskim Przedsiębiorstwie Geologicznym. Był jednak wielkim patriotą i stale podkreślał swoją polskość.

Obok działalności terenowej był także Siedlecki od najmłodszych lat bardzo aktywny organizacyjnie. Od roku 1931 prowadził przez jakiś czas administrację „Taternika". W latach 1933-39 i 1945-51 był we władzach organizacji wysokogórskich do których należał. Bezpośrednio po wojnie na nadzwyczajnym walnym zebraniu Klubu Wysokogórskiego PTT 25 marca 1945 został Siedlecki wybrany jego prezesem. W Tatrach prowadził szkolenia i kursy. W roku 1960, po serii kierowanych przez niego wypraw na Spitsbergen, które otwarły ponownie ten rejon dla alpinizmu polskiego, Stanisław Siedlecki został wybrany członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego. Za swoją działalność dostał szereg wysokich odznaczeń państwowych polskich i norweskich, m.in. w roku 1996 – najwyższe odznaczenie norweskie nadane przez króla Norwegii, a wręczone w Polsce przez ambasadora Królestwa Norwegii. Był laureatem fundacji Jurzykowskiego. Został honorowym przewodniczącym Komitetu Badań Polarnych PAN, członkiem honorowym Polskich Towarzystw: Geologicznego i Geograficznego, kilku klubów polarnych zagranicznych i kilku małych, lokalnych polskich.

Był powszechnie lubiany. Fascynowała ludzi jego osobowość – inteligencja, wszechstronna wiedza i szerokie horyzonty, piękny, bogaty język, umiłowanie poezji, deklamacje, a równocześnie ciepło, humor, subtelność i delikatność, ogólne pojęta elegancja – cały *élan*.

Ale lata upływały... W czerwcu 1997 roku powalił go kolejny ciężki rzut malarii. Kończyło się żelazne zdrowie. Odwiedzaliśmy go z Tomkiem chyba jako ostatni. Powiedział kiedyś: „Jak zacznę śpiewać – będę umierał", i tak też było... Zgasł cicho i został pochowany, jak tego chciał, w Łodzi. Żegnaliśmy go na cmentarzu w piękny, słoneczny dzień wczesnej wiosny...

Ryszard Wiktor Schramm

Jan Józef Szczepański (1919 - 2003)

20 lutego 2003 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Krakowie senior polskiego taternictwa i nasz dawny górski kolega, Jan Józef Szczepański. Jan Józef sławę zawdzięczał pracy pisarskiej, wspinaczkę zaś uprawiał bez aspiracji sportowych, choć w pewnym okresie dość intensywnie. Urodził się 12 stycznia 1919 w rodzinie warszawskiej. O artystycznych zasługach zmarłego - publicystyka, książki, film - szeroko pisała prasa ogólna, tam też mowa jest o nim jako o wybitnej postaci życia kulturalnego i wyjątkowej miary autorytecie moralnym. Nas interesuje górski wątek w jego bogatym życiorysie.

Zaczął się wspinać w latach wojny, a do wejścia na skalne szlaki zachęcił go Jerzy Wicherkiewicz. „Zachowam zawsze najgłębszą wdzięczność dla Jurka za wprowadzenie mnie w ten cudowny świat" - pisał w niepublikowanym wspomnieniu o przyjacielu. Razem trenowali w podkrakowskich skałkach, razem jeździli w puste wojenne Tatry, zatrzymując się u Bustryckich, w Pięciu Stawach, w schronisku nad Morskim Okiem. Za swe pierwsze poważne drogi Jan Józef Szczepański uważał południową ścianę Zamarłej Turni i północną ścianę Mnicha, na których jesienią 1943 roku jego partnerami byli Jerzy Wicherkiewicz i Stanisław Siedlecki. Z tym drugim wspinał się (także na Słowacji) przez cały sezon 1946, do jego partnerów należeli też m.in. Róża Drojecka, Paweł Czartoryski, najczęściej jednak Krzysztof Tatarkiewicz. W wykazie większości dróg przechodzonych z Czartoryskim i Tatarkiewiczem widnieją dopiski „moje prowadzenie". Były w tym drogi naówczas całkiem poważne, takie jak trawers Żółtego Szczytu, Häberlein na Ostrym, północna ściana Mięguszowieckiego, zachodnia Niżnich Rysów czy nawet wschodnia Mnicha. Zimą wspinał się rzadziej, np. Kominem Drewnowskiego (do siodełka) na Kościelcu w r. 1951. Głęboko przeżywał spotkania ze skałą i ranne wyjścia pod ściany, kiedy - jak to pisał później - ciało wspinacza szykuje się do „przyjęcia innego wymiaru życia - życia w pionie, w euforii dobrowolnego ryzyka i nie usprawiedliwionego żadną utylitarną racją wysiłku." Prof. Siedlecki wspominał, że w duże emocje obfitował rok 1946. W lipcu podczas wspinaczki zachodnią ścianą Łomnicy Jan Józef poważnie skaleczył się hakiem, zaś podczas zejścia po noclegu na szczycie obsunął się po śniegu pod Klimkową Przełęczą i złamał nogę. Ewakuacja rannego do „Terinki" własnymi środkami w ramach nielegalnego pobytu na Słowacji była nie lada wyczynem ratowniczym.

Po dłuższej przerwie we wspinaniu, w r. 1959 Jan Józef Szczepański wyjechał z wyprawą KW na Spitsbergen, gdzie w górach Ziemi Wedela Jarlsberga wziął udział w trawersowaniu trudnej grani Luciakammen i Luciatoppen (960 m) - na jednej linie z Janem Stryczyńskim i Jerzym Warteresiewiczem. Wyprawa, będąca realizacją polarnych marzeń tragicznie zmarłego Jurka Wicherkiewicza, zaowocowała m.in. książką „Zatoka Białych Niedźwiedzi" (1960), podobnie jak przeżycia taternickie stawały się tworzywem literackim - np. w opowiadaniach takich, jak „Sizal". Sprawy górskie pozostawały mu zawsze bliskie i do wypadów turystycznych wykorzystywał wszelkie okazje, takie choćby jak pobyt w Ameryce Południowej, kiedy to z wysokogórskiej szosy oglądał masyw Aconcagua: „Nie było w niej żadnej strzelistości, a przecież zdawała się unosić w niebie jak olbrzymi biały ptak (...) - potężna i lekka, z przechyloną w lewo głową szczytu."

W r. 1955 przetłumaczył książkę Johna Hunta „Zdobycie Mount Everestu", a podczas pobytu pp. Huntów w Polsce w r. 1965 towarzyszył im w tatrzańskich eskapadach. Jak wspominają jego dawni partnerzy, był rzadkiej klasy towarzyszem górskim: zawsze pogodnym, pewnym w skale, odpornym na trudy biwakowego życia. Do Koła Krakowskiego KW zapisał się, jak sam podaje, w lutym 1945 r., stopień członka zwyczajnego uzyskał w grudniu 1951 roku. W r. 2001 otrzymał członkostwo honorowe PZA. Pisywał m.in. w „Wierchach" i „Taterniku" a w swych książkach, artykułach i wywiadach często wracał do dni spędzonych z liną jako do źródła twórczego pobudzenia i pełnych napięcia przygód. „Jakże wątpliwe są nasze możliwości przyswajania sobie świata! - pisał w r.1968 - Aby móc nazwać go swoim, trzeba zainwestować weń znacznie więcej, niż krótkotrwałą radość oczu. I może dlatego właśnie człowiek naprawdę kochający góry czuje potrzebę ryzykowania życia na ich skalnych ścianach, chce znosić dla nich trudy, wyrzeczenia i niebezpieczeństwa, które wpiszą przeżycie w cały jego organizm niezatartymi znakami." W bogatej twórczości naszego zmarłego Kolegi znaki te zostają utrwalone na zawsze.

Józef Nyka

Piotr Młotecki (1925 – 2003)

17 czerwca 2003 r. zmarł po długiej chorobie w wieku 77 lat Piotr Młotecki – nestor Polskiego Klubu Górskiego (do 1966 r. – Klubu Turystów Górskich). Głęboko związany z górami a przede wszystkim ze swoim klubem, któremu poświęcił ponad 40 lat pracy organizacyjnej i twórczej.

Piotr Młotecki urodził się 15 listopada 1925 r. w Piłatkowcach na Podolu. Studiował w latach 1947 – 1955 w Szczecinie i Wrocławiu. Z zawodu był energetykiem. W KTG pojawił się w 1959 r. i natychmiast wspólnie z Andrzejem Wachalem i Andrzejem Sobolewskim powołali sekcję alpinizmu. Od tego momentu datuje się śmiałe wyjście klubu w góry świata. Od sukcesów na Kaukazie i w Pamirze (lata 1962 – 1974) do wypraw w góry najwyższe (lata 1974, 1978, 1982 i 1988), a także – wyprawy sportowo-eksploracyjne w Ałtaj, Andy i na Alaskę.

Piotr Młotecki był inicjatorem i kierownikiem jedenastu wyjazdów sportowych w Kaukaz, trzech wypraw w Pamir, jednej w Hindukusz oraz czterech wypraw w Himalaje i Karakorum. Istotną dla PKG działalnością Piotra było również wspomaganie turystyki wysokogórskiej. Na przestrzeni minionych lat Piotr uczestniczył w organizowaniu wielu wyjazdów w góry Bałkanów (Alpy Julijskie, Prokletije, Riła, Piryn, Olimp), Kaukaz, Karpaty, a także w Himalaje. Jego sukcesy sportowe obejmują nowe drogi, pierwsze polskie przejścia a także ambitne powtórzenia.Partnerami Piotra byli najczęściej: Wojciech Brański, Jerzy Milewski, Kazimierz W. Olech, Wojciech Popławski i Andrzej Sobolewski.

W Kaukazie: Dych Tau (5203 m) – I przejście pn.-wsch. filarem z lod. Miżirgi (1964); Szchara Wschodnia (5201 m) – I przejście lodowym kuluarem z Wielkiego Kotła lod. Bezingi (1966); Szchelda Centralna (4320 m) – I polskie przejście środkiem pn. ściany, a w zejściu – pokonanie urwiska do lod. Uszbijskiego (1962); Szczyt Szczurowskiego (4269 m) – I polskie przejście pn.-zach. ściany (1963); trawers obydwu wierzchołków Elbrusa (5595 m i 5633 m) od „Prijutu 11" do przełęczy Chotiu Tau – I polskie przejście (1970).

Ponadto Piotr wspinał się w Kaukazie na kilkunastu drogach o trudnościach 3B – 5A, w tym na takich znanych szczytach jak: Dżangi Tau (5051 m), Uszba (4694 m), Dżajłyk (4535 m), Tetnuld (4853 m), Dałar (3979 m) i Sułłukoł (4100 m).

W Pamirze: Pik Lenina (7134 m) – I polskie przejście przez Skały Lipkina (1967); trawers Razdielnaja – Pik Lenina – I polskie przejście (1969); zdobycie trzech bezimiennych szczytów i nadanie im polskich nazw: Warszawa (6042 m), Poronin (6205 m), Tatry (6142 m) – w 1970 r.; Pik Korżeniewskoj (7105 m) – I polskie wejście pd. żebrem (1972); Pik Kommunizma (7495 m, 1972).

W Ałtaju Centralnym (Mongolia): trawers Mały Turgen – Główny Turgen (4215 m) – I przejście (1971).

W Hindukuszu: Noszak (7492m) drogą normalną (1976); Nadir Shah (6814 m, 1977).

W górach Alaski: Mount McKinley (6193 m, 1989).

W czasie wypraw w Himalaje i Karakorum, którymi kierował, nie wchodził na wierzchołki, ale przyniosły one osiągnięcia na najwyższym poziomie światowym, na zawsze wpisując Piotra do historii polskiego himalaizmu.

W Himalajach: Kangbaczen (7902 m) – I wejście (1974); Kangchendzonga Południowa i Środkowa (obie ok. 8500 m) – I wejścia (1978).

W Karakorum: Masherbrum pd.-zach. wierzchołek (7806 m) – I wejście (1982); Batura I (7785 m) – III wejście (1988).

Piotr był zazwyczaj inicjatorem przedsięwzięć promocyjnych Polskiego Klubu Górskiego i popularyzacji sportów górskich i turystyki. Wymieńmy tu: wystawy fotograficzne z Kaukazu, Pamiru, Hindukuszu, Ałtaju i Himalajów, wydawnictwa książkowe: „Kangbachen zdobyty" i „Dwie Kangchendzongi". Publikacje i artykuły, spotkania literackie i filmowe. Większość filmów Szymona Wdowiaka była kręcona podczas wyjazdów i wypraw kierowanych przez Piotra.

Piotr Młotecki od 1960 r. przez 24 lata pełnił funkję Wiceprezesa PKG, a od 1984 r. – przez 10 lat – Prezesa Klubu. Za działalność górską został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Medalem „Za Wybitne Osiągnięcia Sportowe", a także – różnymi odznakami i medalami resortowymi, w tym – złotą odznaką olimpijską Mongolii. W 1992 r. otrzymał godność członka honorowego Polskiego Związku Alpinizmu, był też członkiem honorowym PKG.

Podziwialiśmy Piotra i takim pozostanie w naszej pamięci.

Andrzej Sobolewski

Stanisław Worwa (1926 - 2003)

17 marca 2003 r. opuścił na zawsze nasze grono jeden z najbardziej znanych i lubianych taterników powojennego pokolenia, Stanisław Ludwik Worwa, członek honorowy Polskiego Związku Alpinizmu. Z wykształcenia mgr inż. leśnik, był długoletnim pracownikiem Biura Projektów Melioracji Wodnych w Krakowie.

Urodził się 18 lipca 1926 r. w Warszawie, ale wychowywał się w Krakowie i na Podhalu. Góry urzekały go od dzieciństwa. Pierwsze wycieczki tatrzańskie w gronie rówieśników podejmował jeszcze w czasie okupacji, gdy wiązało się to z ryzykiem aresztowania i dalszych konsekwencji. Ryzykować lubił, dlatego taternictwo stało się jego życiową pasją. Wiosną 1945 r. zaczął się wspinać w podkrakowskich dolinkach wraz ze swą kuzynką Krystyną Hellerówną i kolegami szkolnymi Andrzejem Hrebendą i Juliuszem Szumskim. Wspinaczki uczył ich legendarny instruktor Fryderyk Kędzior, zwany „Tatą". Mistrzami byli „Pokutnicy" - Czesław Łapiński, Kazimierz Paszucha, Marian Paully. Już w lecie 1945 roku wprowadzali ich ambitnie w Tatry. „Jak to gdzie? - prosto do góry" - pokrzykiwał na wschodniej ścianie Mięguszowieckiego Czesław Łapiński.

W pierwszych sezonach tatrzańskich dokonał wielu powtórzeń takich jak: wsch. Mnicha (drogą Stanisławskiego), kant Mnicha, Kazalnica środkiem ściany (drogą Paszuchy i Łapińskiego), pn.-wsch. filar Mięguszowieckiego Szczytu, zach. ściana Łomnicy (dr. Birkemajera - Kupczyka), pn.-wsch. filar Durnego Szczytu, wsch. ściana Gerlacha, pn. ściana Żabiego Konia (dr. Stanisławskiego), filar Ganku z Doliny Kaczej.

W marcu 1947 roku został członkiem zwyczajnym KW, a już latem wyjechał w Alpy jako najmłodszy uczestnik pierwszej powojennej wyprawy, w gronie najlepszych taterników okresu przedwojennego. Dokonał trawersowania Mont Blanc od Aiguille du Gôuter do Col du Midi oraz drugiego trawersowania grani Grandes Jorasses w trzydniowej wspinaczce ze Stanisławem Siedleckim, Witoldem Ostrowskim i Jerzym Piotrowskim. Następnie z Paszuchą i Łapińskim wszedł zach. granią na Aiguille Verte.

W latach 50-tych zrobił z Hellerówną i Paullym nową drogę na pn. ścianie Wołowej Turni oraz z Tadeuszem Nowickim - wyprostowanie drogi w górnej części pn-wsch. filara Żabiej Turni Mięguszowieckiej; również nową nadzwyczaj trudną drogę środkowym filarem pn. ściany na Rogową Grań z Jerzym Lechowskim i Ludwikiem Radoniem (sierpień 1955).

Bardzo lubił taternictwo zimowe; od r. 1947 nie opuścił ani jednego z oficjalnych obozów zimowych w Tatrach. Miał na swoim koncie szereg zimowych dokonań: w styczniu 1949 zrobił II zimowe przejście pn. ściany Mięguszowieckiego Szczytu (z wyprostowaniem drogi w kopule szczytowej, partner - Karol Jakubowski). W 1953 r. dokonał pierwszego przejścia zimowego wsch. ściany Mięguszowieckiego Szczytu drogą Świerza, w towarzystwie Andrzeja Pietscha i Andrzeja Wilczkowskiego. W 1956 r. z Lechowskim zrobił drugie zimowe przejście prawego filara pd.-zach. ściany Kiezmarskiego Szczytu. Brał udział w zimowym przejściu grani Tatr Wysokich, przerwanym lawiną z Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego, w której zginęli Tadeusz Strumiłło i Henryk Czarnocki.

Uczestniczył w sławnych akcjach ratowniczych po Woźniaka i Nunberga (wrzesień - październik 1949) we wsch. urwiskach Ganku oraz po Abgarowicza (kwiecień 1950) na pn. ścianie Mięguszowieckiego Szczytu.

W czasie wyjazdu w Alpy w 1957 r. wraz z A. Pietschem, J. Warteresiewiczem i L. Utrackim dokonał w pięciodniowej wspinaczce drugiego trawersowania całej Grani Peuterey (z przejściem pd. grani Aig. Noire).

W lecie 1959 r. wziął udział w kierowanej przez Siedleckiego wyprawie na Spitsbergen. Dokonał tam kilku wejść na dziewicze wierzchołki otoczenia Hornsundu i pierwszego trawersowania masywu Hornsundtindu (1431 m npm.)

W czasie wyjazdu klubowego do Iranu (sierpień 1969) dokonał trawersowania szczytu Alam Kuh w górach Elburs, a w grupie górskiej Koh-e Paraw poprowadził nową drogę wsch. filarem na wsch. szczyt Kohe Bisutun (V) w towarzystwie Janusza Oprzędkiewicza i Jana Rotha.

Był kierownikiem grupy wyjazdowej w Kaukaz (lipiec 1970); osiągnięciami były wejścia na Uszbę przez „poduszkę"; na Bżeduch oraz na obydwa wierzchołki Elbrusa.

Brał udział w VI krakowskiej wyprawie w Hindukusz Afgański pod kierownictwem Stanisława Biela (jesień 1971). Po nieudanej próbie zdoby-

cia szczytu Kohan Ha, (ok. 6300 m) przerwanej opadami śniegu, dokonano szeregu pierwszych wejść na okoliczne, przeważnie nienazwane, pięciotysięczne szczyty w dol. Chaszpak.

Jako instruktor, a następnie starszy instruktor taternictwa, w latach 40-tych, 50-tych i 70-tych wiele czasu i talentu wkładał w szkolenie adeptów w skałkach podkrakowskich lub na kursach tatrzańskich, dlatego znany był szerokiemu gronu młodszego pokolenia. Jako weteran, z młodzieńczym zapałem uczestniczył w życiu towarzyskim Koła Taterników-Seniorów Klubu Wysokogórskiego Kraków.

Liczne kontuzje powypadkowe wyeliminowały go z bardziej ambitnej działalności alpinistycznej. Po założeniu endoprotez stawu biodrowego w obu kończynach jeszcze sporo chodził turystycznie i jeździł na nartach.

W latach dziewięćdziesiątych zaczął spisywać z dużym talentem swoje wspomnienia górskie publikując je głównie w Pamiętnikach PTT i w piśmie „Góry i Alpinizm". Ukazały się one już pośmiertnie w zbiorze pt. „Bliżej nieba"(2003).

Barbara Morawska-Nowak

Andrzej Ziemilski (1923 – 2003)

Gorzko to brzmi, ale rację ma Ernest Skalski pisząc o nas jako o „odchodzącym pokoleniu". 29 kwietnia zmarł nagle w wieku 80 lat nasz przyjaciel Jan Andrzej Ziemilski, z wykształcenia i zawodu socjolog, z zamiłowania narciarz, taternik, kajakarz i turysta górski, z pasji – literat, eseista, dziennikarz. Jak napisano w jednym z nekrologów: wielki erudyta z trudnego pogranicza humanistyki i sportu. Urodził się we Lwowie 17 czerwca 1923 roku, wspinał się krótko, choć ma w dorobku kilka nowych dróg i wariantów: na Małym Lodowym (całością tzw. filara Kulczyńskiego, z Janem Strzeleckim 1949), na Mnichu (z Maciejem Robakiewiczem 1950), na Żabim Mnichu (z Janem Strzeleckim 1950). W Alpy jeździł głównie na narty – ze zjazdami typu *ski-alpinisme*. Do KW został przyjęty jesienią 1948 r. z rekomendacją Bronisława Finka i Tadeusza Orłowskiego, członkostwo zwyczajne uzyskał w sierpniu 1949 roku. Działał w Kole Warszawskim KW, uczestniczył m.in. w naradzie na Polanie Chochołowskiej (1954), był współgospodarzem kongresu UIAA w Zakopanem (1971). Głębsze związki miał z narciarstwem, należał do najstarszych instruktorów PZN, stopień trenera uzyskał w r. 1952. Temat jego pracy doktorskiej brzmiał: „Stacje sportów zimowych w krajach alpejskich", wespół z G. Młodzikowskim stworzył księgę „Narciarstwo. Zarys encyklopedyczny" (1957). Był głównym orędownikiem „drugiego Zakopanego" na Śnieżniku w Kotlinie Kłodzkiej („wymyśliłem kiedyś Śnieżnik" – pisał – by pomóc Zakopanemu).

Latem 1963 r. przeprowadził pamiętny „zwiad socjologiczny" w Tatrach („Wierchy" 1964 s. 51.–76). Wydawał liczne książki, niemal wszystkie zahaczające o góry, które były dla niego czymś wyjątkowo ważnym. W opowiadaniach i esejach nawiązywał do przeżyć „własnych i cudzych", fabularyzował je jednak i dziś trudno oddzielić fakty od pisarskiej fantazji. Wspominając lata wojny i konspiracji opowiadał o swoich związkach z warszawskim „Parasolem" i z mało znaną poronińską „Ciupagą". Jego „Filar Pysznego Szczytu" (1959) był ważną pozycją w biblioteczce taternickiej tamtego czasu. Tłumaczył książki, pisał komentarze do filmów, m.in. do „Zamarłej Turni" Sprudina. W pracy naukowej i literackiej interesowały go związki człowieka z ziemią i przyrodą. Mówi o tym jego rozprawa „Człowiek i góry a cywilizacja współczesna" (1975), a szerzej – książka „Człowiek w krajobrazie" (1976). Górom słusznie przypisywał ważną rolę w kształtowaniu osobowości młodych ludzi.

Mimo niemal 80 lat i początków choroby Parkinsona, do ostatnich dni utrzymywał dobrą formę: publikował swe celne felietony, latem 2001 na zlecenie TPN przeprowadził drugi „zwiad socjologiczny" w rejonie Hali – ponownie wraz z Andrzejem Marchlewskim. Pracował nad kolejną książką o tematyce górskiej i sportowej, a jeden z rozdziałów stanowić miał wypadek lotniczy w kwietniu 1957 r. nad Genewą, w którym zginęła uczestniczka klubowego wyjazdu w Alpy, Ewa Dewitz. W wyjeździe tym Andrzej był zastępcą kierownika. Na tydzień przed swą niespodzianą śmiercią jeździł na Kasprowym, odwiedził też Białkę Tatrzańską i tamtejsze centrum

narciarstwa rodzinnego. 8 kwietnia uczestniczył w spotkaniu z Leszkiem Cichym i Januszem Kurczabem, po którym z żalem stwierdził, że nigdy nie był w Nepalu ale po tym pokazie nabrał ochoty, by tam „wyskoczyć". Wspaniały gawędziarz i dusza towarzystwa, miał rzesze przyjaciół. Jego odejście odnotowały czołowe dzienniki: w „Gazecie Wyborczej" pożegnał go Ernest Skalski, w „Rzeczpospolitej" – Stefan Bratkowski. Pogrzeb w dniu 8 maja na sosnowym cmentarzu w Laskach zgromadził tłumy ludzi, a kwartet góralski żegnał jego prochy rzewną nutą „Krywaniu, Krywaniu wysoki..." Kiedy latem 1949 wkładał swoją kartkę do puszki na Pysznym Szczycie nie przewidywał, że jego „ślad na ziemi" wcale nie będzie ulotny.

Józef Nyka

Wiesław Grzybowski (1956 – 2002)

W kwietniu 2002r. odszedł od nas Wiesław Grzybowski. Urodzony 13 marca 1956 r., w 1981r ukończył studia na Wydziale Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej. Już na studiach rozpoczął swą przygodę z górami udzielając się w Akademickim Klubie Alpinistycznym Politechniki Warszawskiej i Klubie Wysokogórskim Warszawa.

Wszyscy pamiętamy go jako człowieka życzliwego, skorego do pomocy, kogoś na kim można było zawsze polegać. Miało to szczególne znaczenie w górach. Już pierwszy wyjazd Wieśka w Alpy Francuskie w 1979 r. przyniósł sukcesy. Przeszedł wówczas m.in. superdiretissimę wschodniej ściany Grand Capucin i drogę Allaina na pn. ścianie Petit Dru. W 1980 r. pokonał filar Gervasuttiego na Mont Blanc du Tacul i drogę Hemminga (Directe Americaine) na zach. ścianie Petit Dru. Także w Tatrach, zarówno latem, jak i zimą Wiesiek odnosił sukcesy. Jego ważniejsze przejścia to: Mały Siarkan drogami Velickov i Palenicka, Wołowa Turnia dr. Estög-Janiga, Mały Młynarz, dr. Kurtyki i Raptawicka Turnia dr. Andrzejewski-Nowiński (diretissima).

Lata 1983-1985 to dla Wieśka zainteresowanie Himalajami. W kwietniu 1983 r. bierze udział w wyprawie na Gauri Shankar kierowanej przez Tadeusza Preyznera. Wspina się tam razem z Lechem Kiedrowskim. „Chociaż nie zdobyliśmy szczytu, mieliśmy szczęście że udało nam się uniknąć lawin, przeżyć wielodniowy wycof ze ściany i niezapomnianą przygodę"– wspomina Kiedrowski.

Niezrażony niepowodzeniem wyprawy na Gauri Shankar, już w październiku tego samego roku Wiesiek udaje się w Rolwaling Himal, gdzie z Jankiem Grudniewiczem zdobywa szczyt Dorje Phagmo (wys. ok. 5800). Droga wiedzie 1000 m. kuluarem śnieżno-lodowym. Zimą 1984/1985r. organizuje wyprawę na Tukuche Peak. Szalejący wiatr i gwałtowny opad śniegu uniemożliwia działalność powyżej 6000 m, zmuszając zespół do odwrotu.

Na wyprawach, w których brał udział, cechował Wieśka spokój i pewność działania. „Jego niepodważalny optymizm potrafił wyzwolić niebywałą energię w zespole" – mówi Janek Grudniewicz. „Wieśka szczególnie wyróżniał życzliwy stosunek do ludzi innych kultur. Zaprzyjaźniał się z ludźmi, których spotkał, a ci lgnęli do niego i odwzajemniali jego życzliwość" – wspomina Jolanta Maciuch-Grzybowska.

Lata osiemdziesiąte to lata prac wysokościowych. Wiesiek dal się poznać jako świetny organizator i wykonawca takich prac. W tej dziedzinie był również koleżeński, dostrzegał potrzeby innych i postępował fair. W latach 1987-1989 pracował w spółdzielni usługowej ALTUS, gdzie swoją pracą przyczynił się do znacznego rozwoju tej firmy.

W roku 1987 urodził się syn Andrzej. Wiesiek postanowił zaprzestać działalności górskiej. Później wrócił do swojej młodzieńczej pasji – żeglarstwa. W 1989 r. w Trzebieży uzyskał patent sternika morskiego a później stopień jachtowego kapitana żeglugi bałtyckiej.

Wiesiek Grzybowski wspinał się z wieloma osobami. Wszyscy zgodnie potwierdzają – wspinanie z nim było przyjemnością. Solidność we wszystkim co robił, łączył z odwagą a stawianie ambitnych celów z wytrwałością w dążeniu do ich osiągnięcia. Optymizm, spokój i pogoda ducha zjednywała mu wielu przyjaciół i tworzyły przyjazną atmosferę. Był wspaniałym człowiekiem, jakich rzadko się spotyka. Pozostawił wielu znajomych, przyjaciół na całym świecie.

Żegnamy cię Wieśku – przyjaciele

CONTENTS

From the Editor 1
A once in a lifetime gathering (J. Nyka) 2
Caving and its organizations in Poland – a short history (Part I) (W.W. Wiśniewski) 4
Alaska Railroad – a new route on the Citadel wall (M. Tomaszewski) 10
Home Speed Home – a new route on the Dru (G. Skorek) 13
Good winter 2003 season in the Mont Blanc massif 14
2002 in the high mountains 15
Rapsody in Snow – Manaslu'2003 (P. Pustelnik) 20
Golden Jubilee (P. Pustelnik) 23
Nepal opens wider 25
Restrictions in the Sikkim 25
Polish-American Gasherbrum II Expedition (R. Pawłowski) 26
Gasherbrum II – back to the roots (A. Czerwińska) 26
Peace flag on Noshaq's summit (J. Nyka) 28
Polish winter 2003 in the Tatra (A. Paszczak) 29
Sport climbing 33
Ski-mountaineering 37
Caving Activity 44
Miscellaneous 54
Culture and hobbies 58
Book Reviews 61
Mountains and electronics (B. Jankowski) 63
The Devil Is In The Details (W. Święcicki) 67
Climbing Accidents in the Tatra Mountains, Winter & Summer 2003 (A. Marasek) 69
Letters to the Editor 71
Obituaries 73

ANTYKWARIAT GÓRSKI „FILAR" H. Rączka
Alabastrowa 98, 25-753 KIELCE
tel. 0413456219, 0502397162
Adres e-mail: filar@antykwariat-filar.pl
Oferta Internet: www.antykwariat-filar.pl

TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu
Ukazuje się od 1907 roku
Nr 3-4 (299-300) Rok 77 ISSN 01373155
kwartalnik

Redaktor naczelny
Janusz Kurczab
ul. Podskarbińska 7 m. 48, 03-834 Warszawa
tel./fax: +48 22 813 22 05,
e-mail:
kurczab@o2.pl jotkur@wp.pl

Redakcja działu jaskiniowego
Wojciech W. Wiśniewski
ul. Św. Bronisławy 18 m. 1, 30-203 Kraków
tel. +48 12 427 13 11,
e-mail: taternik.speleo@wp.pl

Opracowanie graficzne, skład i druk
Zakład poligraficzny DRUK-POL
ul. Mińska 25, 03-808 Warszawa
tel./fax: +48 22 813 43 25
e-mail: info@druk-pol.com.pl

Współpracownicy
Małgorzata Fromenty-Bilczewska (Francja), Grzegorz Głazek, Władysław Janowski (USA), Małgorzata i Jan Kiełkowscy (Niemcy), Krystyna Konopka (USA), Adam Marasek, Józef Nyka, Artur Paszczak, Apoloniusz Rajwa, Andrzej Skłodowski, Andrzej Sławiński (Kanada), Wojciech Święcicki

Wydawca
Polski Związek Alpinizmu
ul. Noakowskiego 10/12, 00-666 Warszawa
+48 22 875 85 05
e-mail: biuro@pza.org.pl
www.pza.org.pl

Dystrybucja
Polski Związek Alpinizmu

Sprzedaż detaliczna i wysyłkowa
Sklep Podróżnika i Antykwariat „Filar"
Punkty sprzedaży: patrz ramki obok

Prawa do tytułu „Taternik" posiada Polski Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do publikowanych w „Taterniku" tekstów, zdjęć, rysunków i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe wyłącznie za pisemną zgodą redaktora naczelnego i pod warunkiem powołania się na źródło.

SKLEP PODRÓŻNIKA
e-mail: spw@rubikon.pl www.traveler.com.pl

WARSZAWA
tel. (0-22) 658 46 26
fax (0-22) 822 44 56
ul. Grójecka 46/50, tel. (022) 668 66 08
ul. Kaliska 8/10, K1 tel. (022) 822 64 81
ul. Kaliska 8/10, K2 tel. (022) 822 54 87

KRAKÓW
ul. Szujskiego 2
tel. (012) 421 89 22
ul. Jagiellońska 6
tel. (012) 429 14 85

BIELSKO-BIAŁA
ul. Wzgórze 9
tel. (033) 812 36 48

KATOWICE
pl. Wolności 8
tel. (032) 353 26 20

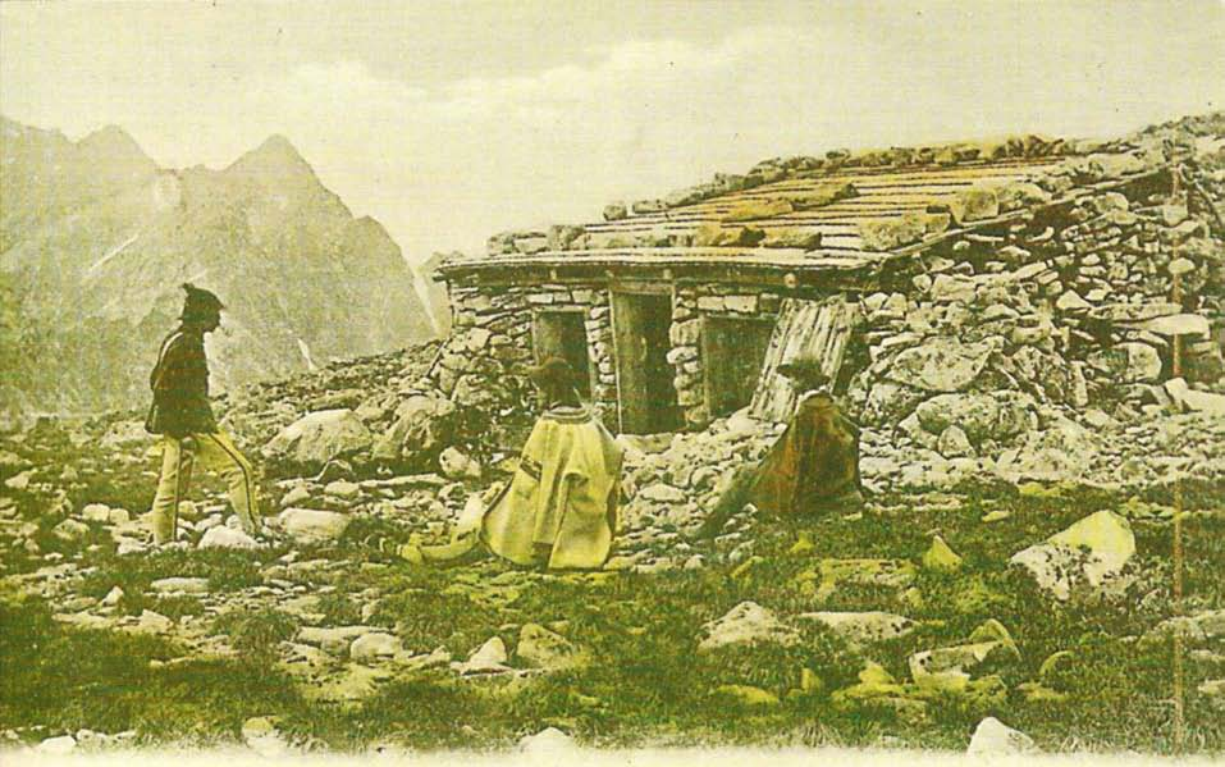

Koliba na Krzyżném w Tatrach.

Do artykułu na str. 60

THERMOACTIVE®

ZINTEGROWANY SYSTEM

zapraszamy do odwiedzenia naszej nowej strony

WWW.MALACHOWSKI.COM.PL

Pracownia Sprzętu Alpinistycznego Małachowski
PL 43-426 Dębowiec, ul. Skoczowska 49 tel. +48 33 856 22 61